

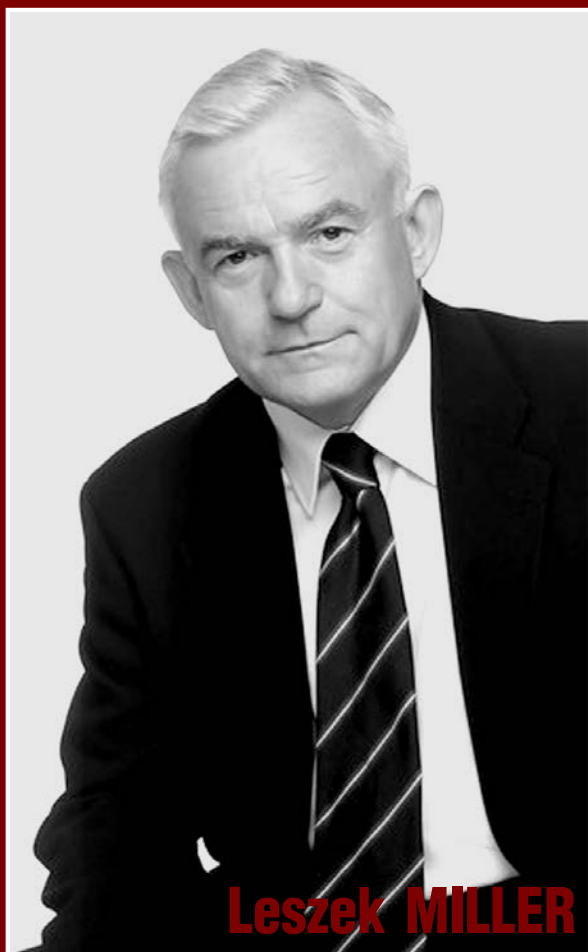
RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

1/116

2012 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 1 (116) 2012 Rok wyd. XXI • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Leszek MILLER

Szansa na lewicy

s. 7

RAPORT PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ W DEMOKRATYCZNEJ POLSCE: DIALOG I WSPÓŁPRACA CZY TRWAŁY KONFLIKT?

Debatują profesorowie:

Jan HARTMAN, Stanisław OBIREK,
Joanna SENYSZYN, Andrzej WALICKI,
Danuta WANIEK, Jerzy J. WIATR

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Myśląc o naszym państwie • Jest nas 7 miliardów • Wyrok za stan wojenny
- Czy jesteśmy w o(błędzie) kapitalizmu?

III RZECZPOSPOLITA: TROSKI I OCZEKIWANIA

- Tadeusz KOWALIK
Strategia dla Polski: wzór skandynawski
- Andrzej ROMANOWSKI
Sklamana historia, nierówna miara

O TOLERANCJI

Danuta HÜBNER, Adam BONIECKI,
Jerzy JEDLICKI

JESZCZE O EUTANAZJI

Zofia Helena HUEBNER, Bogusław STELCER

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE:
Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC,
Wacław SADKOWSKI

Ponadto w numerze recenzje wybranych książek
i czasopism oraz kronika, wiersze i aforyzmy.

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
Myśląc o naszym państwie / 1
Longin PASTUSIAK
Jest nas 7 milionów / 2
Andrzej BIERNACKI
Wyrok za stan wojenny / 4
Jadwiga SEBESTA
Pancerni i psy czyli ludzkość w o(b)łędzie kapitalizmu / 4

III RZECZPOSPOLITA: TROSKA, PERSPEKTYWY, NADZIEJE

Leszek MILLER
Człowiek jest ważniejszy niż rynek / 7
Tadeusz KOWALIK
Strategia dla Polski: wzór skandynawski / 10

ŚWIADECTWO

Andrzej ROMANOWSKI
Skłamaną historią, nierówną miarą / 18

MYŚLI O TOLERANCJI I DZIAŁANIE DLA TOLERANCJI

Z wystąpień laureatów
Prof. Danuta HÜBNER / 22
Ks. Adam BONIECKI / 22
Prof. Jerzy JEDLICKI / 23
Małgorzata BOM
Tolerancja w Polsce / 23
Agnieszka MOLSKA
Tolerancja w dzisiejszym społeczeństwie / 25

Niniejszy numer ukazuje się dzięki wsparciu Fundacji im. Róży Luksemburg w Polsce, za które najserdeczniej dziękujemy.

Redakcja RES HUMANA

JESZCZE O EUTANAZJI

Zofia Helena HUEBNER
Prawo do wolności osobistej / 28
Bogusław STELCER
Ostrożniej z tą eutanazją / 31
Stanisław SZPIŁA / 33
Ryszard WYGANOWSKI / 34

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Samozniewolenie ekonomistów / 35
Eugeniusz KABATC
Wstęp do teorii względności... / 37
Wacław SADKOWSKI
Genealogia teraźniejszości / 39

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Wiesław ŁUKA
Ulegli magii i szantażowi / 41
Radosław S. CZARNECKI
Współczesne dziedzictwo kolonializmu / 43
Ksawery S. PIWOCKI (wybór) / 45

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Daniel S. ZBYTEK
Zmarł prawdziwy chrześcijanin / 47

KRONIKA / 48 i III str. okł.

Raport

CZY KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POLSCE ZDOLNY JEST DO DIALOGU I WSPÓLDZIAŁANIA Z DEMOKRATYCZNYM PAŃSTWEM CZY JEDYNIEM DO JEGO KONTESTACJI W MNOŻENIA ROSZCZEŃ?

Debatują profesorowie:

- Jan HARTMAN • Stanisław OBIREK
- Joanna SENYSZYN • Andrzej WALICKI
- Danuta WANIEK • Jerzy J. WIATR

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelnny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT 5%.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

*Wszelkiej pomysłności, dobra i wiary w świat wolny
od zła i nietolerancji życzy na Nowy 2012 Rok
wszystkim naszym Czytelnikom*

Redakcja „RES HUMANA”



Myśląc o naszym państwie

Myśląc o państwie, myślimy najpierw o nim jako o wartości, o wspólnym dobru, które powołała do życia społeczność ludzka z potrzeby swojego bezpieczeństwa, obrony interesów, uzyskania zdolności do wysiłku w imię wspólnoty narodowej, której państwo stało się zwińczeniem. Myśląc o państwie i narodzie zarazem, bo bliskie to sobie składniki, myślimy za Norwidem jako o naszym „zbiorowym obowiązku”, naszej zdolności do jego obrony, do zgodnego działania na tych wszystkich polach wspólnej troski, z których rodzi się dostatek, rozwój, ład społeczny i moralny, wszystko, co składa się na poczucie sukcesu, wzrost szans i możliwości a nie klęski czy jałowe malkontenctwo.

Ale myśląc tak o państwie nie możemy uciec od rosnącego niepokoju o jego współczesnym stanie, nie możemy milczeć, kiedy widać jak urosły i jakiej nabrały siły w ostatnich latach, w świecie i w Polsce, różne siły czy grupy korporacyjne, biznesowe czy hobbystyczne, o rosnących wpływach, którym państwo jest nie tylko niepotrzebne, ale widzą w nim przeszkodę w robieniu własnych interesów. Wspiera te aspiracje niemała liczba ludzi nauki czy mediów, którzy z wysokości intelektualnego Olimpu orzekają o nieuchronnym zmierzchu a nawet śmierci państwa, uznając je za anachronizm, wobec spiżowych spraw wolnego rynku i uroków bezgranicznej konkurencji czy wobec prywatyzacji i atomizacji życia społecznego, wobec życia, w którym „wolne atomy” nie pragną niczego więcej niż tylko wolności, a państwu wyznaczają łaskawie rolę „nocnego stróża”. I nic ponad to.

Już nieco wcześniej w sporach o osławione OFE, a w ostatnich tygodniach, w których z niebywałą furią zaatakowano ustawę porządkującą dotychczasowe zasady obrotu lekami, wypowiedziano słowa - zupełnie nieprzytomnie potęgowane przez rozhisteryzowane media - które napawają już grozą: że ustawa ta to uśmiercanie przez państwo własnego narodu, że to świadectwo jego nieudolności, zasługujące jedynie na kalumnie lub kpiny (np. w ustach przedstawicieli korporacji lekarzy), że wreszcie trzeba to straszne państwo dobić do końca pospiesznie skleconym donosem do instytucji europejskich

Co napawa nas grozą? - przedstawmy tę konstatację w postaci pytania. Głęboko niepokoi otóż narastająca dychotomia pomiędzy osobami czy instytucjami państwa, pogardliwie określanymi „urzędasami” a tymi, którzy uzurpują sobie prawo do wyłącznej prawdy, słuszności własnych racji, tymi, którzy mają być uosobieniem samego dobra, a tymi drugimi, ludźmi reprezentującymi państwo, ludźmi uosabiającymi tylko zło. To groźny znak dla zdecydowanej większości tych, którzy z silnym, sprawnie działającym i dobrze legitymizowanym państwem wiążą swój los czy realizację swych nadziei.

Uporządkujmy nasze myślenie o państwie. Miejmy najpierw świadomość, że obok demokratycznie wyłonionych w wyborach powszechnych władz państwowych czy samorządowych współistnieją z nimi razem inne zorganizowane struktury. W polskich realiach to historycznie utrwalona pozycja Kościoła katolickiego, którego wszelako rola i wpływ wywierany na państwo zdaje się być współcześnie coraz większym problemem, jeśli państwo nie zamierza rezygnować ze swych konstytucyjnych uprawnień, nawet swej godności; to sieć wielkich instytucji o charakterze korporacyjnym (banki, firmy ubezpieczeniowe, telekomunikacyjne itp.); to media, zwłaszcza elektroniczne, tyle informujące ile kreujące rzeczywistość, często według bardzo nieprzejrzystych kryteriów. To ilustracja wspomnianej już dychotomii: tym razem między strukturami posiadającymi mandat demokratyczny a strukturami w istocie niedemokratycznymi. Z dychotomii tej, miejmy tego świadomość, wyłaniają się realnie już istniejące i potencjalne źródła konfliktów. Ocena skali tych konfliktów i ich wpływu na stan spraw naszego państwa – to, oczywiście, zadanie do oddzielnego, głębszego namysłu.

Aleksander Kwaśniewski w ważnej rozmowie z redaktorami Jerzym Domańskim i Robertem Walenciakiem („Przegląd” z 1 stycznia 2012 r.) dostrzegając te wszystkie zagrożenia współczesnego państwa, radzi, aby podjęło ono próbę dostosowania swych dotychczasowych struktur i instrumentów działania do wymogów dyktowanych następstwami rewolucji informacyjnej i sądzi, że jesteśmy na progu przekształcania się demokracji przedstawicielskiej, dziś dominującej, w demokrację bezpośrednią.

Ta prawdopodobna, choć z pewnością rozłożona w czasie projekcja państwa, bez pokusy jej uniwersalizacji, nie znosi jego roli tu i teraz, zwłaszcza w warunkach wielu współczesnych zagrożeń (wyraźne zjawiska kryzysu w ramach Unii Europejskiej), wobec których konstytucyjne obowiązki państwa nabierają szczególnej wagi, także wsparcia i konsolidacji instytucji europejskich. Państwo nie może w żadnym stopniu pozostawić samymi sobie tych wszystkich, tej „milczącej większości”, która z działaniami państwa, a nie z prywatnymi bankami czy firmami ubezpieczeniowymi, wiąże swój codzienny los, swoje poczucie sprawiedliwości, swoje często po prostu przetrwanie.

Myśląc więc o państwie, o naszym polskim państwie, pomyślmy w końcu i o tym, co każdy z nas może i powinien dla tego państwa uczynić, aby w efekcie wspólnego wysiłku państwo nie tylko ocalić przed prorokami jego upadku, lecz aby dodać mu nowych sił na trudny współczesny czas.

Zdzisław SŁOWIK

Jest nas 7 miliardów

Czy ziemia pomieści wszystkich ludzi? Czy jesteśmy w stanie wyżywić więcej miliardów ludzi na świecie? Czy wystarczy surowców i pracy dla ciągle rosnącej liczby mieszkańców naszej planety?

Te i inne pytania pojawiły się w związku z informacją Wydziału Ludnościowego ONZ, że 31 października 2011 r. narodził się siedmiomiliardowy obywatel Ziemi. „Nikt dokładnie nie zna liczby ludności na naszym globie” – oświadczył Gerhard Heilig, szef Wydziału Ludnościowego ONZ. Faktem jednak jest, że ludność świata systematycznie zwiększa się. Do 1350 r. ludność świata podwajała się mniej więcej raz na 1400 lat. Od tego momentu okres podwajania się światowej populacji systematycznie ulegał skróceniu. W 1650 r. było to 700 lat, w 1750 r. – 300 lat, w 1850 r. – 140 lat a w 1950 r. – 88 lat. Obecnie wynosi on tylko 35 lat, co odpowiada rocznemu przyrostowi ludności o 2%. Mimo że problemy demograficzne należą do wymiernych, specjaliści różnią się w swoich prognozach, w zależności od rozmiaru wielu zmiennych czynników mających wpływ na przebieg procesów demograficznych. Zwykle raporty podają prognozy dwuwariantowe: wariant niski i wariant wysoki.

Zegar rejestrujący przyrost ludności na świecie wykazuje, że co minutę rodzi się 255 dzieci, a w ciągu dnia 367 000. Umiera w ciągu dnia 153 000. To oznacza, że rocznie przybywa 78,5 mln ludzi na naszej planecie, czyli więcej niż liczby ludność Francji, Wielkiej Brytanii czy Tajlandii. Jeszcze niedawno tempo wzrostu ludności wynosiło 2%. Obecnie ocenia się, że spadło ono do 1,1%. Ale nadal jest ono nierównomierne w świecie. O ile np. w Sta-

nach Zjednoczonych dzietność kobiety wynosi 2 dzieci, to w Niemczech i Japonii 1,3, w Kanadzie 1,6 a w Anglii 1,8, w niektórych krajach Afryki i Azji przekracza 6 dzieci. Ocenia się, że obecnie statystyczna kobieta rodzi dwa razy mniej dzieci aniżeli rodziła jej matka. Najszybciej zwiększają się dwie grupy wiekowe światowej populacji: grupa młodzieży w wieku 15-24 lat i grupa osób powyżej 60 lat. W 71 krajach ludność poniżej 15 roku życia stanowi aż 40% populacji. Najszybciej starzeją się społeczeństwa Japonii, Niemiec i Włoch, gdzie ludzie powyżej 60 roku życia stanowiąć będą wkrótce ponad 30% ogółu mieszkańców.

Są różne prognozy jeżeli chodzi o liczbę ludności w przyszłości. Przewiduje się, że populacja Ziemi przekroczy 8 mld za ok. 12 lat. **W 2030 r. ONZ przewiduje, że będzie nas 10,3 mld, w 2040 r. 12,2 mld, a w 2050 14,5 mld. W 2100 r. na świecie może żyć 27 mld ludzi.** Nie kontrolowana urbanizacja, w połączeniu nienaturalnym skupieniem milionów ludzi w jednej aglomeracji miejskiej przy równoczesnej degradacji wsi, stanowi potencjalne zagrożenie. **Niebezpieczeństwa wynikające z procesów demograficznych i przewagi przyrostu ludności nad przyrostem produkcji żywności oraz dochodu narodowego są już dzisiaj w wielu krajach faktem.**

Kiedy Thomas Malthus (1766-1834), twórca teorii ludnościowej po raz pierwszy opublikował w roku 1798 swoje głośne dzieło *Prawo ludności* spotkał się z ostrą krytyką wielu środowisk epoki oświecenia, które - wierząc w rozum i racjonalne zachowanie się człowieka - nie mogły pogodzić się z tezą, że człowiek może sam doprowadzić się do zagłady wskutek nie kontrolowanego przyrostu naturalnego. Pod wpływem tej krytyki Malthus zmodyfikował nieco swoje poglądy i do czynników, które będą regulować procesy demograficzne, dodał - oprócz wojen, głodu oraz różnych plag - „moralne samoograniczenie się”.

Zaspokojenie podstawowych potrzeb wielu miliardów ludzi będzie wymagało ogromnych wysiłków. W Chinach, gdzie wprowadzono rygorystyczną kontrolę urodzin, rocznie przybywa 16 mln obywateli. Ponieważ dziś - mimo postępu technologicznego - w wielu państwach wzrost gospodarczy nie nadąza za przyrostem ludności, można powiedzieć, że tzw. bomba demograficzna już wybuchła.

Według *Raportu o rozwoju ludności*, przygotowanego przez Program Rozwoju Narodów Zjednoczonych (UNDP) 86% dóbr jest zużywanych przez 20% ludzi. Spośród 4,4 mld ludzi żyjących w krajach rozwijających się, co trzecia osoba nie ma dostępu do wody pitnej, 1/5 nie obejmuje podstawowe usługi medyczne, 1/5 dzieci jest niedożywiona, a co czwarta osoba nie ma dachu nad głową. W krajach rozwijających się 1,3 mld ludzi przeznaczają na utrzymanie mniej niż dolara dziennie. Do tych problemów dochodzą konflikty, których świat jest pełen. W ciągu 10 lat (1988-1998) ofiarą konfliktów padło 4 mln ludzi, milion zostało osieroconych, a 5 mln okaleczonych.

Planeta ziemia jest w stanie - oczywiście w sensie fizycznym - pomieścić nie tylko tę, ale nawet znacznie większą liczbę ludności. Nie możemy jednak oddzielić procesów demograficznych od problemów społeczno-gospodarczych. Zwiększona liczba ludności zwiększa zapotrzebowanie na surowce, a te jak wiadomo są ograniczone. Mamy jednak nadal duże rezerwy w postaci niezbadanych jeszcze zasobów. Wielką rezerwę żywności są morza i oceany.

Dla krajów rozwijających się, w których znaczna część ludności żyje w warunkach skrajnego ubóstwa, zwiększenie populacji oznacza nie tylko stagnację, ale nawet obniżenie poziomu życia. Wysoki przyrost ludności wymaga wysokiego tempa inwestycji. Przy zachowaniu bowiem na nie zmienionym poziomie infrastruktury per capita przyrost siły roboczej spowoduje utrzymanie niskich płac. Zwiększa się migracja do wielkich miast, gdzie pogorszeniu ulegają warunki życia.

Należy liczyć się, że pogłębiająca się luka w poziomie rozwoju gospodarczego krajów rozwijających się i rozwiniętych wpłynie na intensyfikację procesów migracyjnych do krajów uprzemysłowionych np. z Meksyku do Stanów Zjednoczonych, z Afryki Północnej do Europy Zachodniej itp. W związku z zaostreniem się napięć społecznych i wzrostem niestabilności wewnętrznej krajów rozwijających się może dojść do żywiołowego przepływu uciekinierów szukających schronienia w bardziej stabilnych krajach. To z kolei może stać się źródłem nowych tarć.

Wymieniłem niektóre tylko z możliwych konsekwencji obecnych procesów demograficznych.

Longin PASTUSIAK

Autor jest profesorem w Akademii Finansów, byłym posłem na Sejm (1991-2001) i marszałkiem Senatu V kadencji (2001-2005).

Wyrok za stan wojenny

Jeśli już niezawisły sąd uznał za stosowne włączyć się do oceny nieodległej polskiej historii, ogłaszając 12 stycznia 2012 r. wyrok na „sprawców” stanu wojennego; a więc jeśli sąd uznał historię za tworzywo rozstrzygnięć prawnych; i jeśli ten sam sąd uznał, że nie może pozostawać głuchy na wołanie Adama Słomki i podobnej jak on niespokojnej mentalności części polskiego społeczeństwa i wyrok ogłosił – to możemy powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość, że do grona sprawiedliwych dołączył też niezawisły sąd.

Jego tyle zniuansowany, co wystudiowany, w wymiarze orzeczeń, wyrok można uznać za pewnego rodzaju świadectwo równowagi i rozsądku, wpływające – wolno sądzić – z racjonalnego założenia, że w końcu chodzi tutaj przede wszystkim o karę symboliczną, bo i tak „rozliczanie zbrodni przeszłości – nad czym zdaje się ubolewać prof. Andrzej Paczkowski, ściśle związany IPN – ma bardzo mały wymiar”. Ale do tego „małego wymiaru”, niczym do małej beczki miodu, dodano wszelako niemałą łyżkę dziegiu.

Oto wbrew opinii wielu znanych prawników, ale też po prostu zdrowemu rozsądkowi, sędzia Ewa Jethon przyjęła bezkrytycznie wypichoną w gabinetach IPN kwalifikację czynu oskarżonych, jako tych, którzy – spośród ówczesnych najwyższych przedstawicieli władz partii i państwa – stworzyli „związek przestępczy o charakterze zbrojnym”, aby zniszczyć Solidarność i ocalić istniejący ustrój.

Nie podejmując na tym miejscu analizy tej absurdalnej kwalifikacji, powtórzmy jedynie za Bogdanem Wróblewskim („Gazeta Wyborcza” z 13 stycznia 2012), że zakłada ona, iż „generałowie działali wbrew jakiejś innej, legalnie istniejącej władzy albo przynajmniej obok niej. Podczas gdy oni właśnie tę władzę tworzyli. I przed 13 grudnia 1981 r. i po tej dacie. Ale prawno-logicznego wyjaśnienia tego paradoksu wczoraj od sądu nie usłyszeliśmy.

Pozostaje mieć nadzieję, że sąd wyższej instancji rozważy z uwagą ów „paradoks” i uwolni od piętna tyle rażąco ideologicznego, co nielogicznego ostateczny werdykt niezależnego sądu Rzeczypospolitej wobec tych, którzy często wbrew sobie, zmuszeni byli podjąć decyzję w imię tego, co uznali za mniejsze zło.

Andrzej BIERNACKI

Pancerni i psy czyli ludzkość w o(błędzie) kapitalizmu

Codziennie na naszych oczach dokonuje się selekcja i segregacja ludzi. Niemała część z nich łąduje w społecznym śmietniku, zaś małeńka garstka wspina się na najwyższe półki hipermarketu z kapitałem ludzkim, bo przeszła celująco casting do ogólnokapitalistycznego programu „Mam twarde łokcie”.

Osobowość optymalna wyhodowana w warunkach kapitalizmu z wilczą gębą to w istocie doskonały produkt propagandy sukcesu i rozwodrzonej konsumpcji. Taki osobnik, bardziej darwinistyczny niż sama teoria Darwina musi wyrobić w sobie pewne cechy, by najlepiej przystosować się do życia w miejskiej dżungli: zastąpić myślenie ślepą pewnością, a więc stać się maksymalnie wydanym podmiotem pozbawionym wątpliwości, niepokoju wewnętrznego, moralnego fermentu.

Taki zsyty na miarę przedstawiciel gatunku homo non sapiens musi umieć się sprzedać, zachęcać do kupowania określonej oferty, stać się towarem, a więc ostatecznie „człowiekiem sukcesu”.

Jego wartość czy społeczny rezonans to kwestia przeliczalna, całkowicie wymierna, tyle że, nie dajmy się zwieść, mierna antropologicznie...

Nasz język odzwierciedla bezbłędnie tendencję do merkantylizacji relacji międzyludzkich. Mowa jest niezwykle czuła na zmiany mentalności. „Zasoby ludzkie”, „zarządzanie kapitałem i zasobami ludzkimi”, „wiek produkcyjny”, „osobogodziny” i inne pozornie niewinne słówka to miernik głębszych przemian światopoglądowych. Wystarczy wsłuchać się nawet wrywkowo w wypowiedzi jurorów, biorących udział w produkcjach telewizyjnych typu show o ogromnej sile oddziaływania na widzów, by przekonać się, że sami przeszli ze słownika poprawnej polszczyzny na spolszczony angloamerykański żargon pełen kiepskich wyrażań w stylu „masz power”, „dałeś czadu na maksa”, „masakra”, „totalnie sexy”, itp. Ekspresja werbalna skurczyła się nagle do malutkiego, podręcznego słowniczka biznesowego z suplementem slangowo-sloganowym na każdą okazję. Dla nielicznych niewtajemniczonych można by wydać swego rodzaju rozmówki polsko-polskie z kręgu małpujących się wzajemnie karierowiczów. Ileż zdań z podtekstem handlowym pada w dyskusjach omawiających zachowanie osób w kontekście dalekim od biznesowych negocjacji „nie umiesz się sprzedać”, „wyglądasz jak milion dolarów”, „to nie ta półka”, „ja tego nie kupuję”, „ale towar!”, itd.

Osobowościom rzeczywiście sprzedajnym i słabym łatwo uwierzyć, że pewność siebie zastąpi brak aksjologicznego kośćca. Podniebny lot pośród aplauzu tłumów pragnących zawsze tylko „chleba i igrzysk” jest w najlepszym wypadku dowodem przykładowego przystosowania się do warunków akceptacji tu i teraz, lecz niezwykle rzadko bycie na fali sprzyja opieraniu się zmienności, która wychowanków pewności siebie przeraża najbardziej.

Wraz z popularnością przychodzi czas lęku, widmo zapomnienia, pięciominutowy szal rozpoznawalności, fajerwerki, które nie mają nic wspólnego ze światłem oświetlającym drogę, rozświetlającym horyzonty nieznanego, bo gasną niemal natychmiast. Pośród wybitnych, wiecznotrwałych dominują ludzie dramatyczni, targani sprzecznościami, zdeintegrowani wewnętrznie, których uskrzydlały idee, a nie marny puch świetności, oświetlały nie reflektory lecz nikłe światełko u ujścia mrocznych ścieżek poznania i twórczości. Pewność siebie to chyba jedna z ostatnich rzeczy, jaka w ich życiu mogła mieć znaczenie. Pewność, brak wątpliwości, umysł niezmacony, gładki jak tafla lodu to naturalni antagoniści rozwoju. Jak w ogóle można być pewnym siebie? Trzeba by wiedzieć doskonale, czym jest „ja”, mieć dane na temat jego trwałości, niezawodnych, niewzruszonych fundamentów jaźni, ponadto trzeba by przynajmniej wierzyć w statyczność jednostki tak od strony bytu jak i wartości. Dynamika życia i bieg myśli świadczą o czymś zgoła przeciwnym: pycha moralna zamyka drzwi mądrości, natomiast uznanie własnej omylności, nieokreśloności, zmienności pomaga zrozumieć zarówno siebie jak i innych.

Czym jest zatem wszechobecna propaganda pewności siebie? Nie chodzi w niej o wspieranie wewnętrznej siły, nie ma tu nawet intencji uszczęśliwiania poprzez wsparcie jakiegoś osobowego dobrostanu, lecz próba manipulowania ludźmi tak, by zatrzymali się na etapie bardzo prostej integracji wewnętrznej, nawet gdy jest ona niedojrzała, a samozadowolenie konstruuje ją jaką skończoną i zamkniętą. Dezintegracja jest postrzegana jako nieatrakcyjna, chora, wymagająca prozacu, który uciszy pustkę i nada jej rysy błęgiego stanu uspienia. Pytania, zaduma, rozterki nie czynią konsumenta. Konsument ma wiedzieć, że jest czegoś wart, a przyjdzie mu to łatwo, gdy podmieni bycie na posiadanie.

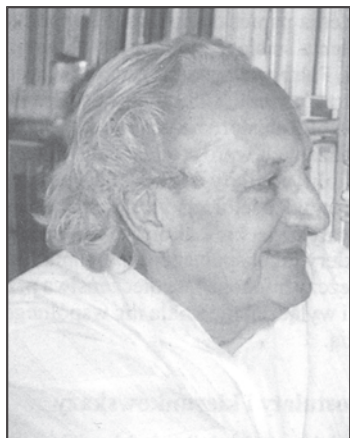
Jednostka zaimpregnowana, odporna na pytajniki sprawdza się w modelu kapitalistycznym jako pancerny identyfikator sukcesu. Pancerny jest przekonany, że to co osiągnął jest właściwie tylko jego zasługą, a więc to co osiągnął definiuje go, rozstrzyga o jego wartości, bowiem tak zaprogramowany jest umysł zdobywcy. Wszyscy startują w wyścigu zdobywców, a system nagrody utrwala zachowania tych, którzy okazują się najbardziej skuteczni, a co za tym idzie najbardziej pewni siebie. Chwila zastanowienia może zburzyć całą strategię parcia naprzód. Inni przebojowi pancerni wyprzedzą i odbiorą trofeum. Pancerny indywidualista staje się leibnizowską monadą bez okien i drzwi przy braku świadomości, że tak właśnie dał się uformować, a więc w istocie nie był to w pełni suwerenny wybór, gdyż w jego przypadku nie dopuszczono do rozwoju

woli zdolnej do niezależnego osądu. Monady bez okien i drzwi ale za to ogrodzone żelaznym płotem przypominają ludzi z klapkami na oczach, z przytępionym słuchem, ale za to z godnym podziwu użebieniem. Zjedz, zanim zostaniesz zjedzony - oto prawo współczesnych pancernych, dla których pies nie jest towarzyszem, ale symbolem zubożałych mas, które się nie liczą, są tanią siłą roboczą albo wręcz nawozem niczym masy robotników za czasów okrutnych faraonów. To oni psy kapitalizmu harują, by wzniesiono kolejną świątynię pieniądza, kolejny grobowiec kultury i pałac mamony, a sami dostają tylko ochłapy ze stołu panów...

Na naszych oczach segreguje się ludzi jak śmieci. Gdyby takim jednostkom jak Sokrates, Nietzsche, Kafka czy Marks przyszło żyć w naszych czasach, słuchalibyśmy ich nauk pośród kontenerów na odpady, bo tam trafiliby bezrobotni geniusze zbyt silni na to, by przystosować się do głupoty, krótkowzroczności i prymitywizmu pracodawców, urzędników i władz, a zbyt słabi, by móc z walczyć z machiną bezmyślności.

Jadwiga SEBESTA

PAMIĘCI ZMARŁYCH



Z najgłębszym żalem żegnamy zmarłego 1 grudnia 2011 roku

Profesora Andrzeja NOWICKIEGO

wybitnego historyka filozofii, badacza i znawcy dziejów włoskiego Renesansu, autora głośnych studiów o Galileuszu, Giordano Bruno i Vaninim; długoletniego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Wrocławskiego oraz Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie; wychowawcy wielu swoich uczniów, aktywnych i cenionych dziś ludzi nauki i kultury; pioniera badań religioznawczych w Polsce i założyciela Polskiego Towarzystwa Religioznawczego; niestrudzonego działacza polskiego ruchu wolnomyślicielskiego, z nazwiskiem którego łączą się jego najpiękniejsze karty.

Był Zmarłym Człowiekiem wielkiej osobistej kultury i encyklopedycznej wiedzy, a swój konsekwentnie laicki światopogląd łączył z ujmującym szacunkiem wobec inaczej myślących; był dla kilku pokoleń działaczy polskiego ruchu świeckiego niekwestionowanym autorytetem, tym, na którym zawsze można było polegać.

Tym większy pozostaje smutek i żal po Jego odejściu, po zakończeniu życia wyjątkowo pracowitego; życia, które - zapisane na kartach Jego wielu książek - będą nam nadal służyć pomocą i radą, tak jak służył nam, kiedy był z nami do końca swoich dni.

Będziemy o Nim stale pamiętać.

Towarzystwo Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego
Redakcja RES HUMANA

Dnia 8 grudnia 2011 r. odbył się na warszawskim Cmentarzu Północnym pogrzeb Andrzeja NOWICKIEGO, w którym obok najbliższej rodziny Zmarłego, uczestniczyli m.in. prezes Polskiego Towarzystwa Religioznawczego prof. Zbigniew Stachowski, wiceprezes Rady Krajowej TKŚ oraz redaktor naczelny RES HUMANA dr Zdzisław Słowik oraz działacze Polskiego Stowarzyszenia Racionalistów. Podczas uroczystego pożegnania w Domu Przedpogrzebowym prof. Janusz Y. Ostrowski, mówiąc o swym Zmarłym Przyjacielu, wyraził w słowach serdecznych myśli i uczucia całego środowiska polskich humanistów świeckich.

III RZECZPOSPOLITA: TROSKA, PERSPEKTYWY, NADZIEJE

Drukujemy poniżej, z niewielkimi skrótami, tekst wystąpienia Leszka MILLERA, przewodniczącego SLD i Klubu Parlamentarnego SLD w debacie sejmowej nad exposé premiera Donalda Tuska 18 listopada 2011 r. jako wyraziste stanowisko polskiej lewicy wobec najważniejszych spraw naszego państwa.

Redakcja RES HUMANA

Leszek MILLER

CZŁOWIEK JEST WAŻNIEJSZY NIŻ RYNEK

Pan prezes Rady Ministrów Donald Tusk jest pierwszym szefem rządu, który nie może odciąć się od poprzednika. Dotychczas każdy premier, łącznie ze mną, mógł w swoim exposé skupić się na jasnej przyszłości, a cieniami obciążyć poprzedniego szefa rządu. Pan, stojąc na półmetku swej rządowej drogi, ani niczego nie zaczyna, ani niczego nie kończy. Może pan wskazać swoje osiągnięcia i kierunki ich kontynuacji. Uczynił pan to przez 60 minut.

Z tego, co usłyszałem w exposé, wynika, że kryzys gospodarczy nie stuka do naszych drzwi, nie łomocze – jest już w przedpokojach, powiesił płaszcz, założył kaptur i zaczyna czuć się jak u siebie w domu. Wyczuł słabość, zostawili drzwi otwarte w przekonaniu, że nie trzeba wiele robić, żeby wysokie fale same ominęły zieloną wyspę. Okazało się jednak, że nie jesteśmy zieloną wyspą, co więcej – że w ogóle nie jesteśmy wyspą...

Sojusz Lewicy Demokratycznej odrzuca zasadę „im gorzej, tym lepiej”. Sami doświadczaliśmy następstw tej postawy. Dobrze wiemy, co ona znaczy, wiemy, jakie niesie skutki dla państwa i jego obywateli. **W ważnych sprawach i trudnych czasach rząd powinien podejmować współpracę z opozycją, a opozycja nie powinna bezrozumnie takiej współpracy odrzucać. Tak było, gdy opozycyjny SLD poparł reformę administracyjną rządu premiera Buzka. Tak było, gdy opozycyjna Platforma Obywatelska poparła wynik negocjacji akcesyjnych mojego rządu i aktywnie włączyła się w kampanię przed referendum europejskim. Zawsze gdy tak było, Polska na tym zyskiwała, gdy było inaczej, ponosiła straty.**

Deklarujemy wolę współpracy w najważniejszych dla Polski sprawach, ale wola współpracy musi być szczerą i dwustronną. Dobrze pamiętamy, jak lekko odrzucano w poprzedniej kadencji uzgodnione projekty ustaw, jak łatwo odchodzono od mądrych kompromisów, jak funkcjonowała słynna zamrażarka pełna dobrych projektów, z jaką nonszalancją i poczuciem wyższości traktowane były inicjatywy opozycji.

Jest jeszcze inny, ważniejszy, bo programowy aspekt. Otóż w wyniku zmian ustawowych dokonanych w poprzedniej kadencji przez rządzącą koalicję, wpływających na zasobność gospodarstw domowych najwięcej zyskały gospodarstwa najbogatsze. Ich dochody wzrosły

przeciętnie o 550 zł miesięcznie, a gospodarstwa najuboższe zyskały przeciętnie 10 zł miesięcznie.

To oczywiście, że taka polityka nie nadaje się do naszego wsparcia.

Z kryzysem jak z koniem, nie warto się kopać. Trzeba jednak szybko go okiełznać. Rola rządu w tej mierze jest wskazać, jak można kryzys zamortyzować i jak rozłożyć koszty tej amortyzacji. Bez wątplenia ci, których stać na więcej, muszą w większym stopniu uczestniczyć w kosztach okiełznania kryzysu. Będziemy twardą opozycją wszędzie tam, gdzie rząd zdecyduje się koszty kryzysu przenosić na najsłabszych, dławić samorządność, prawa związków zawodowych, ograniczać zakres bezpłatnej nauki lub ochrony zdrowia. **Będziemy natomiast wspierać rząd we wszystkim, co służyć może spełnieniu potrzeb najsłabszych – emerytów, rencistów i ludzi utrzymujących się ze sprzedaży własnej pracy, młodzieży szukającej pracy i mieszkania. W działaniach, które będą służyć uniknięciu recesji i sprawiedliwemu rozłożeniu kosztów wychodzenia z kryzysu.**

W wystąpieniu Pana premiera usłyszałem wiele kwestii, które Sojusz Lewicy Demokratycznej akceptuje i niejednokrotnie już proponował. Odpowiada mi filozofia podejścia do kwestii becikowego czy do ulg rodzinnych. Odpowiadają mi również niezbędne deregulacje. Słusznym postulatem jest podwyższenie składki rentowej. Jesteśmy za wprowadzeniem rachunkowości w gospodarstwach rolniczych i likwidacją podatku rolnego. W tym miejscu jednak pozwolę sobie zadać pytanie: Ale jak w związku z tym zrekomensuje pan dochody samorządom i czy nie czai się za tym wprowadzenie podatku od nieruchomości?

Nie uznajemy za oczywiste, że wydłużenie wieku emerytalnego to panaceum na kłopoty budżetowe. Wydłużenie wieku emerytalnego wepchnie w bezrobocie kolejne tysiące ludzi – absolwentów szkół i uczelni, a także ludzi w wieku 50+. Granica wieku emerytalnego powinna naszym zdaniem nabrać charakteru fakultatywnego przy wysokim stażu ubezpieczeniowym. Po jej osiągnięciu obywatel będzie mógł pójść na emeryturę, a jeśli czuje się w pełni sił i chce pracować nadal, to też będzie mógł to czynić.

Rząd może liczyć na nasze wsparcie, kiedy włoży rękę do własnej, a nie cudzej kieszeni. W ciągu ostatnich 4 lat w administracji państwowej przybyło 80 tys. etatów. Jednocześnie o tyle samo wzrosło bezrobocie wśród absolwentów szkół i uczelni. Bezrobocie rośnie, a środki na aktywne formy jego zwalczania leżą zablokowane na kontach, aby sztucznie obniżyć deficyt. **Po raz kolejny też postulujemy likwidację zbędnych instytucji pochłaniających pieniądze podatników, jak IPN i CBA. Żal po nich będzie krótki.**

Uważam też, że nie ma powodu do chronienia kosztów obywateli interesów banków i rynków finansowych. Zwykli obywatel, kupując cokolwiek, płaci podatek, bankierzy kupujący i sprzedający miliony dolarów, euro czy jenów żadnego podatku nie płacą. To jest niesprawiedliwe. Solidarność społeczna, uczciwe i równomierne rozkładanie obciążeń i obowiązków, uwalnianie ludzkiej przedsiębiorczości z biurokratycznych kajdan – to są sposoby walki z kryzysem i z pewnością zostaną zaakceptowane przez obywateli.

Mam świadomość, że nie da się rozwiązać wszystkich problemów jednocześnie. Są jednak przynajmniej dwie kwestie, które mimo trudnej sytuacji finansów publicznych powinny być załatwione od razu: po pierwsze, podwyższenie kryteriów uprawniających do świadczeń rodzinnych, bo są one niższe od wartości minimum socjalnego i nie podniesiono ich od 2004 r., po drugie, podwyższenie progów dochodowych uprawniających rodziny do świadczeń z pomocy społecznej, bo dziś są one niższe od minimum egzystencji.

Exposé i debata, która toczy się w tej Izbie, potwierdzają, że głównym problemem polskich przemian jest to, że ludzie pracy ponieśli największe wyrzeczenia i cierpienia, najbardziej ze wszystkich odczuli ból transformacji. Żeby to zmienić, trzeba zapewnić więcej godności i sprawiedliwości, aby ci, którym jest najtrudniej, czuli się dobrze we własnej ojczyźnie. Trzeba więcej sprawiedliwości, aby każdy mógł wykorzystać swoje szanse bez względu na zawartość portfela czy miejsce urodzenia. Trzeba budować kraj, w którym najważniejszymi zadaniami są dostatnie życie obywateli, równe szanse w okresie młodości, spokój i szacunek w okresie starości.

Sejmowa reprezentacja Sojuszu Lewicy Demokratycznej jest gotowa współdziałać z rządem i siłami parlamentarnymi w trudnym dziele reform w przekonaniu, że **człowiek jest ważniejszy niż rynek**, bo człowiek i przynależne mu dobra nie są towarem, zaś wolny rynek nie może być dowolny, a konkurencyjność gospodarki trzeba godzić z solidarnością i sprawiedliwością; że praca jest ważniejsza niż zasiłek, bo trzeba budować społeczeństwo pracy, a nie społeczeństwo zasiłków – społeczeństwo zasiłków jest biedne, a społeczeństwo pracy jest aktywne i bogate; że zdrowie jest ważniejsze niż pieniądź, bo zdrowie nie może być uzależnione od zamożności pacjenta – nie ma takich pieniędzy, których państwo nie powinno wydać dla ratowania choćby jednego człowieka; że równe szanse są ważniejsze niż miejsce urodzenia, bo brak równych szans i możliwości rodzi wrogów własnego państwa – równe szanse to konieczność równouprawnienia kobiet i mężczyzn, to przestrzeganie praw mniejszości, to zdecydowany sprzeciw wobec każdej dyskryminacji; że Polska Akademia Nauk jest ważniejsza niż Instytut Pamięci Narodowej, bo edukacja i wiedza są największym kapitałem, jaki Polska może wnieść do zjednoczonej Europy – wiedza o procesach społecznych i technologicznych, a nie o teczkach i lustracji.

Jak podkreślił pan premier, pomyślność Polski jest związana z Unią Europejską – my również tak uważamy. **Integracja europejska to tama dla kołtuństwa, zaściankowości, nietolerancji i faszyzmu, to tarcza antyklerykalna, która broni przed ciemnotą.** Nic dziwnego, że w tym miejscu są tacy, którzy integracji europejskiej sprzeciwiają się. Silna pozycja Polski w centrum Europy jest również tym, do czego dążymy, jest naszym marzeniem. Przyszłość jest związana z Unią Europejską, mamy w niej nie tylko interesy ekonomiczne, ale także polityczne. Dziś Europa zmagają się z szeregiem problemów. Ich źródła tkwią w niepełnej i niedokończonej integracji, niedokończonej także ze strony Polski. Mój rząd wprowadził nasz kraj do Unii Europejskiej w 2004 r. W 2007 r. zrobiliśmy drugi krok, wchodząc do strefy Schengen. Trzeciego kroku zabrakło. Dopóki nie będziemy w strefie euro, nasza integracja z Europą będzie ułomna. Ale to nie jedyny problem. Przez 4 lata rząd pana premiera Tuska, o czym mówię z goryczą, nie odstąpił od protokołu brytyjskiego do Karty Praw Podstawowych. To stawia pod znakiem zapytania nie tylko szczerą troskę o prawa obywatelskie i prawa społeczne, ale także przywiązanie do idei zjednoczonej Europy. Polska w tym czasie nie przystąpiła też do deklaracji w sprawie symboli Unii Europejskiej. Rząd się zawahał i nie podjął działania, aby przeciwstawić się w tej sprawie prowincjonalnym kompleksom...

Dziś, chociaż nie usłyszałem nic o prawdziwym stanie finansów naszego państwa, o zmianach w służbie zdrowia, edukacji, infrastrukturze, znów dużo mówiono o czynach, ale niestety składają się one na wizję państwa stagnacyjnego, państwa, które wprawdzie słusznie racjonalizuje swoje wydatki, ale nie ma wiele do powiedzenia w sprawach rozwoju, aktywnej polityki gospodarczej, generowania dochodów i wzrostu gospodarczego.

Dlatego Sojusz Lewicy Demokratycznej nie może poprzeć pańskiego rządu. Będziemy jednak uczciwie i bez uprzedzeń analizować każdy projekt ustawy, który wpłynie do Sejmu. Każda propozycja, która będzie dobrze służyć Polsce i Polakom, może liczyć na naszą akceptację i wsparcie.

DO CZYTELNIKÓW I PRENUMERATORÓW „RES HUMANA”

Zapraszamy Czytelników i Prenumeratorów naszego czasopisma do pozostania z nami także w 2012 roku.

Najlepszą formą tej więzi jest prenumerata redakcyjna RES HUMANA: jej koszt za cały rok wynosi 40 zł. Radzimy, aby stosowne wpłaty realizować przelewem bankowym na konto bankowe redakcji: nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146. Można to też uczynić tradycyjnym przekazem pocztowym na adres redakcji (00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

Czytanie i prenumerowanie naszego czasopisma to dobry wybór.

Redakcja RES HUMANA

Tadeusz KOWALIK

STRATEGIA DLA POLSKI: wzór skandynawski*

I. Koniec milczącej zgody

Warto spojrzeć na doświadczenia krajów (bardziej) egalitarnych w celu przygotowania długofalowych działań przygotowujące grunt do tego, by również Polska mogła dołączyć do tej grupy. Takie spojrzenie może okazać się realistyczne, choć w tej chwili radykalny odwrót od procesów antyegalitarnych wydaje się trudno wyobrażalny. Ale nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Do niedawna tzw. podatek Tobina był hasłem jednego z odłamów alterglobalizmu (stowarzyszenia ATTAC), a obecnie czymś podobnym zajmuje się arcyliberalna Komisja Europejska. To odpowiedź na ekscesy rynków finansowych. Nie można wykluczyć buntów społecznych, na które trzeba będzie jakoś odpowiedzieć. Fakt zaś, że cała scena polityczna w Polsce przesunięta jest w prawo, stwarza dla ślepych buntów żyzną glebę. **Ucywilizowaniu zarówno masowych zachowań społecznych, jak i odpowiedzi na nie może sprzyjać wzbogacanie koszyka rozwiązań alternatywnych.**

W rezultacie obecnego kryzysu globalnego, ulega zmianie atmosfera dysputy publicznej, w której mówienie i pisanie o dzikim kapitalizmie, o drastycznych nierównościach dochodowych i majątkowych i na tym tle buntach społecznych, nie należy już tylko do ekscentrycznych lewaków lub reprezentantów Trzeciego Świata. To już część stałego dyskursu publicznego, zwłaszcza na Zachodzie. Rażąco niesprawiedliwy podział dochodu narodowego i bogactwa znalazł się na porządku dnia, a do ekonomistów heterogenicznych, którzy od dawna na to wskazywali dołączyła część ekonomistów głównego nurtu. Na czoło wysuwa się tu niezwykle ożywiona

działalność demaskatorska Josepha Stiglitz. Również Jeffrey Sachs wkroczył na tę drogę i podobnie jak Naomi Klein, znalazł się pod koniec 2011 r. wśród protestujących w kilkudziesięciu miastach Amerykanów...

Radykalna zmiana dotychczasowych dróg rozwoju jest trudno wyobrażalna bez głębokich zmian systemowych. Już obecne doświadczenia wskazują dobitnie, że z ekologią najlepiej sobie radzą społeczeństwa najbardziej egalitarne – kraje skandynawskie oraz Japonia. Nawet one jednak, praktykujące znacznie oszczędniejszy model kapitalizmu niż np. kraje anglosaskie, nie są wystarczającym wzorem dla skutecznego rozwiązania powyższego wyzwania.

II. Równiejsi kontra nierówni

Najbardziej wymowna jest, moim zdaniem, wielopłaszczyznowa konfrontacja dwóch czołowych krajów anglosaskich – Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii z czterema krajami najbardziej egalitarnymi – Japonią, Norwegią, Szwecją i Finlandią. Do tej konfrontacji się tutaj ograniczmy. Po analizie wskaźników społecznych dotyczących wielu dziedzin życia społecznego, jak aktywność obywatelska, zdrowie psychiczne i narkotyki, oczekiwane trwanie życia, otyłość, wyniki nauczania, nastoletnie matki, przemoc, więzienia i kary, mobilność społeczna, autorzy formułują następujące dwa wyobrażenia zderzenia: „Gdyby Stany Zjednoczone obniżyły poziom wewnętrznej nierówności dochodów do mniej więcej takiego, jaki wyznacza średnia dla czterech krajów o największej równości dochodów (Japonia, Norwegia, Szwecja, Finlandia), liczba obywateli mających poczucie, że mogą ufać innym, wzrosłaby nawet o 75 procent, czemu zapewne towarzyszyłaby poprawa jakości

* Fragment większej całości udostępnionej przez Autora naszej redakcji.

życia społecznego – napisali Richard Wilkinson i Kate Pickett. Występowanie zaburzeń psychicznych i otyłości mogłoby się zmniejszyć prawie o dwie trzecie, liczba nastolatków zostających matkami zmalałaby przeszło o połowę, liczba więźniów mogłaby ulec zmniejszeniu o 75 procent, ludzie żyliby dłużej, a ich czas pracy skróciłby się w sumie o dwa miesiące w roku” (s. 280).

Drugie wymyślane zderzenie dotyczy Wielkiej Brytanii: „Gdyby zapanował w niej taki stopień równości [jak w krajach skandynawskich oraz Japonii – TK], poziom wzajemnego zaufania mógłby wzrosnąć o dwie trzecie, liczba zaburzeń psychicznych mogłaby spaść przeszło o połowę, wszyscy zyskaliby rok życia, liczba urodzeń wśród nastolatków mogłaby zmaleć o dwie trzecie, liczba zabójstw mogłaby spaść o 75 procent, każdy mógłby zyskać w ciągu roku czas wolny w liczbie odpowiadającej prawie siedmiu tygodniom dodatkowego urlopu, a w całym kraju można by zamykać więzienie za więzieniem” (s. 281).

Porównania te są z paru punktów widzenia doniosłe. Przede wszystkim, ukazują one w sposób obrazowy skalę i głębię odmienności ustrojowych konfrontowanych krajów, które często obejmowane są – jakże mało mówiącą – zbiorczą nazwą kapitalizmu. A lista wymienionych tu konsekwencji społecznych nie jest bynajmniej wyczerpująca. Jest ich znacznie więcej. Na przykład, ostatnio coraz częściej wskazuje się rażące nierówności, a zwłaszcza stagnację płac (z wyłączeniem menedżerów) w ciągu ostatnich trzydziestu lat jako jedną z głównych przyczyn kryzysu gospodarki amerykańskiej, co w różnym stopniu dotyczy także innych krajów.

Ekonomiści mogliby tu dodać, że większy stopień egalitaryzmu krajów nordyckich i Japonii szedł w parze z większą efektywnością gospodarczą. Amerykański ekonomista, David Gordon zestawiał dane statystyczne z których wynika, że wszystkie ważne wskaźniki są w grupie krajów o systemach kooperacyjnych znacznie korzystniejsze niż w krajach konfliktowych, i to zarówno ze społecznego, jak i czysto ekonomicznego punktu widzenia. Różnice z reguły wynoszą kilkadziesiąt, a w przypadku bezrobocia – ponad sto procent¹. **Nie chodzi tu więc tylko o korzyści płynące z samego państwa opiekuńczego, lecz o lekceważony zwykle fakt, że egalitaryzm, wysokie zabezpieczenie społeczne jest swego rodzaju**

czynnikiem produkcji. Wbrew przekonaniu ekonomii liberalnej, większa równość, większa sprawiedliwość społeczna, a także partycypacja pracowników w procesie decyzyjnym, sprzyjała wzrostowi krajowego bochenka do podziąka. W późniejszych latach obraz nie jest już tak klarowny. A powstaje pytanie, dlaczego się tak dzieje? Czy nie jest to skutek neoliberalnej polityki makroekonomicznej UE[1]?

Szwedzi jako pierwsi usilnie dowodzili, zarówno w praktyce, jak i w teorii, że liberalny dylemat: albo równość, albo efektywność (w szerokich ramach) nie istnieje. Sprzeciwiali się temu, co (chyba bez zgody autora) uznano za prawo Simona Kuzneta. Badania Kuzneta (1955) wskazywały, że ówczesnej industrializacji towarzyszył wzrost nierówności dochodowych. Już wówczas kwestionowali to Szwedzi. Reprezentowali oni jednak mały kraj, dlatego ich doświadczenie i argumentacja były przez wiele lat ignorowane². Rewizji tego prawa dokonano później, w oparciu głównie o doświadczenie tzw. wschodnio-azjatyckich tygrysów, i to dopiero wtedy (jakże to znamienne!), gdy Japonia stała się potęgą gospodarczą zagrażającą dominacji Stanów Zjednoczonych – przynajmniej na terenie Azji. Joseph Stiglitz (1997) stwierdził, że właśnie tam „prawo Kuzneta” zostało negatywnie zweryfikowane. Co zresztą stało się przyczyną radykalizacji jego poglądów, coraz ostrzejszej krytyki amerykańskiego systemu społeczno-ekonomicznego, a następnie otwartej apoteozy modelu skandynawskiego (Stiglitz, 2006, 2007).

Przypomnijmy, że w obu tych nieegalitarnych krajach anglosaskich rządy i partie polityczne mają w swych dziejach długi epizod działania na rzecz większej równości, i to z realnymi skutkami o charakterze pionierskim. **Nowy Ład F. D. Roosevelta uchodzi nie tylko za prekursora keynesowskiej polityki nakręcania koniunktury, lecz także za program uspołecznienia kapitalizmu przez wprowadzenie wielu instytucji rozszerzających uprawnienia pracownicze (ustawowa płaca minimalna, ubezpieczenia, zasiłki, 40-godzinny tydzień pracy, itp.). Temu właśnie Roosevelt zawdzięczał fenomen czterokrotnego zwycięstwa wyborczego.** Pozostawił on następcom swoisty testament w postaci projektu ustawy o pełnym zatrudnieniu. I nawet za czasów prezydentur Harry Trumana i Dwighta Eisenhowera – obu

dalekich od radykalizmu ich poprzednika, reformy Nowego Ładu, poza ponownym ograniczeniem uprawnień związków zawodowych, nie zostały przekreślone. Kilkanaście lat później J.F. Kennedy i jego następca Lyndon Johnson rozszerzyli niejako program Nowego Ładu. Rezultatem był szybki wzrost gospodarczy oraz wysoki poziom zatrudnienia. Dzięki temu przez prawie dwie dekady nierówności dochodowe systematycznie spadały. Mogło się więc wydawać, że Stany Zjednoczone na trwałe zeszyły z drogi wzrastającej polaryzacji dochodowej i majątkowej społeczeństwa, tak charakterystycznej dla czasów sprzed Wielkiego Kryzysu.

Ze Stanów Zjednoczonych emanował wówczas na świat duch solidarności, pomocy i demokracji. Ich wyrazem była szeroko zakrojona, popierana przez społeczeństwo pomoc w postaci Planu Marshalla.

Gdy mowa o społecznych i ekonomicznych osiągnięciach krajów skandynawskich często pada argument, że łatwo to robić w krajach małych. Przytoczona tu historia USA i Wielkiej Brytanii wskazuje, że jest to możliwe również w krajach wielkich. Ich doświadczenie podważa także tezę o historyczno-kulturowej genezie systemu krajów skandynawskich, czyniącej go zjawiskiem unikatowym. **Decydująca okazywała się silna wola rządzących wspierana przez wpływowe grupy społeczne.**

I jeszcze jedna lekcja płynąca z doświadczenia dwóch czołowych krajów anglosaskich. W ostatnich latach w obu tych państwach podjęto próbę zejścia z drogi pogłębiających się nierówności. Pierwsza ekipa ekonomiczna Billa Clintona w większości składała się (chodzi o skład rządu oraz Rady Doradców Prezydenta) z ludzi lewicy. Podjęto próbę zawrócenia z drogi wytyczonej przez Reaganomics, m.in. wprowadzono bardziej progresywny system podatkowy. Zdołano jednak tylko przyhamować wzrost nierówności. Odwrot okazał się niemożliwy. Ekipa drugiej kadencji, wprawdzie nie bez walki, wyraźnie się temu poddała, co samokrytycznie przyznawał szef Rady Doradców Ekonomicznych prezydenta, Joseph Stiglitz. **Dwie przyczyny wydają się najważniejsze: postępująca oligarchizacja władzy politycznej i kapitału oraz słabość organizacyjna świata pracy. Ale i trzecia przyczyna – z dziedziny psychologii mitu – powinna być tu odnotowana.** W podsumowaniu swych doświadczeń w charakterze

szefa doradców, Stiglitz (1998) użalał się na głęboko zakorzenie w establishmentie przekonanie, że jeśli jedni zyskają, to drudzy muszą stracić. Utrudniało to wprowadzenie zmian, które mogły być korzystne dla ogromnej większości społeczeństwa.

Mało kto wie, lub pamięta, że inspiracją dla pierwszych rysów „nowej trzeciej drogi” Toniego Blaira i „Die Neue Zentrum” Gerharda Schroedera była właśnie koncepcja oraz początkowe nadzieje i sukcesy Billa Clintona. W Wielkiej Brytanii wprowadzono ustawową płacę minimalną, New Deal dla młodzieży. Zmniejszono liczbę dzieci żyjących poniżej linii ubóstwa, a także osób żyjących „w ubóstwie absolutnym”. Znacznie zwiększono nakłady na usługi społeczne (na zdrowie i edukację). Te nowe tendencje znajdujące wyraz w spadku nierówności dochodowych nie przetrwały pierwszej kadencji prezydenta Clintona. Przemienne okazały się, zdominowane przez kapitał finansowy, siły rynkowe, które – by użyć znanego powiedzenia Jacka Kuronia – „nagradzają bogatych i dołują biednych”. W dodatku, brytyjscy laburzyści w nie mniejszym stopniu, jak kolejne rządy amerykańskie stracili kontrolę nad bankami, co doprowadziło do głębokiego kryzysu i na tym tle do jawnej kontrrewolucji rządu Camerona.

III. W procesie innowacji ustrojowych

XX wiek był epoką wielkich innowacji ustrojowych, tych udanych i tych koszmarnych. Faszyzm przeszedł do historii jako koszmar i aberracja, wyraz skrajnego irracjonalizmu. System stworzony przez komunistów trwał znacznie dłużej, miał więc czas na ewolucję, na proces adaptacji i transformacji. Ale nawet gdyby np. skończył się razem ze śmiercią Stalina, to też nie przeszedłby do historii wyłącznie jako totalitarny koszmar. Choćby dlatego, że komunistycznemu zagrożeniu właśnie Japonia, Południowa Korea, Taiwan i Zachodnie Niemcy zawdzięczają powstanie nowatorskich systemów społeczno-ekonomicznych. Tym chyba najłatwiej wyjaśnić zdumiewający przecież fakt, że okupacyjne władze USA – nadal państwa o ograniczonej roli gospodarczej – wypromowały (w Japonii wręcz narzuciły) bardzo odmienne od swego (tzn. amerykańskiego) systemy. Bardziej autonomicznie powstawały systemy nazywane

mianem skandynawskich, lub nordyckich. Ale i one zostały określone jako trzecia, lub pośrednia droga (Childs, Sweden. *The Middle Way*, 1936). Znalazły więc swoje odniesienie do dwóch rywalizujących ze sobą megasystemów. Istnienie komunizmu – jako przykładu i jako groźby – wywarło mocny wpływ na reformatorskie skłonności kapitalizmu.

Proces innowacji systemowych trwa nadal. Kształt wyłaniających się systemów w takich krajach jak Chiny, Indie, Rosja, Wietnam, nie jest jeszcze wykrystalizowany. Jest jednak pewne, że procesom urynkowienia towarzyszą innowacje w instytucjonalno-organizacyjnej sferze polityki ekonomicznej. W Południowej Ameryce pojawiły się w kilku krajach interesujące próby systemowego wyzwalania się z północno-amerykańskiej dominacji. W Brazylii, Boliwii, Wenezueli i paru innych krajach pojawiły się zarysy nowych systemów społeczno-ekonomicznych czy – jak chcą inni – nowych typów kapitalizmu.

Pod tym względem Unia Europejska pozostaje nadal zróżnicowana. Klasyfikacji jest kilka. Ale chyba najbardziej popularna stała się ta dokonana przez Bruno Amable (2003). Wyróżnia on w Europie następujące cztery typy kapitalizmu: rynkowy (Wielka Brytania), kontynentalny (z dominującą rolą Niemiec), śródziemnomorski oraz socjaldemokratyczny (Skandynawia). Czy w dającej się przewidzieć perspektywie powstanie wskutek integracji jeden model? Wątpię. Chociaż w długiej, być może bardzo długiej perspektywie, nie można tego wykluczyć. Zarówno doświadczenia historyczne, jak i rozważania teoretyczne sugerują, że im wyższy poziom rozwoju społecznego, tym silniejsza tendencja do różnorodności i różnicowania, czyli wzbogacania form życia zbiorowego. Do zastanowienia skłania fakt, że nawet wśród szóstki krajów-weteranów integracji europejskiej, nadal utrzymują się znaczące różnice systemowe. *„W Europie nie istnieje jednorodny model gospodarczy. Model Wielkiej Brytanii jest bliższy Stanom Zjednoczonym niż Niemcom. Modelu włoskiego, zdominowanego przez kapitalizm rodzinny, słabość państwa, ogromny deficyt finansów państwowych i zadziwiająca żywotność małych i średnich firm, nie da się porównać z niczym innym, oprócz być może modelu Chińczyków z diaspory (czyli Tajwanu – TK)”* (Albert 1994: 24).

W miarę zaś wchodzenia do Unii Europejskiej nowych członków z regionu Środkowej i Południowej Europy, różnorodność systemowa w UE wzrasta. Trudno zatem orzec, co ją zdominuje: postępujące zróżnicowanie, czy procesy ustrojowej konwergencji. Nie jest też jasny przyszły kształt UE. Nie wiadomo, w jakim kierunku będzie zmierzać jej polityka gospodarcza. Już teraz UE jest postrzegana przez świat zewnętrzny jako twór mocno protekcjonistyczny, zamknięty. A nie można wykluczyć, że na tej właśnie drodze UE będzie się bronić przed „zalewem” taniego importu z Azji. Nie wiadomo więc, co okaże się silniejsze – tendencja kooperacyjna czy rywalizacyjna.

Uważam, że współistnienie i rywalizacja różnych typów kapitalizmu nie jest wyrazem niedojrzałości, niezakończonego procesu integracji, który Unia powinna pokonać. Co więcej, uważam, że warunkiem trwałości Unii Europejskiej jest zachowanie jej różnorodności instytucjonalno-organizacyjnej. Postrzegam Unię jako wspólnotę ściśle kooperujących ze sobą samodzielnych państw narodowych. A korzyści z tej współpracy odniosą te kraje, które zachowają silne państwo narodowe. Natomiast zbyt ni nacisk na przyspieszanie integracji może wywołać odwrotne procesy – by użyć słów R. Skidelskiego – zrodzić lub wzmocnić „reaktywny nacjonalizm”.

Dla wsparcia powyższego poglądu, odwołam się do opinii jednego z czołowych ekonomistów brytyjskich, noblisty Jamesa Meade’a, który konsekwentnie wyrażał pogląd, że różnorodność systemowa jest wartościową, której warto bronić. Uważał za „mało prawdopodobne, by wszystkie kraje europejskie obrały dokładnie te same rozwiązania”. Jako ważne zadanie badawcze traktował poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „jak dalece i za pomocą jakich środków międzynarodowych można zachować różnorodność eksperymentowania (...) tak aby było to zgodne z wolnością ruchu dóbr, kapitału i ludzi pomiędzy różnymi krajami wewnątrz wspólnoty” (Meade’a, 1993: 98–99). W innym studium, Meade kategorycznie sprzeciwiał się centralistyczno-unifikacyjnym tendencjom UE. Wychodząc z założenia „nieskończonej różnorodności sposobów, w jaki produkcja dóbr i usług może być organizowana, planowana i zarządzana”, przekonywał, że „byłoby wielkim hamulcem postępu, gdyby poszukiwanie no-

wych rozwiązań możliwe było tylko w jednolity sposób i we wszystkich krajach Europy równocześnie” (tamże:193). Niezależnie więc od obecnych kłopotów związanych ze wspólną walutą, powstaje dużej wagi pytanie: czy możliwości owego systemowego eksperymentowania nie zostały drastycznie ograniczone przez unifikację polityki monetarnej.

Jest zastanawiające, że dwaj skrajni zwolennicy wolnego rynku, Gary Becker i Milton Friedman zajmowali wysoce krytyczne stanowisko wobec idei wspólnej waluty.

Friedman jeszcze przed wprowadzeniem euro głosił – zawarty w tytule swego artykułu – pogląd, że *Walutowa jedność drogą do politycznego podziału* (Friedman, 1997). Dla niego USA „są przykładem sytuacji sprzyjającej posiadaniu wspólnej waluty”. Tam zdecydowały jednak o tym dwie cechy: wspólny język oraz duża ruchliwość siły roboczej, co pozwala na szybkie dostosowania w przypadku niespodziewanych szoków. Po wtóre, rząd federalny dysponuje dostatecznie dużym budżetem, by je łagodzić. Natomiast UE „jest przykładem sytuacji przeciwnej, nie sprzyjającej wprowadzeniu wspólnej waluty”. W Europie istnieją różne języki, odmienności kulturowe, narodowe lojalności, a ponadto UE ma bardzo mały budżet. Łagodził swą tezę w stosunku do Niemiec, Beneluxu i Austrii, które praktycznie już wcześniej połączyła marka niemiecka. Generalnie Friedman nie sprzeciwiał się wspólnej walucie. Uważał tylko, że w Europie jest na to zdecydowanie za wcześnie. „Polityczna jedność może utworować drogę jedności pieniężnej. Monetarna jedność wprowadzona w niesprzyjających warunkach okaże się barierą dla osiągnięcia jedności politycznej”.

Mniej przekonując, ale też skłaniające do myślenia było stanowisko Gary Beckera. Głównie z powodu obaw przed dalszą biurokratyczną centralizacją UE wręcz odradzał Polakom wejście do Eurolandu. Twierdził, że „Euro zwiększa koncentrację władzy w rękach biurokratów z Brukseli”. Obawiał się, że „dalsza centralizacja władzy jest złem dla gospodarek poszczególnych krajów, gdyż na przykład zmniejszy możliwość konkurencji pomiędzy rządami (...) Lepsza jest decentralizacja takiej władzy. To poszczególne kraje, a nie Bruksela, powinny decydować o tym, co jest dla nich korzystne” (Becker, 2006:48). Uważał też, że rywalizacja

między państwami sprzyja wzrostowi gospodarczemu. Być może więc mieli rację Walter Adams i James Brock (1986), gdy przestrzegali przed chorobą gigantyzmu (*bigness complex*). A ich argumentacja w dużym stopniu dotyczy zarówno globalizacji jako procesu niosącego gospodarczą koncentrację, jak i integracji w ramach UE.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat największego skoku modernizacyjno-gospodarczego w UE dokonały Irlandia i Finlandia, dwa małe kraje o radykalnie odmiennych systemach społeczno-ekonomicznych. Powstaje pytanie, czy dokonały tego dzięki ścisłemu przestrzeganiu Traktatów z Maastricht i amsterdamskiego, czy też dzięki umiejętnej nimi manipulacji. I czy mogłyby dokonać tego skoku po ich wejściu do Eurolandu².

IV. Doświadczenia Szwecji

Publikacja trzech *Przewodników Nieturystycznych: Szwecja* (2010), *Norwegia* (2011) oraz *Islandia* (2011) jest dużą zasługą „Krytyki Politycznej”. Jest to tym ważniejsze, że od lat media polskie przedstawiały model szwedzki w niekorzystnym świetle.

A jednak ten bogaty zbiór tekstów rodzi duży niedosyt z uwagi na sposób potraktowania problematyki ustrojowo-ekonomicznej, zlekceważenie jej. W modelu szwedzki uchodzi nie tylko o typ polityki socjalnej i państwo opiekuńcze, lecz również o organizację gospodarki i jej główne cechy, którym oczywiście towarzyszy odpowiednia polityka ekonomiczna, nie tylko ta systemowa, lecz także bieżąca. Formacja socjaldemokratyczna, a nawet socjalno-liberalna dążyła do ponownego osadzenia i zakorzenienia gospodarki w społeczeństwie. Nadało to kapitalizmowi tego kraju cechy swoiste, mocno odmienne od anglosaskiego. Gdzie bowiem umiejscowić fakt, że również na poziomie pierwotnych dochodów (nieopodatkowanych) różnicowanie płac i dochodów oraz – co nie mniej ważne – relacje pomiędzy menedżerami i pracownikami są dalekie od autorytarnej hierarchiczności? Na przykład, Volvo przez parę dziesięcioleci nie zwalniało pracowników z powodu załamania koniunktury. Można więc powiedzieć, że Szwedzi starali się być w zgodzie z sarkastycznym powiedzeniem J. M. Keynesa, że gdyby przedsiębiorcy troszczyli się o pracowników jak o maszyny (nie wyrzuca się ich podczas

recesji), to falowanie koniunktury nie byłoby tak dokuczliwe. Bo spadek funduszu płac, a więc i popytu byłby słabszy.

Większość autorów zbioru pomija problem potencjalnego znaczenia doświadczenia szwedzkiego, czy szerzej skandynawskiego dla świata, a także dla przemian polskich. Ci zaś, którzy ten temat podejmują, kładą nacisk na wyjątkowość, kulturową unikatowość Szwecji. Można mieć wrażenie, że zajęcie się zbyt wieloma aspektami ustroju, społeczeństwa, polityki i kultury, czy też po prostu osobliwościami życia społecznego Szwecji, sprawiło, że również w opiniach syntetycznych, autorzy położyli nacisk przede wszystkim na jej cechy szczególne, niepowtarzalne.

Autorka *Wstępu* Kinga Dunin zachęca wprawdzie do poważnej debaty o Polsce, co mogłoby sugerować inspirującą rolę doświadczenia szwedzkiego. Ale czy także nie zniechęcająco brzmi jej pytanie, czy szwedzkie *welfare state* (znów tylko ono) mogłoby zaistnieć „bez kulturowej «nadbudowy» egalitaryzmu, protestanckiego etosu pracy”? Owszem, protestancki etos pracy był ułatwieniem, ale po wielkim skoku gospodarczym katolickiej Irlandii oraz niektórych konfucjańskich „tygrysów” wschodnioazjatyckich, inaczej patrzymy na dzieło Maxa Webera. A czy w Szwecji lat trzydziestych więcej było „kulturowego egalitaryzmu”, niż w Polsce roku 1989? Polska pozbawiona po 1945 r. ziemskiej arystokracji i wielkiego kapitału była nie mniej chłopsko-egalitarna niż Szwecja (która nie przeszła przez fazę feudalizmu). Przecież właśnie na to, na głęboko zakorzenioną „urawniówkę” skarżyli się przez całe lata nasi politycy. Poza tym, konstytutywną cechą państwa opiekuńczego jest właśnie wyrównywanie dochodów i bogactwa za pomocą progresywnych podatków i transferów społecznych, czyli programowe kształtowanie kultury egalitaryzmu. Kultura ta powstaje i umacnia się w procesie budowy państwa opiekuńczego, polityki pełnego zatrudnienia lub świadomej polityki zmniejszania rozpiętości dochodowych i majątkowych.

Stawiając pytanie o znaczenie doświadczenia szwedzkiego dla innych krajów, dobrze jest spojrzeć na jej ustrój społeczno-ekonomiczny jako na najbardziej rozwinięte i żywotne, a w dodatku najdłużej praktykowane państwo opiekuńcze. Wiele jej doświadczeń nabiera wtedy całkiem

pragmatycznych cech. **Tak właśnie podeszła do tego doświadczenia dziewięcioosobowa grupa ekonomistów delegowana do Sztokholmu przez Konsultacyjną Radę Gospodarczą. A stało się to na przełomie stycznia i lutego 1989 roku czyli w momencie mogłoby się zdawać kluczowym, bo zaledwie parę dni przed rozpoczęciem rozmów Okrągłego Stołu³.**

Oto jak grupa ta postrzegą osobliwości modelu szwedzkiego: „O ile podstawowe mechanizmy rynku funkcjonują w rozwiniętych państwach przemysłowych tak samo czy podobnie, to np. proporcje podziału dochodu narodowego czy zasady polityki gospodarczej bywają zasadniczo odmienne. Z tego punktu widzenia szwedzki model gospodarczy jest wart szczególnego zainteresowania. Gospodarka szwedzka funkcjonuje w warunkach ostrych rygorów efektywnościowych narzuconych przez rynek międzynarodowy. Z tego, m.in. powodu nie ma w niej miejsca na paternalizm w stosunku do przedsiębiorstw czy branż trwale nieefektywnych. Jednak nawet olbrzymie programy restrukturyzacyjne, jak np. likwidacja całego praktycznie przemysłu stoczniowego (do niedawna uchodzącego za jeden z najnowocześniejszych na świecie), przebiegają tam w warunkach spokoju społecznego, mimo stale utrzymującej się znacznej siły związków zawodowych. Tajemnica sukcesu tkwi w tym, co Szwedzi nazywają aktywną polityką zatrudnienia. Zamiast przeznaczać pieniądze na zasiłki dla bezrobotnych, najpierw szuka się możliwości pracy dla potencjalnych kandydatów na bezrobotnych. Spośród pracowników zlikwidowanych stoczni nikt nie został pozostawiony własnemu losowi (...). Radykalizm gospodarczy współistnieje w Szwecji z solidaryzmem społecznym a filozofia rozwiązywania sytuacji konfliktowych jest zaprzeczeniem thatcheryzmu. W Anglii likwidacja nierentownych przedsiębiorstw przeważnie pociąga za sobą wzrost bezrobocia a co za tym idzie strajki i napięcie społeczne. W Szwecji operacja ta przebiega w miarę bezkonfliktowo” (Konsultacyjna, 1989:3–4).

Ogólne przesłanie adresowane do władz polskich antycypuje niejako zapisy późniejszej Konstytucji RP: „Dostrzec można zatem znaczne podobieństwo między wartościami, którym podporządkowana jest polityka gospodarcza i społeczna socjaldemokratów w Szwecji oraz tymi, które urzeczywistniamy lub staramy się

ureczywistnić w Polsce: pełne zatrudnienie, płaca uzależniona od wkładu pracy, bezpieczeństwo socjalne. Tym bardziej doświadczenia szwedzkie warte są przestudiowania, a niektóre z nich mogą być bezpośrednio użyteczne dla procesu reform gospodarczych oraz bieżącej polityki” (tamże: 5).

V. Quo vadis Poloniae?

Dylemat dla Polski został ostatnio ostro zarysowany. Liberalni konserwatyści „wiedzą”, że – cytując – „społeczeństwo polskie nie kwestionuje istniejącej hierarchii (...) Polacy nie chcą rewolucji ani drastycznych zmian” (Domański, 2011)⁶. „Nierówności muszą być, aby stosunki, więzi i relacje między ludźmi były stabilne.” (Tamże). Wzorcem pozostaje dla tego autora nadal społeczeństwo amerykańskie, które „funkcjonuje całkiem niezłe”.

Przeciwstawne stanowisko prezentują nowi rewizjoniści kanonów liberalnych. Jeden z wielu podobnych artykułów na łamach „Gazety Wyborczej” (!) Marka Beylina (2011) jest zapowiedziany następująco: *Bunt młodych. Wysiadka z systemu. Na razie młodzi Polacy nie buntują się ani nie organizują. Ale bez złudzeń* (GW. 28-29.05.2011). Wyjścia są dwa: „rozszerzenie państwa opiekuńczego do rozmiarów ponadnarodowych”, albo „autorytarny” zwrot podobny do tego z lat 30.

Choć sam kilka lat temu pisałem desperacko, że Bez buntu nie obejdzie się (2006), warto poszukiwać drogi bardziej cywilizowanej. Liczenie na „ponadnarodowe państwo opiekuńcze” jest złudne – przynajmniej w przewidywalnej perspektywie. To w najlepszym przypadku kwestia paru dekad. *W tej chwili bardziej realistyczne wydaje się intelektualne przygotowywanie opinii publicznej do zejścia z niefortunnej drogi przemian systemowych, ale w ramach państwa narodowego. Zakłada to odrzucenie dogmatu, że „Jesteśmy więźniami państwa narodowego”⁷. Doświadczenie bowiem ostatnich kilkunastu lat dowodnie pokazało, że z globalizacji najwięcej skorzystały te kraje, które miały silne, zdolne do samodzielnego działania państwo narodowe (Irlandia, Finlandia, Brazylia, Chiny).*

O niefortunnej, moim zdaniem, drodze przemian ustrojowych w Polsce, pisałem wielokrotnie⁸. Tutaj, dla skrót, posłużę się paroma

badaniami wspierających pośrednio moją główną ocenę polskiej transformacji.

Opracowany przez (Merkel i Giebler, 2009) Indeks Sprawiedliwości Społecznej, który doskonale ilustruje miejsce Polski w łonie 30 krajów OECD. Na indeks składa się siedem kryteriów porównawczych. Są to: środki przeciwdziałające biedzie (*poverty prevention*), edukacja, funkcjonowanie rynku pracy, wydatki społeczne na zdrowie i spójność, podział dochodu narodowego, sprawiedliwość międzygeneracyjna oraz polityka anty-dyskryminacyjna. Każdemu kryterium przypisane są pewne wartości, najwyższe – trzem pierwszym. Według tej miary, wszystkie kraje skandynawskie osiągają wartości najwyższe. Potem znajdują się zachodnie kraje kontynentu europejskiego, a za nimi Słowacja 14 miejsce), Czechy (15 miejsce), Węgry (16 miejsce). Natomiast Polska jest dopiero na dwudziestym szóstym miejscu – gorszym niż wszystkie kraje anglosaskie, w tym Wielka Brytania (21 miejsce) oraz USA (24 miejsce).

Również dane dotyczące nierówności wskazują, że na początek Polska mogłaby postawić sobie zadanie „doścignięcia” pod tym względem krajów o podobnej przeszłości: Czechy, Węgry, Słowację i Słowenię. Jak ukazują (Przychodzeń, Przychodzeń, 2009), wszystkie te kraje mają współczynnik Gini’ego w granicach 0,24 i 0,28, gdy w Polsce wynosi on ponad 0,36, najwyższy wśród dziesięciu nowych członków UE. A nie trudno byłoby odwołać się do paru innych badań wskazujących na jeszcze wyższy współczynnik Gini’ego dla Polski, najwyższy w UE za wyjątkiem Portugalii.

W tych warunkach, poszukiwanie wzorca w krajach nordyckich wydaje się uzasadnione. Zachęcać do tego powinien fakt, iż ich gospodarki okazały się sprawne zarówno w czasie dobrej, jak i złej „pogody”. Dotyczy to zwłaszcza gospodarki szwedzkiej. Zachowanie w swej polityce gospodarczej elementarnych kanonów ekonomii keynesowskiej, miało zapewne związek z tym, że ekonomiści szwedzcy ją współtworzyli. W ich kraju „wstęp” monetaryzmu i wolnorynkowej retoryki Reaganomics był niezwykle ograniczony. Znamienna, w pewnym sensie pionierska, była reakcja na kryzys gospodarki szwedzkiej lat 1991–1994. W 1993 roku posłużono się tam niebotycznym, jak na kraj wysoko rozwinięty, deficytem budżetowym. Różnica pomiędzy udziałem dochodów państwa w PKB – 60% – i

wydatków – 73%, czyli deficyt sektora finansów publicznych, wynosiła 13% PKB. Wyraziło się to również w sposobie i skali ratowania waluty i płynności banków (przeznaczono na to równowartość około 1/6 PKB). Ale dzięki temu oraz dzięki wysokim standardom zabezpieczenia społecznego, ubóstwo w czasie kryzysu nie wzrosło. Często pada argument, że za taką „lekomyślność” płaci się w długim okresie. Szwecja zaś zademonstrowała niezwykłą (obok Finlandii) zdolność połączenia procesu wychodzenia z kryzysu z modernizacyjnym skokiem. Już w kilka lat po wyjściu z kryzysu zajęła pierwsze miejsce w światowym rankingu gospodarek opartych na wiedzy. Dwaj austriacy badacze (Aiginger, Landesman, 2002: 56) mieliby obecnie jeszcze więcej argumentów na rzecz ich opinii, że w Szwecji, Finlandii oraz Danii (a z pewnymi zastrzeżeniami, także i Holandii) mamy do czynienia z „centrami doskonałości” (*centres of excellence*). Zastanawiali się oni nawet, czy zapowiadają one „nowego modelu europejskiego”. W mocy pozostaje także ówczesne przeciwstawienie tych krajów tzw. dużym krajom Unii Europejskiej cierpiącym na „eurosklerozę”³.

Wniosek ogólny wydaje się oczywisty. Powinniśmy zacząć zastanawiać się, jakie działania należy przedsięwziąć, by krok po kroku wejść na drogę naprawy naszego typu kapitalizmu w oparciu o wzory skandynawskie.

LITERATURA

Adams W. i Brock J.W., 1986, *The bigness complex*, Pantheon Books, Nowy Jork.

Aiginger K. i Landesman M., (2002) *Competitive economic performance: USA versus EU*, Research Report WIIW, Wiedeń 2002.

Albert M., 1994, *Kapitalizm kontra kapitalizm*, Wydawnictwo Znak, Kraków.

Amable B., 2003, *Diversity of Modern Capitalism*, Oxford University Press, Oxford.

Becker S. G., 2006, *Waluta biurokratów*. Wywiad Ludwika M. Bednarza, „Wprost”, 14 maja.

Friedman M., 1997, *Walutowa jedność drogą do politycznego podziału*, „Rzeczpospolita”, 2 września.

Gordon D., (1998), *Conflict and cooperation: an empirical glimpse of the imperatives of efficiency*

and redistribution, w: S. Bowles i H. Gintis (red.), *Recasting egalitarianism*, Londyn-Newy Jork 1998.

Meade J., *Liberty, Equality and Efficiency*, *Macmillan and Houndmill*, London 1993.

Merkel W., Giebler H., 2009, *Measuring Social Justice and Sustainable Governance in the OECD*, in *Stiftung Bertelsmann*. (ed.) *Sustainable Governance Indicators*, Gütersloh

Stiglitz J., 1998, *The private uses of public interests*, „Journal of Economic Perspectives”, Spring.

Stiglitz J. (2006), *Szalone lata dziewięćdziesiąte*, PWN Warszawa.

Stiglitz J., (2007), *Wizja sprawiedliwej globalizacji*, PWN Warszawa.

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2010, Szwecja. Przewodnik Nieturystyczny, Warszawa.

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2011, Norwegia. Przewodnik Nieturystyczny, Warszawa.

Wilkinson R. i Pickett K., 2011, *Duch wolności*, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa.

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2011, Islandia. Przewodnik Nieturystyczny, Warszawa.

Przypisy

¹ Porównywalności krajów „kooperacyjnych” i „konfliktowych” z krajami „egalitarnymi” i „nieegalitarnymi” nie przekreśla fakt, iż nieco inny zestaw krajów. Zamiana Niemiec przez Finlandię wprawdzie podnosi średnie nieważone krajów egalitarnych, ale również włączenie Kanady znanej z wyższego poziomu państwa opiekuńczego niż w pozostałych dwóch krajach anglosaskich również poprawia wskaźniki krajów „konfliktowych”.

² Przypominam, że Finlandia wyszła z ciężkiego kryzysu w drugiej połowie lat 90. i już u progu bieżącego stulecia zajęła pierwsze miejsce w światowym rankingu gospodarek opartych na wiedzy

³ Chociaż lektura wspomnianego Raportu sprawia wrażenie, że pisano go na gorąco, nie wiadomo czy i komu go dostarczono podczas obrad Okrągłego Stołu, a nawet czy krążył wcześniej w formie maszynopisu. W stenogramie obrad nie ma żadnego śladu dyskusji o szwedzkim modelu, chociaż co najmniej dwaj uczestnicy grupy eksperckiej, Jan Mujżel oraz Marcin Świącicki brali aktywny udział w obradach. Brak też informacji, czemu raport upubliczniono, i to tylko w formie powielaczowej, dopiero w czerwcu 1989 r.

⁴ Odnotujmy też powtórzoną ostatnio, nową mantrę Jeffreyja Sachsa (2011): „Powinniśmy naprawiać kapitalizm według wzorców skandynawskich, gdzie polityka państwa skierowana jest na prawach społecznych”.

Autor tekstu należy do grona wybitnych, niezależnych polskich ekonomistów i socjologów; w czasie strajków sierpniowych 1980 r. na Wybrzeżu był doradcą Lecha Wałęsy; później zajął krytyczne stanowisko wobec reform Balcerowicza. Z krytycznej oceny koncepcji neoliberalnych wyprowadza wniosek o potrzebie rozwoju idei i praktyki społecznej gospodarki rynkowej, co sprawia, że znajduje się obecnie wśród tych najważniejszych myślicieli, którzy postulują konieczność istotnej przebudowy dotychczasowego porządku ekonomicznego i społecznego na świecie.

ŚWIADECTWO

Poniższy tekst prof. Andrzeja ROMANOWSKIEGO, wybitnego działacza opozycji demokratycznej i jednego z ideowych twórców III RP, dziś profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktora naczelnego „Polskiego Słownika Biograficznego”, przedrukujemy za zgodą Profesora z „Gazety Wyborczej” (numer z 21 grudnia 2011 r.). Uważamy ten tekst bowiem za szczególnie świadectwo odwagi intelektualnej i moralnej, tekst, który jest protestem wobec wszelkiego fanatyzmu, nietolerancji i przemocy, tekst, który buduje porozumienie i społeczną zgodę. Takie teksty budzą nasz głęboki szacunek.

Redakcja RES HUMANA

Andrzej ROMANOWSKI

Skłamana historia, nierówna miara

Gdy przed paru dniami oglądałem czołgi na ulicach, IPN-owskie gry dla młodzieży, huczne demonstracje – zwłaszcza te najbardziej patriotyczne, pod domem Wojciecha Jaruzelskiego – przypomniały mi się słowa Jerzego Giedroycia „Nie znam narodu, który miałby historię tak skłamaną, jak Polacy”. Organizatorzy happeningów z 13 grudnia kroczą wytrwale tą drogą.

* * *

Są to podobno antykomuniści. Więc co ich w puczu Jaruzelskiego tak zaskoczyło? Wszak mieścił się on w logice ówczesnego systemu, w słowach Władysława Gomułki: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”, we frazie Leonida Breżniewa: „Socjalistycznej Polski, bratniej Polski, nie opuścimy w biedzie i nie damy jej skrzywdzić”. Jeżeli dla obecnych antykomunistów stan wojenny był aż takim wstrząsem, jeżeli aż tak bardzo muszą udowodniać jego nielegalność, to – jak widać – PRL była dla nich państwem legalnym i praworządnym.

Ci organizatorzy to w dodatku niepodległościowcy. Ale jeżeli przesądzą, że w 1981 r. Sowieci by do Polski nie weszli, jeżeli cytują jako dowód kolejne dokumenty, to zdają się uważać PRL za państwo suwerennie rozstrzygające swe problemy. Czyli: niepodległe. **Niechęć do myślenia, niezdolność logicznego rozumowania – oto co od lat niszczy polską wspólnotę.**

I są to też „piłsudczycy”. Dziś – zarzucają Jaruzelskiemu przyczynienie się do śmierci blisko 100 ludzi (w ciągu ośmiu lat). Wczoraj – nie pamiętają, że zamach majowy Piłsudskiego pochłonął 379 ofiar (w ciągu trzech dni). Dziś – mówią o dziewięciu ofiarach szturm na kopalnię Wujek. Wczoraj – zapominają o wiosnie 1936 r., gdy policja strzelała do tłumu robotników w Krakowie (osiem ofiar) i Lwowie (14). Albo o ponad 40 zabitych przez policję w czasie strajku chłopskiego w sierpniu 1937 r.

Tak, śmierć dziewięciu górników z Wujka to tragedia. O dziewięciu zabitych za dużo. Ale trudno nie zauważyć, że w idealizowanym nierzadko międzywojniu bywało gorzej.

* * *

W stanie wojennym w ciągu roku internowano ponad 10 tys. osób. W II RP przed wyborami „brzeskimi” uwięziono około 5 tys. Potem przez obóz odosobnienia w Berezie Kartuskiej

przeszło przez pięć lat 3 tys., a trzeba do tego dodać nieznaną liczbę więźniów politycznych. II Rzeczpospolita – zwraca uwagę prof. Andrzej Leon Sowa, autor wydanej niedawno historii Polski – ewoluowała w stronę coraz silniejszego autorytaryzmu; Polska Ludowa – w stronę coraz większej demokracji.

Brześć i Bereza – powie jednak nasz niepodległościowiec – to były suwerenne decyzje Polski Niepodległej. Ale jeżeli usłyszymy taki argument – to po raz kolejny pogratulujmy logiki. Bo czy nie powinien to być powód do tym większego wstydu?

A czy ludziom internowanym w stanie wojennym kazano gołymi rękami czyścić ustępy? Czy na wielką skalę stosowano terror psychiczny, symulowano egzekucje? A tak właśnie w 1930 r. postępowano z byłymi posłami uwięzionymi w Brześciu, W porównaniu zaś z reżimem panującym w Berezie warunki w części obozów internowanych w stanie wojennym były nieledwie komfortowe. Choć zgoda, np. w Kwidzynie w sierpniu 1982 r. służba więzienna, milicja i zomowcy pobili dotkliwie kilkudziesięciu z internowanych, a rok później w Barczewie strażnicy pobili uwięzionego tam Władysława Frasyniuka.

Zgoda też – w stanie wojennym nurzały nas w błocie konferencje Jerzego Urbana. Ale czy przeciwników politycznych Piłsudskiego nie nurzały w błocie jego wywiady z przełomu lat 20. i 30.? Jeżeli w autorytarnej bądź totalitarnej Europie reżim Piłsudskiego był dla Polski wyjściem optymalnym, to czy w Europie sowieckiej takim wyjściem nie był przypadkiem reżim Jaruzelskiego? Nie porównuję – pytam. I – uwzględniając kontekst historyczny – proszę o stosowanie w miarę jednakowych miar.

* * *

Oburza nas – i słusznie – brutalność stanu wojennego. Lecz przecież była ona nikła w porównaniu z poczynaniami gen. Pinocheta, skądinąd idola części przynajmniej polskiej prawicy. A przecież Chile Pinocheta nie miało u swych granic bratnich państw; mogło decydować suwerennie, odpowiedzialność tamtejszych władz była większa. „Oni – mówi dziś o Jaruzelskim i jego generałach Lech Wałęsa – byli przekonani, że są rakiety wycelowane w polskie miasta. Oni widzieli te mapy uderzenia na Polskę. Nikt na świecie nie wierzył, że jest szansa uciec Sowietom, to czemu oni mieli wierzyć”. Bogdana Borsewiczka szokuje drukowanie obwieszczeń o stanie wojennym w ZSRR. A niby gdzie je miała władza drukować? W Polsce, aby nastąpiła dekonspiracja, za nią społeczny protest i nieuchronny wtedy rozlew krwi?

Ale gdy tak już potępiamy stan wojenny, to mówmy też o liberalizacji lat 80.: poluzowaniu czynnika ideologicznego, stopniowym łagodzeniu cenzury, masowym budownictwie sakralnym, zakonserwowaniu zdobyczy jeszcze z Października '56. Rozumiem – i nawet podzielam ten pogląd – że dekada lat 80. została pod względem politycznym i gospodarczym stracona, ba! że nawet pierwsze poddmuchy Gorbaczowskiej odwilży nie wywołały w Warszawie żywszej reakcji. Gdy jednak będziemy pamiętać, z jak wielką podejrzliwością traktował przez lata Kreml polską gorącą reformatorską, zrozumiemy przyczyny stagnacji. Pierestrojka ledwie się zaczynała – trudno, by Jaruzelski, nawet gdyby chciał, zaczął od razu eksperymentować, natychmiast wiązał się z Gorbaczowem.

* * *

A czy chciał? Dobre pytanie! Myślę, że nie chciał. Ale gdy zaczął – poszedł na całość. 17 stycznia 1989 r., na X Plenum KC PZPR, zgłosił gotowość ustąpienia ze wszystkich stanowisk, byle tylko złamać opór partyjnego betonu i doprowadzić do relegalizacji „Solidarności”. To z jego decyzji – decyzji I sekretarza partii komunistycznej – Polska zafundowała sobie Okrągły Stół, a w najdalszej konsekwencji odzyskała niepodległość. **Przeciw komu więc dziś demonstrujecie i happeningujecie, panowie?**

Podobno jesteście chrześcijanami. A w chrześcijaństwie istnieje idea zadośćuczynienia. Zdawałoby się, że Jaruzelski narodowi zadośćuczynił, skoro przeprowadził go od autorytaryzmu do demokracji, skoro jako prezydent nie przeszkadzał Tadeuszowi Mazowieckiemu rozmontowywać polski komunizm. W stanie wojennym porównywałem Jaruzelskiego do Teodora Berga tłumiącego powstanie styczniowe. **Dziś, od 20 już z górą lat, powtarzam jak mantrę: to nasz Imre Nagy, o tyle jeszcze większy, że mu się udało. O fundamentalnej roli Jaruzelskiego w**

odzyskaniu niepodległości wolimy jednak nie pamiętać. W tak skomplikowaną materię mózg naszych happeningowców nie jest w stanie wnikać.

Dziś Wojciech Jaruzelski ma skończone 88 lat. Od wielu miesięcy ciężko choruje. Od 20 lat przeprasza. Kiedyś, jeszcze w 1982 r., przepraszał w Nowej Hucie rodziców zastrzelonego Bogdana Włosika („Niechciana wizyta” komentuje dziś „Tygodnik Powszechny”). Potem przepraszał ofiary kopalni Wujek – nawet pojednał się z uczestnikiem strajku w tej kopalni w grudniu 1981 r. Jerzym Wartakiem. Wcześniej przepraszał wszystkich poszkodowanych w stanie wojennym. To samo po raz kolejny uczynił w ostatnich dniach.

Czy to wszystko coś zmienia? Nic nie zmienia. To raczej rozjusza. W 1994 r. pewien działacz chłopski zranił Jaruzelskiego zawiniętym w gazetę kamieniem (generał zamachowcowi przebaczył i zwrócił się do sądu o odstąpienie od kary). **Pod jego domem odbywają się od lat seanse nienawiści. Kilkakrotnie grożono mu degradacją do stopnia szeregowca. Przed trzema laty wytoczono mu proces traktujący go jak bossa gangu. Nikogo nie ruszyło, że jest to pierwszy proces głowy państwa w tysiącletniej historii Polski.** Odwrotnie: poseł PiS (prof. dr hab. historii!) dziś jeszcze deklamuje, że Jaruzelski zasługuje na najwyższy wymiar kary. Diagnoza Tadeusza Mazowieckiego: „Polacy nie znają miłosierdzia”, wciąż nie straciła aktualności.

I nie tak prosto jest ze społeczną oceną stanu wojennego, jak chcieliby różni pisowscy i nie tylko propagandyści. Duża część z nas – w niektórych sondażach większość – uważa, że był on jednak uzasadniony. Czy świadomość tę zechcą przyjąć – tak zawsze skorzy do potępiania – pryncypialni publicyści, politycy, media?

Andrzej Romanowski – profesor na Wydziale Polonistyki UJ i w Instytucie Historii PAN, publicysta. Ostatnio wydał „Wielkość i upadek „Tygodnika Powszechnego” oraz inne szkice” (Universitas).

FUNDUSZ WSPARCIA RES HUMANA

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA” wciąż powiększa się o nowych Darczyńców i tych bliskich nam Przyjaciół naszego czasopisma, którzy ponawiają swoje wsparcie.

Oto grono Darczyńców, którzy w październiku, listopadzie i grudniu 2011 r. powiększyli FUNDUSZ WSPARCIA:

Anna BARTOCHOWSKA (po raz drugi), Feliksa BONAVENTURCZYK, Jan GABOR, Jerzy GOSZCZ (po raz drugi), Michał HOROSZEWICZ, Jolanta CIEŚLIKOWSKA-HORST, Marian KUBALKA, Jacek KULIGOWSKI, Edward KWAPISZEWSKI, Sławomir LITWIN, Władysława MALICKA, Czesław MATUSEWICZ, Adam MIKULSKI, Aleksander MOSZKOWSKI (po raz drugi), Maria NONCKIEWICZ, Radońska Rada TKŚ, Józef SZARAWARA (po raz drugi), Bogumił ŚLIWA, Romuald ŚWIĄTEK, Krystyna UJMA, Justyna Lucyna WANCZYK, Kalina WOJTKOWSKA, Mieczysław ZADURSKI (po raz drugi).

Serdecznie wszystkim dziękujemy.

Jeszcze raz serdecznie dziękujemy
Redakcja RES HUMANA

SPROSTOWANIE

Nadmierne zaufanie naszej korekty we wszechmoc komputera okazało się porażką: otóż w ostatnim akapicie artykułu prof. Jana SZMYDA *Potrzeba nowych teorii wychowania* (RES HUMANA, nr 6, 2011) powinno być oczywiście użyte słowo TELEOLOGICZNĄ a nie teologiczną, jak znalazło się w druku.

Za ten przykry chochlik bardzo przepraszamy Autora artykułu i Czytelników.

Redakcja

MYŚLI O TOLERANCJI I DZIAŁANIE DLA TOLERANCJI

Gdy ustaje tolerancja dla tolerancji, nastaje tolerancja dla przemocy.

Tadeusz KOTARBIŃSKI, *Aforyzmy i myśli*

Już po raz dwunasty Polska Fundacja Ekumeniczna Tolerancja wyróżniła w Międzynarodowym Dniu Tolerancji kolejną grupę osób Medalem ZASŁUŻONY DLA TOLERANCJI. Podczas uroczystego spotkania 16 listopada 2011 roku w gościnnej Sali warszawskiego Teatru Żydowskiego polskimi Laureatami Medalu zostali wyróżnieni:

- prof. Danuta HUBNER, wybitna ekonomistka, do niedawna pełniąca jako pierwszy przedstawiciel Polski obowiązki komisarza ds. rozwoju regionalnego Unii Europejskiej, nadal aktywna w instytucjach europejskich;

- arcybiskup ABEL, wybitny hierarcha polskiego Kościoła prawosławnego, otwarty na dialog w duchu ekumenizmu, wysoce ceniony w społeczności wiernych;

- ks. Adam BONIECKI, do niedawna redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, wcześniej pełniący ważne obowiązki w Stolicy Apostolskiej, jeden z najwybitniejszych intelektualistów polskiego Kościoła;

- prof. Barbara ENGELKING i prof. Jacek LEOCIAK, wybitni historycy dziejów najnowszych, autorzy cenionych studiów na temat losu polskich Żydów;

- prof. Jerzy JEDLICKI, wybitny historyk czasów nowożytnych, inicjator i współautor prac poświęconych dziejom polskiej inteligencji, przewodniczący Stowarzyszenia OTWARTA RZECZPOSPOLITA, organizacji działającej na rzecz porozumienia i dialogu społecznego w sprzeciwie wobec wszelkich postaci ksenofobii i nietolerancji,

Z kolei zagranicznymi Laureatami Medalu zostali wyróżnieni:

- redaktor Ewa EWART, Polka stale mieszkająca w Wielkiej Brytanii, twórczyni wielu filmów oraz innych realizacji autorskich poświęconych idei tolerancji i wolności realizowanych m.in. dla brytyjskiej BBC;

- Moshe KANTOR, wybitny działacz na rzecz tolerancji, obecnie przewodniczący Europejskiego Kongresu Żydów, przyjaciel Polski;

- prof. Ronald HILL, brytyjski politolog i socjolog, ceniony badacz przemian dokonujących się w Europie Środkowo-Wschodniej, w tym wnikliwy analityk i sympatyk polskich przemian ostatnich lat.

W imieniu gospodarzy i organizatorów spotkania Laureatów oraz licznie przybyłych gości witał dyrektor Teatru Szymon SZURMIEJ, a w imieniu Kapituły Medalu Tolerancji prof. Jerzy J. WIATR. Uroczyste wręczenie wyróżnień poprzedzały laudacje skierowane do poszczególnych Laureatów przez członków Kapituły Medalu.

Po części oficjalnej Laureaci Medalu oraz wielu zaproszonych gości spośród przedstawicieli świata nauki i kultury, powitani przez przewodniczącego Fundacji Ekumenicznej TOLERANCJA min. Kazimierza MORAWSKIEGO, kontynuowali przyjacielskie rozmowy podczas skromnego lunchu.

Poniżej drukujemy fragmenty wystąpień trzech polskich Laureatów MEDALU TOLERANCJI, które zebrani wysłuchali z uwagą i przyjęli z głębokim szacunkiem; publikujemy także dwie prace studentek jednej z podwarszawskich niepublicznych wyższych uczelni, które napisały w ramach seminarium na temat współczesnych problemów socjologii.

Profesor Danuta HÜBNER

Jestem ogromnie zaszczycona, że mogę otrzymać ten Medal w tak wspaniałym gonie wybitnych Osób, a wśród nich wraz z ks. Adamem Bonieckim, co więcej, że mam zaszczyt siedzieć koło Niego. Dziękuję więc najpierw wszystkim za to, że tu dzisiaj jestem.

A jestem tutaj i myślę zarazem o Europie, której sprawy, dylematy są przedmiotem mojej wielkiej troski i są przestrzenią mojej pracy zawodowej. Z tej perspektywy dostrzegam we współczesnej Europie, obok wielu wspaniałych rzeczy, które się dzieją, także wiele zjawisk niepokojących. Niepokoją zwłaszcza zjawiska braku tolerancji, nacjonalizmu i ksenofobii, niepokoi to, że w drodze demokratycznych wyborów, dochodzą do władzy w wielu krajach politycy, którzy nie panują nad swym językiem, a jest nim język nienawiści. Mobilizują, nierządzą ludzi młodych, do różnych form protestu na ulicach wielu miast europejskich, przy czym nie wiadomo do końca o co tym młodym ludziom chodzi.

Tolerancja dziś nie może być tylko sposobem zachowania się porządnego Europejczyka. To dzisiaj w istocie ważny akt polityczny, akt polityczny na rzecz społeczeństwa otwartego, na rzecz społeczeństwa dla którego solidarność czy prawa człowieka są wartościami szczególnie doniosłymi. Dlatego odbieram nasze dzisiejsze spotkanie jako zachętę do tolerancji aktywnej. Wszyscy musimy razem działać, aby nie dopuścić do zepchnięcia idei tolerancji na margines życia społeczeństwa europejskiego i polskiego. I myślę, że po naszym dzisiejszym spotkaniu czuję się nie tylko wyróżnioną, co przede wszystkim zmobilizowaną do podtrzymywania mojej wrażliwości i mojego sprzeciwu wobec wszystkiego, co złe i niedobre, co godzi w prawo człowieka do godnego życia.

Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Ks. Adam BONIECKI

Dziękuję za ten medal w momencie i okolicznościach dla mnie ważnych. Chciałem powiedzieć, że fakt, iż dzisiaj w Polsce katolicki ksiądz otrzymuje od Fundacji Ekumenicznej Tolerancja Medal „Zasłużony dla Tolerancji” jest faktem nie tylko znamienym, ale mającym duże znaczenie. Może zmniejszy odium, które towarzyszy, słusznie lub niesłusznie to inna sprawa, instytucji Kościoła w Polsce podejrzewanej niekiedy o brak tolerancji. Bo okazuje się, że można być katolickim księdzem bez odżegnywania się od tolerancji. Jestem więc za ten Medal ogromnie wdzięczny. Tolerancja to jest okazywanie szacunku dla godności człowieka, dla każdego człowieka. Ale wyznam jednocześnie, że nie czuję się z tym Medalem najlepiej. A to dlatego, że dla chrześcijanina tolerancja to nie jest coś za co się zbiera medale, ale to jest zaledwie punkt wyjścia do czegoś więcej. To „więcej” pomógł mi zrozumieć Jan Paweł II, który na spotkaniu ekumenicznym we Wrocławiu w 1997 tak ujął tę sprawę: „Mówiłem, iż potrzebujemy tolerancji, ale sama tolerancja między Kościołami to stanowczo za mało, bo co to za bracia, którzy się jedynie tolerują, bo nam trzeba się również wzajemnie akceptować”. Przypominam te słowa dziś i z całą mocą pragnę podkreślić ich wagę. Powtórzmy: nie można jednak poprzestać wyłącznie na wzajemnej akceptacji. Jezus Chrystus oczekuje od nas czytelnego znaku jedności, wspólnego świadectwa. Te słowa odwołują się do relacji wyznawców różnych wyznań chrześcijańskich, bo w tych relacjach pojawiły się też zachowania, delikatnie mówiąc, dalekie od tolerancji. Nie możemy więc poprzestać na tolerancji, na wzajemnej akceptacji. Nazwijmy rzeczy po imieniu: chrześcijanin ma kochać każdego bliźniego, choćby nie wiem jakim byłby innym. Staram się takim być, a z tym Medalem będę starał się jeszcze

bardziej. I wyznam w końcu, że bardzo pragnąłbym za to moje staranie otrzymać medal z ręki Pana Boga. Dziękuję.

Profesor Jerzy JEDLICKI

Wiadomość, że mam otrzymać Medal „Zasłużony dla Tolerancji” wzbudziła we mnie dwa uczucia nie całkiem ze sobą zgodne: wdzięczność i zakłopotanie. Wdzięczność za zaliczenie mnie do grona tak czcigodnego dzisiejszych medalistów i medalistów z lat ubiegłych. Być członkiem takiego stowarzyszenia jest prawdziwym zaszczytem i za to jestem wdzięczny. A zakłopotanie wynika z tego, że jechałem tutaj po to, aby się między innymi dowiedzieć na czym te moje zasługi dla tolerancji polegają, bo sam nie umiałem odgadnąć.

Ja pojmowałem, jako historyk, że tolerancja jest przymiotem ludzi posiadających władzę. Władzę państwową albo władzę duchowną, kościelną, władzę nad opinią publiczną, i którzy mając taką władzę mogą tych co nie lubią tolerować lub nie tolerować. Jeśli tolerują to chwala im za to, ale cóż prywatny człowiek, który żadnej władzy nie posiada, może tolerować lub nie tolerować. To jest dla mnie niezupełnie jasne i kłopotliwe. I jest jeszcze drugi problem, drugi kłopot. Polega on na tym, że ja się czuję tutaj przedstawicielem stowarzyszenia, które współzakoładałem, któremu służę od kilkunastu lat, Stowarzyszeniu „Otwarta Rzeczpospolita”. I to stowarzyszenie nie ma w swoim programie hasła tolerancji, powiedziałbym nawet więcej, nasze stowarzyszenie uważa, że tolerancji jest nadmiar. W Polsce jest nadmiar tolerancji szczególnie dla stróżów prawa, nadmiar tolerancji dla policji, prokuratorów i sędziów, urzędników. Dla tych co prawo przekraczają, nadmiar tolerancji dla mowy nienawiści, dla języka agresji, dla przechodzenia od słów do czynów i nadmiar tolerancji dla spadkobierców polskiej odmiany faszyzmu. Nadmiar tolerancji, który uważamy za groźny, za niebezpieczny dla przyszłości a wydarzenia ostatnich dni zdają się to tylko potwierdzać.

A zatem jeśli to co mówię wprowadza pewien zgrzyt to proszę mi wybaczyć. Myślę, że pojęcie tolerancji i idei, którą ona desygnuje, wymaga poważnej debaty na temat jej treści, jej granic. Obawiam się bowiem, że nadmiar legalistycznej czy legalizującej tolerancji dla rozzuchwalonej nietolerancji w Polsce będzie naszym poważnym obciążeniem w najbliższej przyszłości.

Takie jest moje przekonanie. I niech mi będzie wolno to wyróżnienie z takim przekonaniem odebrać.

Małgorzata BOM

Tolerancja w Polsce

Pytając przeciętnego obywatela czy Polacy są tolerancyjni, to według statystyk większość odpowiada, że tak. Jeżeli jednak przyglądamy się zjawisku tolerancji bliżej wychodzi coś całkowicie odwrotnego. Z czego to się bierze, czy nie rozumiemy znaczenia słowa tolerancja, czy też na siłę ukazujemy się jako naród, który szanuje wszelkie odmienności? Na to pytanie pewnie nigdy do końca nie znajdziemy odpowiedzi, każdy z nas sam jednak może na nie odpowiedzieć.

Aby rozpatrywać zagadnienie tolerancji w Polsce musimy wpieryw przytoczyć czymże dla nas jest owa tolerancja.

Tolerancja czyli m.in. uszanowanie obcej narodowości i związanych z nią różnic, wyglądu, ubioru, religii, sposobu życia, zachowania, wyborów itd. Nawet jeżeli się z nimi nie zgadzamy, nawet uważamy za dziwaczne czy też złe czy śmieszne to w żaden sposób nie ingerujemy w nie, lecz szanujemy jak własne przekonania,

preferencje, upodobania czy wierzenia. Zatem przyjrzyjmy się jak to jest w Polsce? Wystarczy wyjść na ulicę i zwrócić uwagę na zachowanie przechodniów. Jeżeli chodnikiem będzie szedł obcokrajowiec, nie znajdzie się osoby, która „nie zawiesiłaby na nim oka”. Jest to przykre, że w dzisiejszym, cywilizowanym świecie istnieje rasizm. Przecież rasa biała, czarna, czerwona i żółta są sobie równe. Nie różnimy się niczym. Niezależnie od tego kim ktoś jest, musimy okazywać mu należny szacunek. **Nie szanując innych ludzi, nie akceptujemy samych siebie.** Próbuując urazić bliźniego sami się ośmieszamy, a tym pokazujemy swój brak kultury.

Przejdę teraz do dyskryminacji ludzi chorych i kalekich. W Polsce brakuje miejsc pracy dla niepełnosprawnych, a przecież tacy ludzie są zdolni i potrafią często więcej niż osoby zdrowe. Powinniśmy im pomóc, chorym jest jeszcze trudniej w życiu, a nic im nie ułatwimy, pozbawiając ich miejsca zarobku pozbawiamy ich szansy na normalne funkcjonowanie w społeczeństwie. Przecież oni są takimi samymi obywatelami jak my, mają takie same prawa, przynajmniej powinni.

Kolejny bardzo drażliwy w ostatnim czasie w Polsce temat to brak całkowitej akceptacji społeczeństwa polskiego wobec odmiennych preferencji seksualnych (geje, lesbijki). Badania statystyczne pokazują, że większość społeczeństwa uważa ludzi o odmiennej preferencji seksualnej za coś nienormalnego wręcz chorego. Nie chcemy takich ludzi obok siebie i ostro to pokazujemy całemu światu. Nie są to tylko potyczki słowne lecz również rękoczyn i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Geje i lesbijki w Polsce są narażeni wręcz na wiele niebezpieczeństw. Wciąż słyszymy o napadach, prześladowaniach takich ludzi. Nie mogą oni normalnie funkcjonować w naszym społeczeństwie i muszą się ukrywać. Często to prowadzi do zaburzeń psychicznych u takich osób i wielu z nich popełnia samobójstwa. Wymienione przykłady to tylko kilka z kluczowych zagadnień, które dobitnie pokazują, że niestety Polacy nie są tolerancyjni i ta nietolerancja przejawia się na wielu płaszczyznach.¹

A teraz o granicach tolerancji. „Ogólnie mówiąc, granicą tolerancji jednych jest brak tolerancji ze strony innych. Tolerować nietolerancję innych to dawać ich nietolerancji wolne pole. Granica tolerancji uwidacznia się wyraźniej w obliczu czyjejs nietolerancji wobec dobrze sformułowanych Praw Człowieka i Praw Istot Żywych.”²

Każdy zapytany potrafiłby zapewne na swój sposób powiedzieć co to jest tolerancja. W większości bowiem uważamy się za społeczeństwa tolerancyjne. Odkąd mamy demokrację, czyli wolność słowa i czynów to tolerancja dla różnorodności, inności jest obecna w każdym aspekcie naszego życia zarówno tego politycznego jak i społecznego.

O ile samo zagadnienie tolerancji jest dla wszystkich jasne i w zasadzie łatwe, to jeżeli rozpoczyna się dyskusja na temat jej granic to zaczynają się olbrzymie problemy. Każdy bowiem nawet ten najbardziej tolerancyjny człowiek ma swoje określone poglądy i zasady. Nawet jeżeli nie przeszkadza mu żadna inność w drugim człowieku, czy to dotycząca stroju, koloru skóry czy włosów, zachowania, wyznania czy ogólnie sposobu jego bycia to jednak pewne rodzaje zachowań przez te tolerancyjne przecież społeczeństwa są ostro krytykowane (homoseksualizm, prostytutka itp.). Czy można w takim wypadku mówić, że wcale nie jesteśmy tolerancyjni skoro w większości nie aprobujemy takiej inności i nawet ostro z nią walczymy? Czy są to właśnie już zachowania wykraczające poza granice tolerancji? W tej kwestii chyba zawsze będą ostre spory. Bowiem pewnie każdy z nas, a przynajmniej większość zgodzi się, że przestępcy to grupa społeczeństwa, której absolutnie się nie powinno tolerować. W tym celu na całym świecie wprowadzone są restrykcyjne środki zapobiegawcze i karne. Mamy kodeks karny, który wyznacza w sposób bardzo dokładny sposób karania takich ludzi i ich resocjalizacji, tak aby mogli po zakończeniu kary powrócić do społeczeństwa.

Tutaj wszyscy zgodnie postawili granicę tolerancji. Bo przecież niejeden przestępca by powiedział, że nie jesteśmy tolerancyjni skoro nie mamy wyrozumiałości dla jego „inności”.

W wielu innych przypadkach kontrowersyjnych zachowań już takiej zgody co do tej granicy w społeczeństwach nie ma. Mam tu na myśli na przykład bardzo kontrowersyjny przykład spraw związanych z aborcją, który wciąż co jakiś czas powraca na światło dzienne. Zwolennicy aborcji powiedzą zapewne, jaka to tolerancja skoro zabrania się kobiecie podejmowania samodzielnej decyzji, dokonywania wyboru. W tej kwestii ostre granice, właściwie całkowity zakaz pod groźbą kary chce postawić nie tylko Kościół, ale również państwo. I tutaj znów nasuwa się pytanie, skoro jesteśmy społeczeństwem tolerancyjnym, wrażliwym dla inności, to dlaczego

nie potrafimy pozostawić kobiet w spokoju, aby samodzielnie dokonywały wyboru zgodnie ze swoimi przekonaniem i sumieniem? Od wieków trwa walka pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami aborcji i pewnie nigdy nie zakończy się polubownym rozwiązaniem dla obu stron. Czy to jest tolerancja? Czy przekraczamy granicę?

Tak, więc otwartość umysłu jest jedyną metodą, by w naszym zachowaniu nie kierować się uprzedzeniem albo niewiedzą i unikać błędów. Każdy z nas chce żyć własnym życiem, chce sam dokonywać wyborów i robiąc to, być

przez innych szanowany albo chociażby tolerowany. **Oczekujemy od innych takiej tolerancji, byśmy mogli realizować nasze zamierzenia, nawet wtedy, gdy nie rozumieją oni, dlaczego zamierzenia te są dla nas ważne.**³

Przypisy

¹ <http://www.tolerancja.org.pl/rodzaje-tolerancji.html>

² L. Ostasz, *Dobre, złe, odpowiedzialne, sprawiedliwe...*, Warszawa 2010, s. 29.

³ <http://www.tolerancja.org.pl/rodzaje-tolerancji.html>

Agnieszka MOLSKA

Tolerancja w dzisiejszym społeczeństwie

W ostatnich czasach coraz częściej w prasie, w telewizji można usłyszeć bądź przeczytać słowo „tolerancja”. Cóż on takiego oznacza? Tolerancja oznacza cierpliwość i wyrozumiałość dla odmienności. Jest poszanowaniem cudzych uczuć, poglądów, upodobań, wierzeń, obyczajów i postępowania choćby były całkowicie odmienne od własnych, albo zupełnie z nimi sprzeczne. **Współcześnie rozumiana tolerancja to szacunek dla wolności innych ludzi, ich myśli i opinii oraz sposobu życia. Szacunek ten przybiera formy wyrozumiałości i życzliwości dla tego, co nie musi być naszym udziałem, ale co cieszy się naszą akceptacją.**

Tolerancję można rozpatrywać w bardzo wielu aspektach. Najczęściej słowo tolerancja pojawia się w tematach mniejszości narodowych i religii. Jednak nie tylko tych aspektów życia ona dotyczy. O tolerancji możemy mówić nie tylko w odniesieniu do spraw wielkich, ponadnarodowych, czy kulturowych, a tych całkiem małych. Czyli trzeba dostrzec wokół siebie, w domu, w rodzinie, że każde wydawało by się nieraz dziwactwo ma prawo bytu i powinniśmy je uszanować. Każdy ma zapewne sąsiada, który dziwnie się ubiera bądź też zachowuje. Niekiedy inni sąsiedzi ukradkiem się nabijają z niego, a to

nie jest zachowanie tolerancyjne. Często zdarza się również, że pracując w dużej grupie ludzi, znajdzie się taka szara owieczka, która jest tematem zakładowych żartów i naśmiewań. Często bierze się to z jej odmiennego zachowania czy też ubioru, i tutaj zdarza się, że my tolerancyjni ludzie uczestniczymy chętnie w tego typu zabawach. Tym samym krzywdzimy często taką osobę i z pewnością nie można wtedy powiedzieć, że jesteśmy tolerancyjni.

Można wyróżnić dwa rodzaje tolerancji: tolerancję pozytywną i negatywną. Tolerancja pozytywna polega na uznaniu innych form zachowań i poglądów jako równoważnych z tymi ogólnie przyjętymi. Drugi typ to tolerancja negatywna przejawiająca się brakiem działań w przypadku zachowań i postaw innych ludzi, mimo że uznajemy je za niewłaściwe i niemoralne. Motywami przemawiającymi za przyjęciem postawy tego typu tolerancji są obojętność w stosunku do tego co myślą i czynią inni oraz chęć harmonijnego współżycia z innymi ludźmi, które mogłaby zaburzyć nadmierna ingerencja w ich poglądy czy postawy. W stosunku do człowieka zawsze obowiązuje tolerancja pozytywna, natomiast w stosunku do zachowań i poglądów może obowiązywać ograniczona tolerancja negatyw-

na. **To, jak wygląda nasza tolerancja w dużym stopniu zależy od środowiska w jakim żyjemy, poglądów politycznych, światopoglądu, a nawet od pozycji klasowej.**

O tolerancji bardzo dużo się mówi, niestety nie idzie to w parze z czynami. Jednak życie w wielokulturowym społeczeństwie zmusza nas poniekąd do uczenia się tolerancji, bez której na co dzień trudno byłoby żyć. Każdy z nas ma prawo wyboru do jakiej grupy społecznej czy wyznaniowej chce należeć, którą partię polityczną popierać, jak się ubierać i w jaki sposób żyć. Ale możliwość takiego wyboru idzie w parze z koniecznością bycia tolerancyjnym. Zawsze, jeśli spojrzysz się wstecz, toczyły się spory dotyczące monogamii, poli-gamii, konkubinatu, homoseksualizmu... Takie problemy będą występować zawsze, gdyż każdy ma prawo do własnego zdania, na te tematy. Dla objaśnienia moich rozważań posłużę się prostymi przykładami z życia. Oto chociażby wyznawcy innych religii. Tolerujemy ich, dopóki nie mamy z nimi nic wspólnego. Jednak gdy pod drzwiami naszego domu pojawią się Świadkowie Jehowy, potrafimy ich przekląć i obrzucić wyzwiskami, a więc gdzie tu mowa o tolerancji? Jesteśmy więc tolerancyjni, jeśli sprawa nie dotyczy naszego podwórka, najbliższego otoczenia. Możemy być tolerancyjni dla par homoseksualnych, ale pod warunkiem, że nie mieszkają w naszym sąsiedztwie. **Będziemy tolerancyjni dla ludzi innej narodowości, pod warunkiem, że nie będą żyć w Polsce. Jest to tolerancja dosyć wybiórcza, która w rzeczywistości tolerancją nie jest.** Wspaniale brzmi, że jesteśmy społeczeństwem tolerancyjnym, ale niestety prawda jest taka, że nie potrafimy tej tolerancji okazywać. Jest to problem całego społeczeństwa i nie ogranicza się tylko do społeczeństwa polskiego. Na całym świecie mamy bardzo wiele przypadków nietolerancji. Mimo iż wszyscy powinniśmy być wolni i równi, często spotykamy się z atakami rasizmu. Nie potrafimy zaakceptować innego koloru skóry, odmiennej kultury i języka. To wszystko spowodowane jest uprzedzeniami, które wywodzą się z dawnych lat a my nie potrafimy się ich wyzbyc. **Wszelkie uprzedzenia, niechęć, niezrozumienie powodują nietolerancję, a ta z kolei rodzi wrogość, wojny itp.**

Na największe przejawy nietolerancji są narażeni ludzie biedni, niepełnosprawni, chorzy, innej narodowości, z nałogami i innymi poglądami niż te ogólnie przyjęte. Można przytoczyć wiele przykładów tolerancji w naszym społeczeństwie, ja na-

tomiał posłużyć się kilkoma z nich. Jako pierwszy rozważę problem tolerancji wśród Polaków.

Polacy uważają się za naród tolerancyjny. Niestety nie do końca tak jest. Mamy problem z tolerowaniem innych poglądów, innego stylu życia.

Nie toleruje się osób żyjących w wolnych związkach, bo nie jest to zgodne z naszą wiarą. Nie toleruje się singli, chociaż to jest właśnie ich sposób na życie. Bardzo często spotkać się można z agresją słowną i nie tylko wobec obco-krajowców.

Kolejny przykład tolerancji, a raczej jej braku, można zauważyć już u małych dzieci w przedszkolach i szkołach. Wybierają one do grona swoich kolegów tylko dzieci bogate, które mają szereg elektronicznych błyskotek, chodzą w markowych ciuchach, grają w najnowsze gry. Dzieci z rodzin ubogich bardzo często w szkołach są na marginesie, poza klasową przynależnością. To okrutne, że już dzieci klasyfikują inne dzieci pod względem zamożności.

Nie patrzą jaką dana osoba jest koleżanką czy kolegą, jej wartościowość oceniana jest na podstawie wyglądu, modnych ciuchów, kosmetyków i najnowszego modelu komórki. Często też w szkołach dzieci i młodzież nie potrafią z tolerancją odnosić się do kolegi, który jest w jakimś sensie upośledzony czy chory i to nie są sporadyczne przypadki, tego w polskich szkołach jest naprawdę wiele. Zdarza się także, że osoby nie lubiane są wyśmiewane, wyzywane, a nawet bite. Wystarczy przejrzeć prasę lub zajrzeć do telewizji, aby się przekonać jaka masa dzieci i młodzieży popełnia z tego powodu samobójstwa. Są prześladowane przez rówieśników, nęcane i wyśmiewane najrozmaitszymi metodami. **Powodem tych nieszczęść jest brak tolerancji. Nawiążę tu do tolerancji religijnej. Tak naprawdę nie mamy swobody jej wyznawania i przynależności, a przykład jest z życia codziennego: w stołówce w szkole, niektóre dzieci siadając do posiłku ze swoją „paczką” wstydzą się przeżegnać, bo wstydzą się i boją wyśmiania.**

Problem tolerancji w dużym stopniu dotyczy osób niepełnosprawnych. Niepełnosprawność wiąże się licznymi przeszkodami w codziennym życiu. To, co dla sprawnych osób jest banalnie proste, niepełnosprawnym może sprawić wiele problemów. Czynności, które trzeba wykonywać codziennie często są nie lada wyzwaniem. Również takie rzeczy jak wykształcenie, zdobycie pracy, dotarcie do

firmy, szkoły, kina, sklepu itp. Wymagają sporo wysiłku, a czasem są zupełnie niemożliwe. Jest to codzienna walka ze swoją niepełnosprawnością. Często osoby niepełnosprawne nie potrafią tolerować siebie. Nie lubią się za to kim są, a szczególnie nie lubią swojego ciała. Dlatego osoba niepełnosprawna musi być odbierana jako człowiek w pełni wartościowy. Oni również mają swoje marzenia, potrzeby duchowe, a także mogą ofiarować swojemu otoczeniu bardzo dużo. Tolerancja dla osób niepełnosprawnych jest niezwykle ważna. Dzięki niej mogą się poczuć pełnoprawnymi obywatelami i wartościowymi ludźmi. Natomiast jej brak może nawet doprowadzić do przypadków depresji i załamania. Można im to życie ułatwić poprzez bycie tolerancyjnym dla ich inności.

Wydawać by się mogło, że świat dwudziestego pierwszego wieku będzie światem tolerancyjnych ludzi, bez uprzedzeń i pełnych szacunku dla drugiego człowieka. Postęp techniczny i technologiczny jest ogromny. Rozwinęła się informatyka i dziedziny jej pokrewne. Jednak sfery emocjonalnej człowieka, która cały czas jest na tym samym poziomie, nie udało nam się rozwinąć. **Tolerancja wcale nie jest rzeczą prostą. Wymaga pewnego poświęcenia, akceptacji poglądów z którymi się nie zgadzamy, tolerancji dla odmienności wyglądu, zachowania i kultu-**

ry. Nadal trwają wojny z powodu nietolerancji innych wyznań, czy też poglądów politycznych. W świecie dwudziestego pierwszego wieku ludzie nie potrafią zapobiec wojnom, nie potrafią być tolerancyjni dla innych ludzi, chociaż sami wymagają tolerancji wobec siebie.

Bardzo ważna jest tolerancja w najbliższym otoczeniu, wśród rodziny i przyjaciół. **Istotne jest mieć świadomość, że każdy z nas ma prawo do wolności wyznania, słowa, wypowiedzenia poglądów i odmiennych przekonań. Kiedy to wprowadzi się w życie, chociażby w najbliższym otoczeniu, będzie ono lepsze i przyjemniejsze. Aby dane społeczeństwo sprawnie i poprawnie funkcjonowało potrzebna jest tolerancja.**

Tolerancja musi dotyczyć zarówno religii, wyborów życiowych, wyglądu, opcji politycznych i szeregu innych wydawać by się mogło prozaicznych spraw. Jednak one wszystkie razem składają się właśnie na nasze życie w społeczeństwie. Jeżeli nie będzie w danym społeczeństwie wyrozumiałości, wzajemnego szacunku, to doprowadzi do konfliktów różnego typu, a w rezultacie do zagłady takiego społeczeństwa. Tolerancja jest podstawą spokojnego życia.

Wybór i opracowanie
Wacława MIELEWCZYK



Rys. Marek Chaczyk

O EUTANAZJI: opinie naszych Czytelników

Drukowany na lamach naszego czasopisma w dwóch częściach artykuł prof. Lecha OSTASZA „Eutanazja: argumenty na rzecz jej legalizacji” spotkał się ze znacznym zainteresowaniem naszych Czytelników, czego świadectwem były opinie wypowiedziane na ten temat w kilku otrzymanych tekstach i listach, z których kilka, najbardziej charakterystycznych, drukujemy poniżej.

Redakcja

Zofia Helena HUEBNER

Prawo do wolności osobistej

Refleksje prof. Lecha Ostasza, dotyczące eutanazji budzą nadzieję na ogólnokrajową dyskusję na ten istotny temat. Społeczeństwo się starzeje, przybywa ludzi schorowanych i niezdolnych do samodzielnego życia, spada liczba urodzeń, możliwości podtrzymywania funkcji życiowych stają się coraz bardziej wyszukane i teoretycznie każdy z nas może wylądować w szpitalu, czy hospicjum jako nieuleczalnie chory lub pacjent w stanie wegetatywnym. Wskutek zmian w strukturach społecznych niemal całkowicie zanikły rodziny wielopokoleniowe. Młodzi ludzie, na których liczyli rodzice emigrują czasowo lub na stałe, w kraju pozostają zaś ci, którym zabrakło odwagi lub pieniędzy, żeby wyjechać, nie mogą liczyć na zatrudnienie ze względu na wiek albo są życiowo niezaradni. Wszystkie te problemy doskonale ujął i wypunktował Pan Profesor.

Zabrakło wszakże jednego za to arcyważnego argumentu: WOLNOŚCI OSOBISTEJ JEDNOSTKI, której eutanazja jest jednym z przejawów.

Gdy w roku 1989 Polska odzyskała niepodległość i prawo do samostanowienia, społeczeństwo,

a przynajmniej jego część, liczyło na utrwalenie się w kraju struktur demokratycznych. Marzyliśmy o paszporcie w szufladzie i go mamy. Chcieliśmy swobody w poruszaniu się po kraju, bez zbędnych formalności i ... No cóż, już jest trochę gorzej. Wciąż istnieje obowiązek meldunkowy, chociaż wolno nam zamieszkać w każdym miejscu w Polsce, byle nas było stać na pokrycie kosztów z tym związanych.

Z dostępem do studiów też mogłoby być lepiej. Każdy pragnący studiować powinien mieć prawo do zapisania się na dowolny kierunek, spróbować swoich sił, dowiedzieć się, czego się od niego, studenta, oczekuje i jaka czeka go przyszłość, jeśli zdecyduje się kontynuować naukę. Pracujący studenci doskonale się wpisują w krajobraz wielu krajów, stypendia zaś powinni otrzymywać najlepiej rokujący. Niekoniecznie znajomi i krewni sponsorów.

O tanim budownictwie dla ludzi młodych, na dorobku, możemy zapomnieć podobnie jak o mieszkaniach rotacyjnych. Padły fabryki domów, bo budowały brzydko, byle jak i podobno się nie opłacały, chociaż, bądźmy szczerzy, dach nad głową, mimo że czasem przeciekający, dawały.

Nad prawem do pracy przeszliśmy do porządku dziennego, jak nad biesiadnikiem drapiącym się widelcem po głowie. Zapis w konstytucji jest i nic poza tym.

Za to jak u La Fontaine'a: „Minka jego nienadęta/ i choć ma bystre ślipięta/Dziwnie mi się z skromnego wejźrzenia podobał”⁷¹, pojawili się panowie o gładkich obliczach i wypielęgowanych dłoniach i zawładnęli krajem i rządzącymi. „Nasi nowi okupanci” zajęli się naszym dzieciństwem, młodością, dziecinością, wiekiem dojrzałym, starością i śmiercią. Nie odpuścili zdrowym ani chorym, kobietom ani mężczyznom, pracowitym i leniom, mądrym i głupim, uczciwym i tym niekoniecznie uczciwym, uczącym się, studiującym, żołnierzom, strażakom, celnikom, urzędnikom, tym co siedzieli, siedzą i powinni siedzieć. Musimy się mnożyć na ICH odgórne polecenie, wyrastać w jedynie słusznej wierze, wspierać finansowo naszych duchowych przewodników i umierać godnie lub nie, byle nie wtedy, kiedy tego zechcemy.

Wolność jednostki została podeptana w majstacie prawa

Oto fakty:

- Umrze noworodek, ksiądz się nie ruszy. Jeśli był ochrzczony, to zasługuje na pokropek, chociaż podobno każde życie jest święte, od poczęcia do naturalnej śmierci.

- Umrze niedowiarek – w poświęconej ziemi nie spocznie i duszpasterz też się nie pofatyguje, mimo że wyciągał rękę po dotacje z budżetu na które składają się wszyscy podatnicy, zarówno wierzący, jak i niewierzący.

- Pod krzyżem obraduje Sejm, uczą się dzieci, cierpią chorzy w szpitalach i przychodniach, sprzedaje się lekarstwa, znaczki i gwoździe. Wyznanie, jego brak lub odmienny światopogląd obywatela nie mają znaczenia.

- Przygotowania do życia w rodzinie się nie naucza, bo to zbędna demoralizacja i przedwczesne rozbudzanie instynktów. Kto wiedzy spragniony, zdobędzie ją przy trzepaku lub dyskoteci. Dla zaawansowanych są nauki przedślubne.

- Polska ma jedną z najbardziej restrykcyjnych ustaw antyaborcyjnych w świecie i dorobiła się nawet męczenników, którzy przebywają w więzieniach, bo ulitowali się nad udręczoną kobietą (lek. med. Andrzej Kupczak z Rybnika. W więzieniach brak miejsca dla pospolitych przestępców, wandali, gwałcicieli, ale dla ginekologa się znalazło).

Mnożą się doniesienia o zbrodniach dokonywanych na noworodkach przez same matki, a nawet próbach sprzedaży niemowląt przez matki lub obojga rodziców. Czy to nie patologia?

- O metodzie „in vitro” nie ma co marzyć, bo „jest wbrew naturze”.

- Farmaceuci, a zwłaszcza farmaceutki, popatrują na młode klientki, zatroskani o życie poczęte i domagają się prawa do odmowy sprzedaży środków antykoncepcyjnych oraz leków, które mogą wywołać poronienie lub uszkodzić płód.

- Lekarze wygłaszają impertynencje pod adresem studentek, domagających się recept na środki antykoncepcyjne i doradzają by zajęły się nauką.

- Pan Janusz Palikot budzi zgorszenie proponując legalizację sprzedaży marihuany, podczas gdy przez kraj wódka płynie szeroką rzeką, a sklepy monopolowe robią kokosy. Nikogo nie obchodzi, że marihuana tłumi odruch wymiotny po chemioterapii, podczas gdy skutki użycia alkoholu zapełniają rubryki kryminalne.

- Odmienna od tradycyjnej orientacja seksualna naraża jednostkę na publiczne upokorzenie, wysmianie, wyszydzenie. Posłowie na Sejm, których wybieraliśmy w wolnych, demokratycznych i tajnych wyborach, jako ludzie najwyższego zaufania, dali popis żenującej zaściankowości, zawstydzające widowisko nietolerancji, podczas wystąpienia posła Biedronia. Posłowie turlali się ze śmiechu, bo oto „homoś” przemówił ze sejmowej trybuny i pozwolił sobie napomknąć o ciosie – chi, chi, chi, cha cha, cha, proszę Państwa, *excusez le mot* – poniżej pasa. Ależ śmieszne! Telewidzowie przycupnięci w swoich wysiedzianych fotelach przecierali oczy ze zdumienia. Spodziewali się transmisji z obrad Sejmu i otrzymali przekaz z rozbawionej karczmy.

- Istnieje wciąż wydłużająca się lista zawodów zamkniętych, do których dostęp jest zastrzeżony dla potomków osób ten zawód wykonujących – lekarze, prawnicy, pisarze, aktorzy, dziennikarze itp. Trybunał Konstytucyjny milczy. Niech syn górnika zostanie górnikiem, syn notariusza notariuszem, córca z mamusią niech gryzmołą czyta dła, a syn lekarza z żyłką do finansów niechaj leczy tyfus Dermosanem.

- Eutanazja jest przestępstwem, a zaniechanie sztucznego podtrzymywania funkcji życiowych, zachowaniem granicznym, mogącym skutkować oskarżeniem o spowodowanie śmierci. Nad życzeniem papieża, by wyłączono aparatę zaległo głucho milczenie, bo jakże to,

błogosławiony wolał umrzeć niż zaznawać mąk dla rozbawienia Boga?

Nasza wolność osobista ulega coraz większemu ograniczeniu. Gorset zakazów i nakazów zaciska się mocniej i mocniej na wrażliwym organizmie, pozbawiając go swobody ruchu i wyboru, podejmowania decyzji, świadomego kierowania własnym życiem dla osiągnięcia osobistego dobrostanu i rozumnego uczestnictwa w życiu kraju. Najmądrzejsze, najlepiej wykształcone, najprężniejsze jednostki wybierają tułaczkę, zniesmaczone stałymi rządami, wewnętrznymi sporami i kłótniami, wszechobecnością kleru w życiu publicznym i ingerencją Kościoła w życie prywatne obywateli.

Mamy prawo być wolnymi. „Urodziliśmy się, by być wolni”. Wolność osobista jednostki niech się kończy tam, gdzie zaczyna się wolność osobista drugiej, niezależnej jednostki. **Poprzez żądanie eutanazji człowiek będący u kresu wytrzymałości, ma prawo rozporządzać swym życiem i ciałem. Odmowa spełnienia jego życzenia jest nadużyciem i ubezwłasnowolnieniem bez postawienia zarzutu i osądzenia.**

Jeśli pragniemy zachować godność, winniśmy uszanować wolę człowieka skazanego na bezbrzeżne, niemożliwe do złagodzenia cierpienie fizyczne i psychiczne. Do tego zobowiązuje nas miłość bliźniego i szacunek dla ludzkiej istoty, o czym dużo i kwiecieście mówią przedstawiciele duchowieństwa, pochylający się niczym czarne widma nad udreńczonym ciałem i zapewniający, że nic tak nie cieszy Boga, jak ludzkie cierpienie.

Każdy umiera w samotności i nie trzeba być Falladą, aby odkryć tę prostą prawdę. Człowiek uwięziony w swym cierpieniu jest wielokrotnie osamotniony. Widzi wokół siebie ludzi zdrowych, jest świadom swojej bezsilności, doskonale wie, że jest okłamywany z litości. Odmowa wyświadczenia mu ostatniej przysługi dodatkowo go poniża i upokarza. Sprowadza do roli nierozumnego dziecka, któremu wolno, a nawet należy odmawiać tego, co szkodliwe i nieodosowne.

Potrzeba wielkiej miłości i empatii, by pokonać wewnętrzne egoistyczne bariery człowieka chwilowo zdrowego i sprawnego i zrozumieć, czym jest ta straszna niewola z której nie można uciec bez pomocy z zewnątrz. Powoływanie się w takiej sytuacji na Boga i Jego wolę jest hańbiącym wykrętem, próbą uwolnienia się od odpowiedzialności, ucieczką od człowieczeństwa.

Za rzekomymi wątpliwościami natury etycznej skrywa się pogarda dla woli unieruchomio-

nego człowieka, który przecież jasno wyraził swoje pragnienie odejścia, zanim zamieni się w bezwolny mechanizm, funkcjonujący dzięki wymyślnej aparaturze. Malowniczo opisał to Jarosław Barański w analizie Weberowskich litografii „Pająk” i „Kręgosłup precz”²².

Domyślam się, że zaraz zabierze głos lekarz, który powoła się na przysięgę Hipokratesa i własne sumienie. Ileż razy słuchaliśmy tych łamańców słownych, płynących z ust personelu medycznego i tylko medycznego!

Czy umieraniu towarzyszy lęk? Nad tym zastanawiają się i zastanawiali specjaliści z najróżniejszych dziedzin, także lekarze i filozofowie. Odpowiedź chyba brzmi: nie! Co nie znaczy, że wielu chorych nie uświadamia sobie, że dożywa ostatnich chwil i że być może pozostawia na łasce losu bliskich dla których był jedyną ostoją. Gdyby jednak spytać tych najciężej chorych, czy boją się żyć dalej, można się spodziewać, że odpowiedzą: tak!

Profesor Antoni Kępiński utrzymywał, że „tłem ludzkiej egzystencji jest lęk przed śmiercią”²³. „Jedną z najbardziej przerażających pustek, które człowiek widzi przed sobą jest śmierć. Może między innymi dlatego, że chociaż jest aż za bardzo realna, to w gruncie rzeczy jest niewyobrazalna w indywidualnym doświadczeniu”²⁴.

Znakomity psychiatra wielokrotnie poruszał problem śmierci zawsze jednak z pozycji człowieka względnie zdrowego (do czasu!), z dramatycznymi doświadczeniami wojennymi i niewolnego od epizodów „chorej duszy”.

Nie wierzę, abyśmy się kiedykolwiek doczekali legalizacji eutanazji, a śmierci na życzenie tym mniej. W tej ostatniej kwestii zawsze głos zabierze jakiś Seelenklemptner, który zacnie bajdurzyć o pociesze duchowej, dodawaniu otuchy, zdaniu się na łaskę Boga, instynkcie samozachowawczym, chwilowym akcie rozpacz, który przeminie, jak katar. Tymczasem na ostatnim piętrze ponurego bloku człowiek stary, samotny, nie będący w stanie samodzielnie się umyć, zadbać o siebie, zrobić zakupy, ugotować, zjeść, będzie odchodził powolną, beznadziejną, pełną cierpienia, niegodną śmiercią. Domy opieki nieliczne, ciasne, drogie i bywa, że źle prowadzone, szpitale wzbraniają się przed przyjmowaniem starsuszków, bo się ich nie pozbędą, wolontariat w powijakach, MOPS-y niewydolne.

„*Surveiller et punir*” można powtórzyć za Michélem Foucault. Żadnej tam eutanazji ani innych

zbrodniczych fanaberii, bo mogą się wymknąć spod kontroli, zachęcić do czynu łowców narządów, spadków i czego tam jeszcze. Kontrolować, sprawdzać, w razie potrzeby ubezwłasnowolnić, uznać zwolenników eutanazji za niespełna rozumu siewców nieładu. Krzyżować już nie wypada, co nie znaczy, że nie można. Dawno temu pewien mieszkaniec Galilei... Żle się to skończyło...

Żadnych tam rojeń o prawie do decydowania o własnej płodności, żadnego in vitro, żadnej aborcji, na żądanie zwłaszcza, żadnej antykoncepcji prócz kalendarzyka słusznie nazywanego „rosyjską ruletką”, żadnych odmiennych orientacji seksualnych, chyba że „osobliwe nabożeństwa” w środowisku osób, prowadzących życie konsekrowane.

„Żeby nic nie było”, jak zauważył nieoceniony pan Kononowicz.

Dopóki nie uświadomimy społeczeństwu, że prawo do czegoś nie jest równoznaczne z obowiązkiem korzystania z tego prawa, będziemy tkwili w klatce przesądów, uprzedzeń, nakazów i zakazów.

Przypisy

¹ Jean de la Fontaine, „Bajki” – księga szósta „Myszka, kot i kogut” PIW, Warszawa 1955.

² Jarosław Barański, „Śmierć i zmysły”, Wyd. Astrum, Wrocław 2000.

³ Antoni Kępiński, „Lęk”, PZWL, Warszawa 1977.

⁴ Antoni Kępiński, „Melancholia”, PZWL, Warszawa 1974.

Bogusław STELCER

Ostrożniej z tą eutanazją

Opinie profesora Lecha Ostasza zamieszczone w numerach 4/113 i 5/114 „Res Humana” nie budzą najwyraźniej powszechnej akceptacji. Nie o to pewnie idzie, aby panowała na nie powszechna zgoda. Jednakże obok treści wypowiedzianych poglądów dyskutować trzeba także ze stylem w jakim ów akademik je wygłasza. Stąd zapewne pan Waław Sadkowski w swoim z kolei komentarzu do książki Lecha Ostasza *Droga filozoficznego myślenia* subtelnie skrytykował opinie autora książki napisane o Szekspirze jak i prześwietnym i nieocenionym Dante Alighierim. Otóż autor *Boskiej Komedi* sprowadzony został wyrozumiale przez Lecha Ostasza do osoby posiadającej „umiejętność w kleceni rymowanek”. Jak widać drogi filozoficznego myślenia czasem bieżną pokrętnymi ścieżkami, czasem zaś wpadają w koleiny banału i nie ma nadziei by się stamtąd wydobyły. W pełni przyjmując kontrargumentację pana Sadkowskiego i bardzo cieszę się jako wieloletni czytelnik „Literatury na Świecie” za jego pojawienie się w dwumiesięczniku.

Podejmując skomplikowany etycznie problem eutanazji autor eseju *Eutanazja: argumenty na*

rzecz jej legalizacji posunął się do bardzo prostego zabiegu stosując swego rodzaju prostą, może nazbyt prostą wyliczankę subiektywnych argumentów na rzecz jej zastosowania. Podobnie nazbyt prosta, by nie powiedzieć nieprawdziwa i nonszalancka wizja służby zdrowia i jej warunkowań zdaje się towarzyszyła autorowi piszącemu swój esej o eutanazji.

Razi język, szczególnie jego agresywny i paternalistyczny ton z jakim autor zwraca się do czytelnika. Jakże traktować ojcowskie zalecenie autora dotyczące literatury medycznej jeśli nie w powyższy sposób? Rażą zdania takie jak: „Szczególnie ciężkie do zniesienia są rak płuc, górnych dróg oddechowych i skóry w ostatnim swoim etapie. Zaleca się, aby Czytelnik zapoznał się z symptomami tych odmian raka, korzystając z rzetelnych, realistycznych, niezabarwionych romantyzmem medycznym i ideologią proliferizmu źródeł”. Czy to zalecenie oznacza, że zdaniem autora czytelnik „Res Humana” jest zaledwie romantycznym ignorantem, którego nie stać na obiektywną i opartą o argumenty dyskusję o życiu, śmierci, cierpieniu i jego sensie? Czy i etyczne

postulaty chociażby Alberta Schweitzera, twórca *Etyki czci dla życia* autor zamknąłby w szufladce romantycznego proflizmu, lekce sobie ważąc jego osobę i dzieła etyczne jak uprzednio literaturę, którą pozostawili po sobie Dante i Szekspir?

Tekst *Eutanazja: argumenty na rzecz jej legalizacji* pełen jest powierzchownych uproszczeń. Tak właśnie została potraktowana ta dziedzina medycyny, którą jest opieka paliatywna i rola personelu medycznego. Brak w nim wnikliwości, której należałoby oczekiwać od akademika. No, ale pokrótce odpowiadając. Opieka paliatywna zrodziła się z głębokiego protestu przeciwko bezsensownemu cierpieniu chorych umierających. Jej animatorka, Cicely Saunders, zainteresowała się cierpiącymi z powodu zaawansowanej choroby nowotworowej, pozostającymi bez nadziei na wyleczenie i aktywne leczenie. Chorych pozostających na uboczu zainteresowania niejako ówczesnej medycyny. Sama Cicely Saunders wiele energii poświęciła badaniu zjawiska bólu i jego leczeniu, to jej pionierskie metody pozwoliły skutecznie uśmierzać cierpienia pacjentów i dotrzeć końca swego życia w akceptowalnym komforcie. To właśnie jakość życia chorego i otaczającej go rodziny są celem opieki paliatywnej jako odrębnej dyscypliny medycznej. To że nie w każdym przypadku i wobec każdego chorego ten cel udaje się stuprocentowo spełnić nie powinno bynajmniej prowadzić do wniosku by personel stosował aktywną formę eutanazji czy może krypto eutanazję. Raz jeszcze podkreślmy: **celem opieki paliatywnej jest zapewnienie możliwie jak najwyższej jakości kończącego się życia choremu umierającemu i jego najbliższym, obejmując czas umierania, samą śmierć i opiekę nad rodziną w okresie żałoby.**

Zasadniczą słabością argumentacji podjętej przez Lecha Ostasza jest niedocenieńie czynnika pozamedycznego. Ból wszechogarniający obejmujący lęk przed śmiercią, troski natury społecznej i problemy egzystencjalne, czy wskazane odczucie bycia ciężarem dla innych nie mogą być leczone wyłącznie metodami medycznymi. Skuteczność uśmierzania bólu, skuteczność analgetyków jest wypadkową postępowania medycznego z nawiązaniem szczególnego rodzaju relacji z chorym. **Etyka na gruncie opieki paliatywnej powinna wykraczać poza problem podejmowania decyzji o życiu czy jego zakończeniu, lecz powinna podejmować złożoną specyfikę wzajemnych relacji z chorym, w tym szczególnie kwestii ciągłości opieki, zaufania,**

wiarygodności czy otwartości. Chory otoczony właściwie i profesjonalnie prowadzoną opieką paliatywną ma niekwestionowane prawo do zachowania swej godności, do zniesienia bólu dzięki maksymalnemu wykorzystaniu dostępnych środków znanych medycynie, jak też prawo do zmniejszenia cierpienia.

Zestawiając dwa wymiary funkcjonowania człowieka – biologiczny i społeczny – problem eutanazji jawi się w następujący sposób. Otóż czasem w zaawansowanej chorobie śmierć społeczna czyli najkrócej mówiąc, niemożność podejmowania ról społecznych czy aktywnego uczestniczenia w życiu społeczeństwa poprzedza śmierć biologiczną. Otóż zwolennicy eutanazji zdają się postępować według zasady, że skoro pacjent nie uczestniczy w życiu społecznym, a jego czas wyznaczony jest cierpieniem i bólem w łóżku szpitalnym, słusznym jest więc skrócenie jego cierpienia poprzez akt eutanazji. Tymczasem zwolennicy opieki paliatywnej wyciągają dokładnie odwrotny wniosek. Ci zdają się postępować według zasady, że słuszne jest dołożenie wszelkich starań ażeby pomimo choroby, poprzez walkę z jej objawami powodującymi cierpienie chorego, otoczyć go opieką i nie zawęźać relacji społecznych tak, ażeby jego relacje z osobami znaczącymi trwały tak długo jak to jest możliwe, aby miał kontakt z nimi do końca życia. W obu tych podejściach wspólne jest to ażeby moment śmierci biologicznej jak i społecznej spotkały się w tym samym punkcie czasu. Jak widać można do niego dojść z dwóch stron.

Lęku przed bólem nie da się do końca zażegnać. Nie można zdaniem autora tegoż eseju wyciągać stąd wniosku na rzecz eutanazji. Pamiętając chociażby o dorobku psychologii rozwojowej, jej paradygmatu life-span, zadaniem rozwojowym świadczącym o dojrzałości osobowej jest właśnie odwaga zmierzenia się z lękiem przed przemijaniem i nadchodzącą śmiercią u jego kresu. Nie jest to proste ani tym bardziej nie jest łatwe, jest to kwestią mozolnie osiąganego dojrzałości psychicznej.

Oczekiwałbym wreszcie w tekstach profesora Lecha Ostasza więcej szacunku dla przedstawicieli stanowisk obcych niż prezentowane przez niego i unikanie wobec nich sądów oceniających jak: „*paternalistyczne władze hospicjum, które wiedzą najlepiej*”. Czy wobec osób oponujących przeciw ustawie przyjętej w Holandii pisząc, że „*ideologiczne zaangażowanie utrudnia im jej zrozumienie*”. To zupełnie tak jakby nie można

było dyskutować z jej tezami bez ideologicznych uprzedzeń. Jeszcze bardziej rażą podejrzenia o „zabawę technologią” przez lekarzy. Zapewniam pana Profesora, że słowa które zostały przytoczone jako argument trzynasty w jego tekście i w ogóle język tam przedstawiony nie pojawiają się na ustach personelu medycznego. Takiego języka po prostu w szpitalach się nie używa! Jeśli to miała być figura retoryczna autora podkreślająca emocjonalny charakter argumentu, to śmiem twierdzić, iż mocno przesadzona, zbyt wulgarna i prosta w formie jak na łamy „Res Humana”.

Na koniec przyjrzyjmy się argumentowi dziewiętnastemu – „*utrzymania jakości życia danej osoby*”. Dziewiętnasty argument zbiegł się najwidoczniej z XIX-wiecznym spojrzeniem na medycynę autora tekstu, gdzie archaiczny obraz trumien z sygnalizatorami może wzbudzić jedynie śmiech u czytelnika. Otóż jako osobie przez wiele lat pracującej z chorymi umierającymi nie jest mi obcy obraz trwogi umierania obserwowanej u tysięcy osób objętych opieką paliatywną. O cierpieniu można pisać bez odwoływania się do historycznych już obrazów. Zapewniam jednak, że wnioskiem płynącym z

odczucia trwogi było nie to ażeby dokonać aktu eutanazji (owszem nieczęsto, jednak taka prośba miała miejsce), lecz prośba ażeby końcówka życia wolna była na tyle ile to możliwe od cierpień poprzedzających śmierć. **To może zaskakujące, niektórzy chorzy bardziej boją się cierpienia poprzedzającego śmierć niż jej samej. Ale gdy zapewni im się akceptowalny komfort ostatnich tygodni życia, łatwiej o akceptację tejże śmierci jako nieuniknionego końca życia.**

Dlaczego przywołanie archaicznego systemu sygnalizacji trumiennej w tekście filozofa przywołuje śmiech? Otóż gorąco polecam na koniec swych refleksji spektakl poznańskiego teatru „U przyjaciół” zatytułowany *Przedwcześnie pogrzeb*. Zwracam uwagę i polecam dystans do samych siebie, inteligencję i poczucie humoru twórców spektaklu, których to cech zabrakło mi w tekście *Eutanazja: argumenty na rzecz jej legalizacji*. Dyskusja o eutanazji wolna od ideologicznych naleciałości jest konieczna, zwłaszcza w Polsce. Jest to niezwykle istotne, ażeby statek filozoficznej myśli nie osiadł na mieliźnie. Dbajmy przeto o jej merytoryczny poziom i formę argumentacji.

Autor tekstu jest pracownikiem naukowym Zakładu Psychologii Klinicznej Uniwersyteu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Stanisław SZPILA NOWY SĄCZ

Autor – jak ja to rozumiem – argumenty odnosi do sytuacji bycia w obliczu śmierci nie do uniknięcia, a więc w potocznej mowie do człowieka śmiertelnie chorego lub zagrożonego w krańcowym zakresie. Istnieje jednak jeszcze całkiem inna sytuacja, kiedy człowiek chce sobie odebrać życie z przyczyn innych, w tym na przykład świadomie uznaje, że dalsze jego trwanie jest niezgodne z dewizą życia aktywnego. W takiej sytuacji należałoby przywołać rozmyślania niezapomnianego Profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Mam na myśli „Medytacje o życiu godziwym” – pogwarka „Być albo nie być”. Pod wpływem jej kilkukrotnej lektury tak bym sformułował dwie postawy, związane z zakończeniem życia osobistą decyzją człowieka. Pierwsza zawarta jest w artykule Lecha Ostasza. Druga jest szersza, i odnosi się do prawa rozporządzania swoim życiem. W pewnym swoim opracowaniu tak to ująłem: *Co do eutanazji jestem za możliwością zakończenia życia decyzją właściciela tego życia. Jeśli ktoś uważa, że życie otrzymał w prezencie od Stwórcy i bardzo sobie ten dar ceni, to nie powinien domagać się takiej możliwości, naturalnie jeśli chce pozostać konsekwentny. Inaczej jest w moim mniemaniu z ludźmi widzącymi siebie jak jednostkę w ciągu pokoleń, a jeśli już dar, to tylko rodziców poddających się też prawom tego ciągu. Jeśli na takim człowieku nie ciąży obowiązek względem swoich bliskich, a także wobec społeczeństwa i państwa, jeśli staje przed nimi konieczność życia w pohańbieniu ponad ludzką wytrzymałość, jeśli jego cierpienie – zarówno to cielesne, jak i duchowe – są nie do zniesienia, a także wówczas kiedy zmuszony byłby postępować drastycznie wbrew swoim podstawowym zasadom, to powinien mieć prawo do godnej śmierci.*

Zatrzymam się więc na fragmencie problemu relacji: **człowiek a społeczeństwo** oraz **człowiek a państwo**. Człowiek już rodząc się staje się dłużnikiem, bo inni, w tym instytucje państwowe zainvestowali w zapewnienie opieki nad jego ciężarną matką oraz zapewnienie jego godziwego i zdrowego przyjścia na świat. Ten dług narasta, bo rodzice, a często i krewni oraz państwo łożą na jego utrzymanie, naukę, itd. Można przyjąć, że ten dług spłacamy pracując – nie tylko dla siebie, ale także biorąc udział w życiu publicznym, broniąc innych i państwo w razie potrzeby. Kiedy kończymy okres

aktywności zawodowej, możemy uznać, że ten dług spłaciliśmy, często jednak nie spłaciliśmy długu wdzięczności wobec rodziny, i wszystkich tych, którzy okazali nam życzliwość, przekazywali nam wiedzę, i wielu innych. Możemy – **jeśli mamy taką możliwość** – odplacić im, lub komuś „w zastępstwie” świadcząc swoją pomoc i życzliwość. Robimy to, ale przychodzi dzień, **kiedy nabywamy prawo** do powiedzenia: przeżyłem życie godnie, naturalnie w miarę moich sił, a teraz chcę odejść godnie. Do moich ulubionych książek i filmów należy „Szogun”. Jest tam taki epizod, kiedy pan Yabu otrzymuje rozkaz popełnić hara-kiri. Jeśli pominiemy trzy elementy: to że robił to rozkaz swego suwerena, wybór drastycznej formy oraz to, że jest to sekwencja filmu, a nie zdarzenie autentyczne, to zostanie w moim mniemaniu piękno świadomego odejścia człowieka. Odejścia z klasą. Odejścia i pożegnania się z ludźmi, których naprawdę obchodzi. Nie każdy będzie miał przy łożu tyłu przyjaciół co Sokrates, nie każdego będzie stać na wiersz Yabu:

*„Ogrom błękitu wznosi się nad ziemią,
a białe chmury wędrują ku niebiosom.
Życie jest ulotne jak sen motyla,
a śmierć prowadzi do życia wiecznego”.*
ale każdy może położyć „kropkę”: **„To wszystko co chciałem powiedzieć!”**

Istniejąca w naszym kraju sytuacja w dziwny sposób ogranicza jedną stronę porozumienia-umowy: **człowiek – społeczeństwo i państwo**. Powinniśmy **renegocjować umowę**. Państwo z jednej strony (Konstytucja RP art. 30) stwierdza, że: *Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienaruszalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych*”, ale gdy człowiek dorosły i świadomy, nie będący już niczym dłużnikiem chce skorzystać z wolności wyboru, to odmawia mu się pomocy. Jeśli rozumiemy wolność jako zrozumienie konieczności, to powinno być rozumiana jako zrozumienie konieczności obrony ojczyzny, czy ludzi uciśnionych – a tego ma prawo żądać państwo, nasza wspólna własność, ale państwo winno zrozumieć nasze motywy odejścia, i udzielić, na zasadzie wzajemności, pomocy w godnym odejściu. Brak tej pomocy zmusza go do odbierania sobie życia w formie lub warunkach urągających tej godności. Społeczność, jakże często, też dokłada cegiełkę poniżenia tej ostatniej czynności, a to przez litość po fakcie, jakże często połączoną z obojętnością przed faktem, a to obarczając tego, który odszedł w wybrany sposób, piętnem samobójcy – w domyśle jednak zabójcy.

By można było **zająć renegeacji** tej **umowy**: człowiek – społeczeństwo i państwo, koniecznym byłoby skupienie ludzi w organizacji-stowarzyszeniu, które powinno być zarejestrowane, posiadać dokładnie sprecyzowane cele i kierunki działania. W moim przekonaniu powinno mieć ideę-motto: **„Żyjmy twórczo i radośnie, a umierajmy godnie”**.

Ryszard WYGANOWSKI WROCLAW Uważam za konieczne podkreślić, iż bez względu na ilość i niepodważalną wartość tych argumentów – rządzący będą zawsze sprzeciwiać się legalizacji eutanazji, gdyż nie leży w ich interesie. Każdy bowiem rządzący (jednoosobowo lub zespołowo i bez względu na nazwę ustroju) traktuje rządzonych jako swoistą własność, z czego wyciąga się wniosek, że jeśli rządzony pozbawia się swojego życia to tym samym pozbawia władzę Jego własności.

Z tego względu zabrania się eutanazji, co powoduje, że człowiek jest zależny od przypadku nie tylko w tym oczywistym sensie, że przypadek może niespodziewanie skrócić jego życie, lecz również w tym sensie, że ten, kto nie chce dłużej żyć jest mimo tego skazany na kontynuację swego życia tak długo, jak mu to przypadek wyznaczy.

Warto dodać, że jeśli – w przypadku zakazu eutanazji – człowiek nie godzi się na to, aby o czasie jego życia decydował ślepy los – pozostaje mu tylko (o ile, rzecz jasna, ma taką możliwość) dokonanie we własnym zakresie czynu samobójczego, czyli może w zależności od sposobu działania mimo woli zagrozić otoczeniu. Jest to dodatkowy argument na rzecz legalizacji eutanazji, pominięty w artykule prof. Lecha Ostasza.

Trzeba też zauważyć, że w artykule tym jest punkt, który nie wiąże się z eutanazją, albowiem dotyczy wszystkich ludzi, bez wyjątku na to czy eutanazja jest zalegalizowana czy zabroniona. Chodzi o możliwość „rozbudzenia się będąc już w trumnie”. A przecież, aby nie dopuścić do tak potwornej sytuacji, wystarczy przyjąć bezwarunkową, prawną zasadę, że przed przystąpieniem do grzebania (a także kremacji) należy mieć absolutną pewność co do śmierci danej osoby. Wszak istnieje wiele sposobów, aby taką pewność móc uzyskać, wystarczy jedynie dobra wola w tym zakresie.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Z perspektywy filozofa

Samozniewolenie ekonomistów

Brałam udział w niejednej konferencji na tematy ekonomiczne. Zabierali w nich głos profesorowie ekonomii. Wyluczając wystąpienia profesora Tadeusza Kowalika nie słyszałam troski o człowieka. Odnosiłam wrażenie, że traktują procesy gospodarcze jako prawidłowości równie obiektywne co prawa świata przyrody. Wartość rozwoju oraz innowacji, jak również postępu koncentrowała ich uwagę.

Pomija się z reguły u nas sprawę fundamentalną, iż rozwiązania ekonomiczne mają źródło w świadomości człowieka. Wpływa na nią wykształcenie; od 20 lat wpaja się studentom pogląd, że własność prywatna to najwłaściwsze oraz oczywiste rozwiązanie kwestii własności. Ten pogląd głosił Arystoteles, a za nim Tomasz z Akwinu – uznawany od końca XIX wieku za wyraziciela oficjalnej nauki Kościoła rzymskokatolickiego. Zakwestionował go papież Jan XXIII. Jan Paweł II powrócił do kultuwowania własności prywatnej, mimo że ta forma własności w ocenie personalistów chrześcijańskich oraz części neotomistów XX wieku – była wskazywana jako źródło zła i niesprawiedliwości. Tadeusz Mazowiecki w czasach PRL, gdy był przywódcą ugrupowania „Więź”, stał na gruncie poglądów Mouniera.

W dzisiejszych czasach demokrację pojmuje się jako ustrój zespolony nierozdzielnie z pluralizmem stanowisk politycznych, światopoglądowych, etc. Z punktu widzenia pluralizmu jako postawy „obowiązującej” w państwach demokratycznych, zaskakujące i całkowicie odstępujące od tej zasady jest powszechna zgoda w sprawach własności prywatnej. Jest oczywiste, że tę postać własności umacnia prawo, także Unii Europejskiej, ale to nie znaczy, że nie może toczyć się dyskusja w której formułowane byłyby i uzasadniane odmienne poglądy; na przykład zakaz kary śmierci wzbudza w Polsce co pewien czas protest wśród części polityków. Może wywołany w Polsce lęk przed publicznym wyrażaniem poglądów pokrewnych tym, które funkcjonowały w PRL wyjaśnia ten niemal powszechny zachwyt dla własności prywatnej.

Dzieje się tak mimo kryzysu finansowego na świecie, który wykazał wady gospodarci opartej na własności prywatnej. Media pominęły nie tak dawno wypowiedź Dalaj Lamy w Polsce, który stwierdził, że bliski jest mu socjalizm i że dostrzega trafność krytyki kapitalizmu przeprowadzonej przez Marksa.

Chciwość banków, lekkomyślność tzw. inwestorów, została nagrodzona. Uzyskali pomoc ze strony państwa, z budżetu. A więc kwestionowana przez neoliberalistów własność państwowa okazała się w sytuacji kryzysowej wartościowa i przydatna. Rodzi się pytanie dlaczego obecny kryzys uświadamiający ten fakt nie wyrwał ani uczonych, ani ogółu społeczeństwa ze swoistego letargu, bo tak określam uleganie mitowi neoliberalnemu.

Funkcjonowały w Polsce teorie spółdzielczości, by wspomnieć Jana Wolskiego, czy Marię Orsetti. Na poglądy Edwarda Abramowskiego, mistrza Żeromskiego, powoływała się Solidarność protestując przeciwko socjalizmowi urzeczywistnianemu w PRL. Ale jej działacze, jak widać, szybko odeszli od swoich poglądów, w tym także od wybranych przez siebie mistrzów.

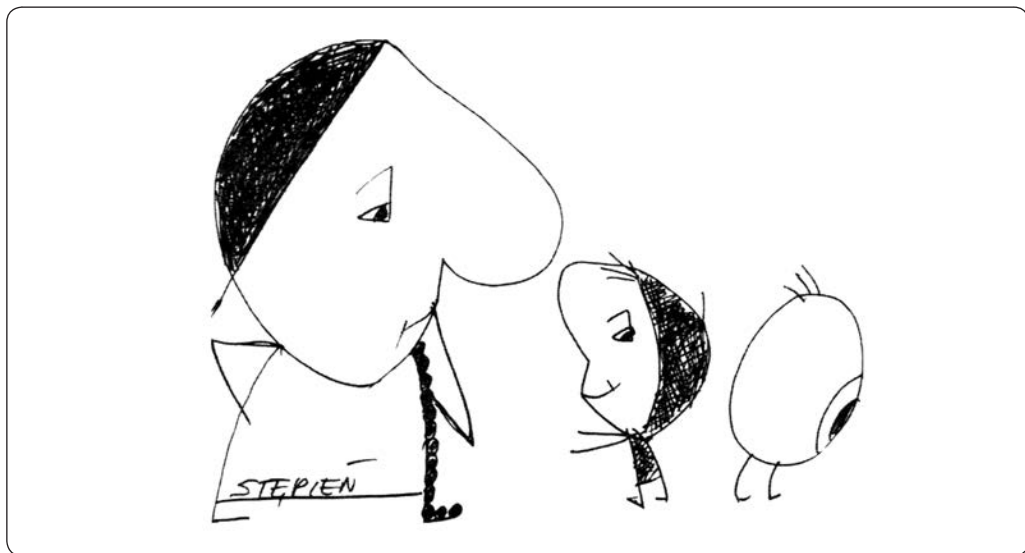
Redukowanie roli państwa do pobierania podatków jest nieporozumieniem i poglądem absurdalnie uznanym jako nowoczesny. Wypzedaż, wyzbywanie się własności państwowej nie jest rozwiązaniem korzystnym dla obywateli, zwłaszcza dla tych, którzy odznaczają się ponad przeciętną wrażliwością oraz wysokim poziomem rozwoju uczuć. Te cenne właściwości człowieka wywołują skrupuły i nie pozwalają na stosowanie większości środków, które prowadzą do sukcesu w brutalnej grze interesów, czyli w warunkach rywalizacji i konkurencji.

Obciążenia podatkowe w państwach skandynawskich są wyrazem troski o każdego obywatela, w tym troski o chorych, osoby pozbawione sprytu życiowego, twórców. Jest oczywiste, że bogacenie się jednych odbywa się kosztem ubożenia innych. Jest również oczywiste, że są w naszym społeczeństwie osoby, którym skrupuły nie pozwalają na bezwzględną rywalizację z drugim człowiekiem.

Mamy tendencję do nadużywania w ciągu ostatnich lat pojęcia praw człowieka oraz godności człowieka. Ulegając interesom koncernów i sojuszników, wtrącamy się w sprawy wewnętrzne innych państwa broniąc owej godności. Ale w życiu wewnątrzpaństwowym deklaruje się zbędność opiekuńczego charakteru państwa, szydzi się z tej funkcji, a wydatki na cele społeczne ocenia się za zbędne obciążenie budżetu.

Pogląd, że zasadniczą rolą państwa jest gwarantowanie wolności – dla wolności gospodarczej przynosi negatywne skutki społeczeństwu. Nadszedł czas, by konkurencję zamienić na współpracę. Nadszedł czas, by zaprzestać rozwoju gospodarczego o ile odbywa się dzięki marnej płacy, często głodowej za wykonywaną pracę. Wzory czerpane z Zachodu nie dotyczą uposażenia obywateli. Nie mniej zastanawiające jest, że politycy uzależnieni dobrowolnie od Kościoła nie czynią praktycznego użytku z poglądu, że prawo do korzystania przez każdego człowieka z dóbr materialnych jest jednym z podstawowych wskazań neotomistów.

Dominuje u nas lęk, by nie zostać ocenionym jako człowiek nienowoczesny, a zwłaszcza jako relikwyt poprzedniego systemu. Zastanawiam się jak czują się wczorajsi



Rys. Jan Stepien

entuzjaści marksizmu, dziś wstydliwie milczący mimo dostrzegania negatywnych skutków neoliberalizmu. Ofiarami tego systemu są także ci bez których nie byłoby przewrotu w 1989 roku. W Niemczech, w sytuacji kryzysu, wzrósł nakład „Kapitału” Marksa, bowiem jego krytyka dotyczy także dzisiejszej postaci kapitalizmu.

Eugeniusz KABATC

Popołudnia filozofów

Wstęp do teorii względności...

Profesor podniósł głowę znad swojej niezglębionej, komputerowej aparatury i z uczuciem ulgi dostrzegł za progiem zaśniewanego po uszy Przyjaciela. Dźwięk dzwonka do drzwi wyrwał go z upokarzającego stanu oszołomienia, spośród myśli roztańczonych karnawałowo, jakby w synchronizacji z bębnieniem ćwiczącego przed wieczorem zespołu gdzieś za stojącym w bieli sadem. „Cisza jest tylko marzeniem – pomyślał. – Ale, gdy już jest, czekamy na dobrą muzykę lub czyjś przyjazny głos – uzupełnił sobie, skrzywiwszy się lekko. – Ot i cała prawda na temat wyborów...”

Przyjaciel zadzwonił po raz drugi. Profesor widział go przez okno, jak niecierpliwie się przed drzwiami: niósł swoje pytania... Pośpieszył do przedpokoju, żeby mu otworzyć.

– Spałeś? Poobiednia drzemka, co? – powitał go Przyjaciel, otrząsając się ze sniegu.

– Pracowałem – usprawiedliwił się Profesor, odbierając od niego ciężką kurtę.

– Że też ci się jeszcze chce... Ostrożnie! – ostrzegł Przyjaciel. I już pytał: – A nad czym to tak dzielnie pracujesz?

Profesor przetarł czoło w odruchu niepewności.

– Wyobraź sobie... Nad wstępem do teorii względności – wyznał niemal z pokorą.

Przyjaciel zatupał zabawnie na środku przedpokoju, pozbywając się z butów resztek śniegu, ale bodaj i z uciechy.

– Ho, ho! Konkurujesz z Einsteinem! – zawołał. – Nowa filozofia fizyki?

– Ba! – westchnął boleśnie Profesor – Ale ja tylko o względności współczesnej etyki...

– Tylko! – podchwycił Przyjaciel, przechodząc do biblioteki i rozsiadając się w fotelu niemal po omacku.

Robiło się szaro, a Profesor nie zapalał jeszcze światła. Zaczynał oszczędzać; nieoczekiwanie jego budżet domowy doznał znacznego uszczerbku: nie miał wysokiej emerytury, a tymczasem gwałtownie wzrosły opłaty czynszowe za dom po tym, jak miasto bezceremonialnie nałożyło kontrybucję na hipotekę. Nie znał się na prawie własnościowym, nazywał tę operację po swojemu, irytował się, potrafił nawet zakląć, rozważając rzecz z Przyjacielem, ale lojalność obywatelska okazała się przemożna. Nie był z siebie zadowolony i zaczął miotać się wśród swoich myśli z poczuciem niejakiej bezradności. Gdy któregoś dnia Przyjaciel uznał, że polskie warcholstwo sięgnęło szczytów prawa, gotów był przez chwilę wzmocnić tę ocenę i dodać, że sięgnęło raczej bruku, ale nie uczynił tego. Odrzekł był wtedy, że nie da się tego łatwo uogólnić, bo są i dobre prawa.

Do tematu ich psucia Przyjaciel powrócił teraz, o zmierzchu.

– Czy w ogóle jest coś takiego, jak współczesna etyka? – zapytał z głębi swoich radykalizujących się przekonań. – Coś mi się widzi, że wszystko, co dawniej było

dobrze, burzy się, rzekłbym niechlujnie, a na tych ruinach ustawia się nowe kapliczki. Tyle że puste.

Profesor krzątał się w kuchni, ale słyszał Przyjaciela dobrze i rozumiał go. Sam przecież poddawał się nieraz tym stanom emocjonalnym, w których łatwo się traci równowagę. I niosąc na tacy kanapki z mortadela zamiast szynką, próbował zachować ją – dla siebie, ale i dla Przyjaciela.

- Nie wszystkie są puste – powiedział – niektóre są wręcz przepełnione. Nie, nie mów, że byle czym, bo szczęśliwie są jeszcze wartości, których człowiek nie może się pozbyć, choć okoliczności nalegają na to w coraz większym zamęcie.

Przyjaciel rozglądał się po ściemniającym się wnętrzu biblioteki, wypatrując jasnego głosu Profesora.

- Potrafimy nie poddać się okolicznościom? – zapytał. – Nie zapalisz światła?

- W tym cały szkopuł – odrzekł Profesor, ustawiając tacę na stoliku. – Jeśli zapalę światło, to znaczy, że poddam się okolicznościom. I będzie nam wygodniej. Ale naruszę zasadę oszczędności, jaką sobie ustaliłem dla potrzeb innej wygody.

- Wygoda jest taką potrzebą?

- Jest koniecznością.

- A nie przyzwyczajeniem?

- „Przyzwyczajenia niebios dar”, powiada poeta.

- A my, zwyczajni, mówimy, że jest drugą naturą człowieka.

- Pierwszą naturą, Przyjacielu, pierwszą – podkreślił Profesor, sadowiąc się wygodnie naprzeciw.

- Ale zawodną, co? – Przyjaciel obmacywał przestrzeń wokół, niewiele już widząc.

- Tu za mną, na półce, leżał zawsze korkociąg... Nie ma go.

- Bo nie ma też „zawsze” – roześmiał się Profesor. – Dziś rano wyniosłem go do kuchni.

- A nie sprzątająca pani?

- I nie ma już sprzątającej pani...

Przyjaciel mógłby się zasmucić, ale też się roześmiał.

- Ale jest korkociąg! Zwykle się mówi, że coś jest, a tego właśnie nie ma. A tu odwrotnie, czegoś nie ma, co właśnie jest. – I dodał, otwierając butelkę wina: – Chwała Ci za tę grę przedmiotów.

- To nie jest gra – poprawił go Profesor po swojemu. – To jest zwyczajna względność pojęć.

- Coś takiego! – zainteresował się Przyjaciel już zupełnie niewidoczny w mroku.

- To jest zasada?

- To jest zasada zasad – potwierdził Profesor stanowczo, choć do końca nie był tego pewny. Więc spróbował tę zasadę jakoś uzasadnić: – Nic nie występuje w osamotnieniu. Nawet nic. Ale także i te z najważniejszych wartości naszego życia, które określamy jako etyczne, czyli naszą zwierzęcość ucłowieczające...

- W dobrem i złem, jak mniemam – wtrącił uważny Przyjaciel.

- W etyce trzymamy się dobra wręcz kurczowo – wyjaśnił Profesor. – Zakładając, że jest go stanowczo za mało...

- Bo w naszej moralności jesteśmy z nim zawsze na bakier – uzupełnił tę myśl Przyjaciel.

- Prosiłem, uwzględnij: nie ma żadnego „zawsze” – skarcił go jednak Profesor.

- Jesteśmy jak na huśtawce. Odkąd człowiek objawił swoją zdolność wartościowania, wciąż tworzy zasady współistnienia społecznego, których nie jest w stanie w pełni wykorzystać. Pragmatyka życia publicznego nie idzie w zgodnej parze z filozofia pragnień, choć taka możliwość wciąż nam się marzy.

- Czy to znaczy, że człowiek chce więcej niż może? – dopytywał się Przyjaciel z ciemności, która nie była już tak gęsta, by postać Profesora nie zarysowała się przed nim z pełną szklanką w ręku.

- To znaczy, że nam się marzy odpowiedzialność za to, co czynimy - odrzekł Profesor.

- Nam wszystkim? - nieufnie wrzucił Przyjaciel.

- Nie ma „wszystkim” - oddalił pytanie Profesor.

- Nie ma „nigdy”, nie ma „zawsze”, nie ma „wszystkim”, to co, u licha, jest? - zirytował się Przyjaciel. - Czy tylko korkociąg?

- I jest wino - odpowiedział pogodnie Profesor. - I jest jeszcze elementarna ludzka przyzwoitość, Przyjacielu. Zauważmy ją.

- Wszędzie? - zająknął się Przyjaciel. - Czy „wszędzie” też nie ma?

- Wszędzie - odrzekł Profesor pojednawczo - gdzie żyją ludzie zdrowi na umyśle.

- Mam nadzieję, że my należymy do nich - zaryzykował Przyjaciel. I uniósł szklaneczkę. - Tedy pijmy za zdrowie. Wszystkich - dorzucił z uśmiechem, choć dla Profesora niewidocznym. - *In vino salus!*

Ale i Profesor trwał już w dobrym nastroju.

- *In vino solutio!* - podtrzymał Przyjaciela.

Zza siniejącego teraz sadu doleciało przytłumione bum-bum-bum. Zrobiło się karnawałowo.

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Genealogia terażniejszości

Nie wiem, czy można zaliczyć Cmentarz w Pradze do najlepszych powieści Umberto Eco (przekład - świetny! - Krzysztofa Żaboklickiego, Noir sur Blanc, Warszawa 2010). Sam autor zresztą wyznaje (rzecz jasna, przekornie), iż „zdaje sobie sprawę, że w dość chaotycznych splotach” fabularnych jego powieści „czytelnik może mieć problem z nawiązaniem do linearnego rozwoju wydarzeń”, a „nawet narratorowi często niełatwo było się w tym rozeznać”. Dotyczy to zwłaszcza jego części pierwszej, wprowadzającej czytelnika w zakulisowe mechanizmy rządzące zatłoczoną i niezmiernie powikłaną sceną polityczną risorgimento - procesu wyłaniania się w drugiej połowie wieku XIX zjednoczonych Włoch. Nawet włoski czytelnik Cmentarza, znający historię nowożytną swego kraju, może poczuć się bezradny w zobrazowanym w tej powieści w sposób nader sugestywny gąszczu przepostaciowań, kamuflaży i maskarad, nagminnie uprawianych przez ówczesnych polityków włoskich (dzisiejsi „politycy” polscy są przy nich pozbawionymi talentu i wyobraźni amatorami), a także krwawych bojów, sterowanych z nie tylko bezpiecznego, lecz wallenrodycznego zakonspirowania. Z przywołanej tu (nie przypadkiem!) polskiej perspektywy wypadnie w każdym razie uznać najnowszą powieść Eco za akt - by się posłużyć słowami Żeromskiego - „rozdrapywania ran” narodowych.

W każdym zaś razie dostrzec warto już w tej części powieści uniwersalny model nie tyle „spiskowej teorii dziejów”, ile niebłażej roli, jaką w nich odgrywają prowokacje, „falszywki” policyjne i propagandowe, insynuacje i kampanie nienawiści. Arcywnikliwie analizuje autor techniki posługiwania się pomówieniami i fałszywymi oskarżeniami wykorzystywanymi w całkowitej świadomości, iż są bezpodstawne, a mówiąc ściślej - jedyną ich podstawą jest nadzieja, iż - jak się wyraził pewien mistrz w tej osobliwej sztuce - „ciemny lud to kupi”. W tym omamianiu ludzi na ogół nie wystarcza pomysłość indywidualna - rzecz wymaga działań zespołowych i odpowiedniej aparatury rozpowszechniającej rewelacje („newsy”). Narrator powieści rozpoczynał karierę jako fałszerz dokumentów hipotecznych zatrudniony w podrzędnej kancelarii prawniczej,

kończył zaś jako współtwórca najpowszechniej po całym kontynencie krążących „fałszywek” (z osławionymi „protokołami mędrców Syjonu” włącznie).

Druga zwłaszcza połowa XIX stulecia – okres „Wiosny ludów”, rozkwitu dążeń demokratycznych i wolnościowych w wielu krajach, a także pojawienia się i błyskawicznego rozwoju nowych środków i sposobów masowego komunikowania się ludzi – wszystko to stanowi podstawę dla formowania się mechanizmów politycznych i policyjnych sterujących tymi masowymi działaniami i kampaniami, badających nastroje i zachowania ludzkie, dostrajających do nich podejmowane z chłodnym, cynicznym wyrachowaniem akcje i intrygi. Koronnym tego przykładem jest oczywiście intryga osnuta na umieszczonym w tytule powieści cmentarzu żydowskim w Pradze, w miejscu po dzień dzisiejszy ściągającym turystów swą niezwykłością.

W piśmiennictwie polskim mamy od kilkunastu lat znakomite opracowanie sposobu prokurowania fałszykatu zwanego „protokołami mędrców Syjonu” i jego propagowania – przedstawił je dowodnie w swe znanej książce prof. Janusz Tazbir; powieść Eco kreśli niepowszednio sugestywny obraz obmyślenia, produkowania i nagłaśniania tej fałszywki, jednej z najsukuteczniej rozpropagowanej w dziejach. Równie pasjonujące są w powieści Eco opisy narodzin i rekordowo szybkiego rozwoju „czwartej władzy” społeczności zdemokratyzowanych – prasy, ukazane na przykładzie jednej z najwcześniejszych „gadzinówek”, nazwanej zwoodniczo *La Libre Parole Illustrée*. Przy okazji zresztą kreśli autor pasjonująco historię „powieści odcinkowych” publikowanych przez codzienne gazety oraz portrety niekwestionowanych klasyków tego gatunku, Eugèna Suego i Alexandra Dumasa (skądinąd zaangażowanych z całą pasją pisarską po stronie światłego racjonalizmu i postępu). Znamienna jest w tym względzie kontrakcja podjęta przez mroczne siły dysponujące znacznymi wpływami na regulacje ustawodawcze i administracyjne: zdołały one doprowadzić do zakazu publikowania powieści odcinkowych w dziennikach, by zapobiec ich „zgubnym oddziaływaniom” na czytelników.

Najciekawsze bodaj w Cmentarzu w Pradze są dwa wątki tematyczne: pierwszy związany ze słynną „sprawą Dreyfusa”, z której powodu narodził się ruch obywatelskiego protestu w nowoczesnych społeczeństwach ucivilizowanych, drugi – z korzeniami wydarzeń głównie z ostatnich dekad.

O pierwszym z tych brzemiennych w skutki wydarzeń wiemy stosunkowo dużo; powieść Eco dostarcza jednak sporą przygarść wiedzy o oponentach rzeczników obywatelskiej niesubordynacji. Oto na przykład ich charakterystyka nakreślona przez narratorkę powieści: „Zola, pisarz dość wulgarny, opublikował płomienny artykuł (Jacquise! Oskarżam!), a grupa podrzędnych literatów i rzekomych naukowców wstąpiła w szranki, żądając wznowienia procesu. Kim oni wszyscy są – jakiś Proust, France, Sorel. Monet, Renard, Durkheim? U pani Adam nigdy ich nie widziałem. Ten Proust – jak mówią – jest dwudziestopięcioletnim pederastą, autorem pism jeszcze na szczęście niepublikowanych. Monet to pacykarz; widziałem jeden jego obraz, patrzy z niego na świat kaprawymi oczami. Zresztą co pisarzowi albo malarzowi do postanowień sądu...” Jak dobrze znamy ten język! Jak wytrwale towarzyszy toczonym wczoraj i dziś „debatom” publicznym i prasowym nagonkom!

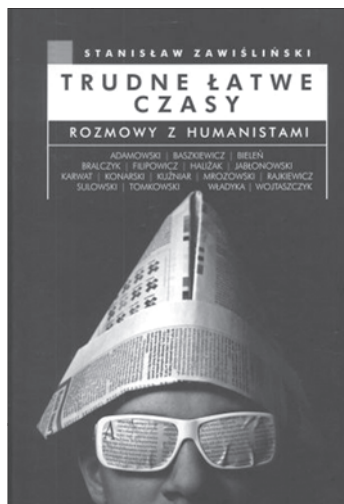
Wątek drugi dotyczy działań już nie werbalnych, ale znacznie bardziej donośnych – i śmiertelnych. Ostatnie pomieszczone w powieści Eco notatki jej narratorki pochodzą z okresu, kiedy dokonywano w Paryżu (gdzie ów narrator osiadł) głębokich wykopów pod metro. W jednym z tych wykopów – u „wlotu podtrzymywanego belkowaniem tunelu” narrator ów ma podłożyć „przerażający swoją prostotą aparacik” (składa się nań „płatnina drutów i cebula, jaką noszą proboszczowie”) i „sprawa załatwiona”. Dzięki temu, że „zna się wewnętrzny mechanizm uruchamiający dzwonek budzika o żądanej porze. Bateria po uruchomieniu dzwonka spowoduje, że zadziała detonator.(...) Trzeba napelnić zbiorniczek pół na pół siarczanem miedziowym i siarczanem cynku. W warstwę miedzi wkłada się płytkę miedzianą, w warstwę cynku – płytkę cynkową. Końce płytek stanowią oczywiście dwa bieguny baterii. Czy to jasne?” Co sięyczy ładunku, instruktor narratorki ma bogaty wybór

środków wybuchowych. Konkluduję tedy: „...najpierw

Dokończenie na s. 46

WŚRÓD KSIĄŻEK

Stanisław ZAWIŚLAŃSKI
Trudne łatwe czasy – rozmowy z humanistami. Wydawnictwo „Skorpion”, Warszawa 2011.



Ulegli magii i szantażowi

W Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego

powstała książka, w której profesorowie-humaniści zaskakują stwierdzeniami: „kłamstwo daje nam poczucie wolności”, „nie chcemy wybrać [do Sejmu] lepszych od siebie”, „triumfuje siła bezsilnych, ale rewolucji nie wywoła”, „wszystko, co ważne, jest trudne”, „dziennikarze żonglują historią”, „czasami nie opłaca się być uczciwym”.

Stanisław Zawiślński, autor serii wywiadów z grupą szesnastu wybranych profesorów związanych z Wydziałem Dziennikarstwa i Nauk Politycznych zdradza źródło inspiracji książki. Była nim nieodkrywcza refleksja, że w zwariowanym tempie codzienności mamy coraz mniej czasu na konieczne, bo ozdrowieńcze dla umysłu, duszy i ciała chwile oddechu oraz namysłu: dokąd pędzimy? dlaczego? i w jakim celu? Na te banalne pytania dziennikarz poszukał odpowiedzi u znanych profesorów w powszechnym poczuciu „upadku popularyzacji wiedzy” oraz niedostatku „zainteresowania polityków dorobkiem nauk humanistycznych i społecznych”. Dodam od siebie – nie tylko politycy powinni być adresatami książki.

Dyrektor Instytutu, Marek Jabłonkowski oraz autor w postwowie zadają inne ważne pytania: „Co robi inteligencja? Dlaczego ucichła, dała się zepchnąć na margines? Na własne życzenie? Może zresztą już jej nie ma – zanikła wraz z nową epoką?” Zatem również nie-politycy znajdują w tej książce dużą dawkę wiedzy o sobie.

Inspiracja znana, adresat znany, a propozycja intelektualnej strawy humanistycznej, czyli próba diagnozy kryzysowej sytuacji? **Profesor Jan Baszkiewicz (wybitny prawnik, politolog i badacz historii idei) w swoim ostatnim przed śmiercią wywiadzie stwierdził: „Daje się dostrzec ogromny rozdziew między postawą elit a tymi, którzy stoją niżej w hierarchii społecznej. Tę postawę elit dobrze charakteryzuje powiedzenie, że ciemny lud wszystko kupi”. A lud „kupuje”, ale do dopóty, dopóki nie dostrzeże zagrożenia w zaspokajaniu swoich stale rosnących potrzeb konsumencyjnych.** Obserwując gorące manifestacje i burdy w wielu krajach Unii Europejskiej oraz... Stanów Zjednoczonych czujemy narastającą groźbę nie fizycznego głodu lecz zaledwie ograniczeń w nabywaniu coraz to nowych dóbr, którym towarzyszy rosnące bezrobocie, zwłaszcza wśród młodych. „Odrącani” wychodzą na ulice, palą samochody, plądrują sklepy, rzucają w kierunku policji petardy i kamienie w poczuciu krzywdy; zapominają – twierdzi Baszkiewicz – o „*cnocie powściągnięcia konsumeryzmu*”.

Dlaczego zapominają? Paradoksalnie pomaga im w tym najlepszy (choć pełen wad) z wymyślonych do tej pory ustrojów – demokracja. Jej wady już dwa wieki temu opisał francuski myśliciel i polityk, Alexis de Tocqueville. Przekonywał on, że w czasach demokratycznej równości triumfuje przeciętność i niechęć „*ogłądania tego, co nas przewyższa...przekonanie, że nic powyżej czubka naszej głowy istnieć nie powinno*”. Tak komentuje francuskiego filozofa profesor Stanisław Filipowicz (badacz demokracji nowoczesnych i ponowoczesnych). Mamy przy urnach nieograniczone prawo wyboru

najlepszych reprezentantów do demokratycznych instytucji, a jednak „nie potrafimy, ale i nie chcemy wybrać lepszych od siebie”. Lud podświadomie tłumaczy to, co racjonalne i sam ogranicza własną wolność myślenia, które męczy, ponieważ zmusza do pokonywania lęków, uprzedzeń, przesądów, a także lenistwa. Lud „ucisza rozum i refleksję”, wolność miała mu przynieść radość, a przynosi podejrzliwość i agresję.

Co je potęguje? Większość rozmówców Zawislińskiego nie ma wątpliwości: podsyty wyrachowaniem oraz egoistycznym interesem sojusz polityków z mediami. Obydwe strony wzajemnie się od siebie uzależniły, choć powinny strzec jak żrenicy oka własnej suwerenności. Politycy ulegli magii i szantażowi rankingów popularności oraz tyranii słowa drukowanego i emitowanego przez tzw. czwartą władzę. Ta natomiast poddała się z jednej strony tyranii klasy politycznej – gwaranta posad w upartyjnionych redakcjach, zaś z drugiej strony biznesowi – dostawcy reklam. Owe dwie siły nacisku na media z powodzeniem zastąpiły polityczną cenzurę z czasów minionej epoki. „Trudniej się jej przeciwstawić niż kontroli państwa” komunistycznego – zwraca na to uwagę profesor Wiesław Władyka (historyk, literaturoznawca i wybitny publicysta). Media publiczne, poddane presji opcji politycznych, a media komercyjne presji rynku zamiast służyć prawdzie opisu rzeczywistości, kreują zafalszowane jej obrazy. „W związku z tym czasami opłaca się być uczciwym, a czasami nie” – konkluduje Władyka.

Ta sytuacja uniemożliwia „prawdziwe porozumienie, czyli porozumienie dusz” – to już diagnoza profesora Jerzego Bralczyka (językoznawcy, badacza języka i reklamy). Język obydwu stron „służy gorliwie zarówno prawdzie jak i kłamstwu”. Profesor zwraca uwagę na groźny w skutkach społecznych paradoks: „A przecież kłamstwo daje nam także poczucie wolności”. W tym poczuciu i w pogoni za sensacją, która się dobrze sprzedaje (więc napędza reklamy) – „media są dziś w swoim przekazie – nie boją się tego powiedzieć – wręcz nikczemne. Bo unikają pokazywania tego, co pozytywne” – konkluduje nestor polskiej ekonomii i polityki społecznej, profesor Antoni M. Rajkiewicz. **Dodajmy, że znaczna część hierarchów i duchownych niższych szczebli – pod przewodnictwem radia i telewizji z Torunia – pomaga konserwatywnej opozycji w sianiu nieufności wobec wysiłków rządzących. Najsilniejszego, ale zagubionego lidera opozycji nazywa „zbawcą Polski przed Polakami”; sakralizuje anarchię.**

Jesteśmy świadkami i równocześnie ofiarami medialnej oraz politycznej żonglerki nie tylko językiem, ale także historią – wyznaje profesor Marek Jabłonkowski (historyk, dyrektor Instytutu): „W przestrzeni publicznej zaczyna dominować historia rozliczeniowa, szalenie efekciarska... Wielokrotnie powtarzane bzdury czy fałszywe interpretacje sprawiają, że z czasem przyjmuje się je za prawdę”. Łatwo sobie wyobrazić, jaki bałagan czyni to w umysłach ludu, w zmaganej, zbiorowej świadomości. Szczególnie groźny dla przyszłości kraju jest obniżający się poziom intelektualny młodych Polaków. Prawie wszyscy rozmówcy Zawislińskiego zwracają uwagę na katastrofalny stan wiedzy historycznej i współczesnej studentów dziennikarstwa i innych wydziałów humanistycznych. „W Polsce czytanie stało się niemożliwe” – z przykrością potwierdza Stanisław Filipowicz. Profesor Janusz Adamowski (znawca systemów medialnych, dziekan Wydziału) przekonuje: „Cóż, zjawisko analfabetyzmu funkcjonalnego istnieje. Obserwuję je choćby u studentów. Mają kłopoty ze zrozumieniem bardziej złożonych komunikatów, częściej posługują się symbolem niż słowem”.

Ten niedostatek racjonalności i nadprodukcję emocjonalności wykorzystują cyniczni politycy z trudem ukrywający fakt, że „społeczeństwo jest potrzebne tylko na czas wyborów, do których muszą zmobilizować obywateli” – konstatuje profesor Konstanty A. Wojtaszczyk (prawnik, politolog; specjalista w zakresie systemów politycznych i partyjnych).

Ponura diagnoza stosunków wewnętrznych kraju – a jak się mają relacje z zagranicą? Profesor Wawrzyniec Konarski (badacz systemów politycznych i partyjnych) powtarza to, co od wieków niby wiemy, a co z takim trudem i niewielkimi sukcesami realizujemy. Biorąc szczególnie pod uwagę nasze mało komfortowe

położenie geograficzne wiemy, że z sąsiadami „powinniśmy poszukiwać tego, co nas łączy. Do tego potrzebna jest wiedza i świadome kształtowanie postaw otwartych na inność”. A jak jest z tą otwartością? Ona też jest nieustannie zaburzana przez znaczącą część polityków i ich media. **Profesor Stanisław Bień (specjalista od stosunków międzynarodowych, szczególnie z Rosją) radzi, byśmy „porzucili politykę strachu przed Rosją i syndrom ofiary”.** Gdy obecna ekipa rządząca z trudem przełamuje bariery niechęci, uprzedzeń oraz wymaginowanych lęków, gdy poszukuje tego, co łączy, to najsilniejsza partia opozycyjna głosi na krajowych i międzynarodowych forach, że jesteśmy „kondominium” ościennych mocarstw. Konarski wskazuje, że zbyt mało tworzy się programów pozwalających bliżej poznać sąsiadów, zwłaszcza tych niemocarstwowych – Litwy, Białorusi, a zwłaszcza Ukrainy. Marek Jabłonkowski przestrzega, że „odwróciliśmy się od Europy Wschodniej i w niedługim czasie stracimy z nią związki kulturowe, przestaniemy ją rozumieć”.

Elita humanistyczna z Alma Mater Varsoviensis wychwyciła moc niedostatków, zaniedbań oraz zagrożeń dwóch dekad po transformacji i wnikliwie je zanalizowała. Nie wszystkie je tu zasygnalizowałem. Szukałem także w szesnastu wywiadach jaśniejszych barw w kreślonym na ponuro obrazie sytuacji w ojczyźnie. Prawie nic nie znalazłem. Jedyny profesor Janusz Adamowski wyznaje: „Może ja jestem idealistą, ale wierzę, że kiedyś dziennikarstwo w Polsce znów będzie ostoją inteligencji... Ktoś będzie musiał ciekawie i kompetentnie objaśniać świat.” Jeśli z wielkim przejściem czyta się diagnozę, odruchowo chciało by się poznać propozycje terapii. Nie wiem jednak, czy mam prawo tak dużo oczekiwać od ludzi nauki, intelektualistów, nie-polityków. Zwłaszcza, że i politycy, i nawet najbystrzejści publicyści są mistrzami świata w krytyce obecnego stanu spraw w Rzeczpospolitej. Zaś propozycji zmian na lepsze, jakichś prób pozytywnego programu szukać u nich ze świecą.

Wiesław ŁUKA

Jean ZIEGLER

Nienawiść do Zachodu, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010, ss. 296.



Współczesne dziedzictwo kolonializmu

J. Ziegler to szwajcarski dyplomata, działacz społeczno-polityczny, dziennikarz i publicysta; profesor paryskiej Sorbony i uniwersytetu w Genewie; dyplomata helwecki oraz przedstawiciel różnych międzynarodowych agend ONZ m.in. d/s wyżywienia bądź praw człowieka; poseł do parlamentu szwajcarskiego z ramienia miejscowych socjalistów; autor wielu książek i artykułów o zasięgu międzynarodowym.

Podstawowe pytanie nurtujące nas, ludzi Zachodu jakie stawiamy sobie sami w ostatnich czasach brzmi następująco; dlaczego tak wielu reprezentantów innych cywilizacji (niż zachodnia, euroatlantycka), kultur, wspólnot czy społeczności, taką niechęcią darzy Zachód wręcz go nienawidzi. Mimo niesionych tym wspólnotom, grupom, narodom szczytnym, ideom (od ponad 5 wieków czyli od odkrycia Nowego Świata przez K.Kolumba) – ideom cywilizacji łacińskiej, śródziemnomorskiej). Od ponad 200 laty – teżom i wizjom Oświecenia Mimo to otacza ludzi (i kulturę) tej cywilizacji, cywilizacji Zachodu niechęć, pogarda, dystans, drwina i nienawiść.

Szwajcarski autor próbuje – moim zdaniem niezwykle trafnie – dać odpowiedź na te trudne i niezrozumiałe często dla Europejczyka dylematy.

Dlaczego tak mówią i myślą reprezentanci tych poza euroatlantyckich kultur i cywilizacji, skoro jak widać sieć McDonald's opasała całą kulę ziemską swoim złotym łukiem, a buty Nike'a czy Adidasa nosi się nie tylko w Nowym Jorku, Manitobie, Paryżu, Sydney,

Warszawie, Moskwie, Madrycie czy Koszycach, ale i w Singapurze, Kalkucie, Mombasie, Rijadzie, Montevideo, Johannesburgu bądź Manili. Przecież satelitarne telewizje anglojęzyczne docierają do każdego miejsca na Ziemi, a medialne show (jak mecze Real-Barcelona, olimpiady, śluby rodzin królewskich z Europy czy wręczenia Oskarów) śledzą w bezpośrednim przekazie miliardy ludzi na świecie? **Wydaje się, że dziś cywilizacja zachodnia zdominowała świat może nawet mocniej niż w epoce kolonializmu (pod koniec XIX i na początku XX wieku), kiedy to np. nad Imperium Brytyjskim nie zachodziło nigdy słońce. Dotyczy to zwłaszcza przestrzeni symbolicznej, wartości, idei, najszerzej pojętej ekonomii, mody, mediów itd.** Nawet język angielski stał się międzynarodową, globalną formą komunikacji.

To zmiana paradygmatów powstałych w epoce kolonialnej, wzmocniona ewangelizacyjną misją Kościołów chrześcijańskich różnych denominacji, ściśle splecionych z poszczególnymi państwami i ich imperialnymi interesami (katolicy, protestanci i prawosławni mają identyczne, wątpliwej proveniencji, zasługi na tym polu – tępienie autochtonicznych kultur oraz ich obrońców, łamanie oporu wobec trwania przy wartościach i tożsamości przodków, dawnych religii, obyczajów itp.) a kruszonych od ponad 50 lat (czyli od rozpoczęcia fazy dekolonizacji i emancypacji poszczególnych społeczności – w tzw. wówczas – III Świecie) wzmocniona została współcześnie monokulturą myśli ekonomiczno-filozoficznej – neoliberalny dogmat rozwiązań gospodarczo-finansowych rozprzestrzeniony na całą gospodarkę światową powodujący przeniesienie tych pomysłów (dogmatycznych, kategoriicznych, quasi-religijnych w treści *mainstreamowej*) do kultury. Mamy więc do czynienia z religijnymi w formie i autorytarnymi w przekazie społecznym przekazami oraz wartościami narzucanymi poza-euroatlantyckiej części globu ziemskiego.

Polityka i filozofia polityki tudzież prawa, propagowana przez ludzi Zachodu – spowodowały takie właśnie reakcje, takie odczucia ludzi, taki odbiór kultury euroatlantyckiej w świecie. To nie jest nienawiść do ludzi Zachodu, to jest odrzucenie jednokierunkowego modelu polityki, kultury, standardów, narzucanych na zasadzie imperialnego dyktatu ludom – według mniemania nas, zachodnich Europejczyków i Amerykanów – mniej cywilizowanym (co to za oksymoron funkcjonujący nadal w świadomości wielu ludzi euroatlantyckiej cywilizacji, iż to my Zachód mamy jakieś szczególne prawo pouczać, narzucać, dyktować zachowania, wartości, prawa itd. innym społecznościom, uważając ich za niekulturalnych, „dzikich barbarzyńców” i materiał do cywilizacyjnego „urabiania”).

To jest zdaniem – słusznym zresztą patrząc na treści zawarte na kartach tej książki – J. Zieglera główna przyczyna, czemu narody, społeczności, wspólnoty z Azji, Ameryki Łacińskiej, Afryki i Oceanii odrzucają wartości niesione przez Zachód (mimo iż są one jak najbardziej słuszne i humanistyczne, co podkreślają oraz potwierdzają światli i wyedukowani reprezentanci tych społeczeństw) nie utożsamiając się z tymi wartościami w takiej mierze jakbyśmy ludzie Zachodu myśleli, jakbyśmy chcieli, jakbyśmy uważali.

Dlatego m.in. Zachód jest dla tych narodów, społeczności, kultur niewiarygodny: z tytułu, raz – dzisiejszego imperializmu ekonomiczno-gospodarczego, dwa – z racji kolonialno-eksploatatorskiej przeszłości. Jak pisze Ziegler wieki wyzysku i miliony ofiar – kolonialne wojny, niewolnictwo, bestialstwo „białych ludzi” wobec autochtonicznej ludności – niczego Zachód nie nauczyły. Dziś takim pojęciem – kluczem niwelującym i zaprzeczającym wszystkiemu co było powiedziane do tej pory o godności człowieka, równości, sprawiedliwości między ludźmi różnych ras, języków, wyznań i kultur, wyjątkowości jednostki ludzkiej, prawach człowieka (i czym Zachód chlubił się „od zawsze”) jest tzw. nieograniczona „wojna z terroryzmem”. Ze wszystkimi swymi przypadłościami i wynaturzeniami.

J. Ziegler daje odpowiedź na pytanie o przerwanie tego kręgu niesprawiedliwości i nienawiści – to rodzący się opór ludów i wspólnot Południa (dawny tzw. III Świat) prowadzony w sposób demokratyczny i masowy. Ich uosobieniem – zdaniem helweckiego dyplomaty – pozostają Nigeryjczyk Wole Soyinka (pisarz, działacz społeczny) i Boliwijczyk Evo Morales (pierwszy prezydent, z pochodzenia Indianin Keczua, Boliwii).

Warto zapoznać się z tą ciekawą i intelektualnie pożyteczną pozycją książkową.

Radosław S. CZARNECKI

W CZASOPISMACH

Spośród wielu smacznych „dań” przygotowanych przez krajowe gazety i czasopisma na czas Świąt, Nowego Roku tudzież Trzech Króli (obchodzonych w tym roku z przesadną fantazją), a więc na długi czas narodowej sjeisty, skupiamy się na niewielu z nich dając przykład oszczędzania, do czego zdaje się zachęcać duch ostatniego czasu, unoszący się nad Europą i nieco już odczuwany na rodzimej „zielonej wyspie”.

Ale nie sposób oszczędzać, choćby czasu, na lekturę tekstów wartych tego na tle większej całości. Bo warto, bardzo warto przeczytać rozmowę z prof. Karolem MODZELEWSKIM – przeprowadzoną w PRZEGLĄDZIE (numer z 8 stycznia 2012) przez red. Roberta Walenciaka – dotyczącą spraw fundamentalnych, ujmowanych w poczuciu szacunku dla wszystkich, których interesuje rzetelność myślenia i prawda.

Dlaczego, pyta dziennikarz, rządząca Platforma Obywatelska nie wykazuje chęci rozliczenia łajdactw IV RP, tak jakby chciała o nich zapomnieć. „Być może – czytamy w odpowiedzi – Kaczyński i Ziobro potrzebni są im jako straszak. Straszaki muszą mieć odpowiednio duże poparcie społeczne, żeby się było kogo i czego przestraszyć. To może być taka cyniczna kalkulacja, ale ryzykancka. ...Dlatego, że wciąż istnieje możliwość powrotu Jarosława Kaczyńskiego do władzy. Otworzyć ją może, i on na to słusznie liczy, kryzys. Ten kryzys krąży wokół nas i naprawdę nikt nie wie, jak się to obróci. Otóż kryzys może spowodować, że ludzie, którzy są dziś zadowoleni z własnego położenia i z bilansu transformacji, ze stanu spraw w państwie polskim, utracą poczucie bezpieczeństwa w życiu codziennym. To działa na psychikę bardzo silnie ... Wtedy możliwe jest wielkie kotłowanie nastrojów, politycznych zachowań i sympatii.” Kaczyński bowiem – czytamy dalej – „zbudował formację polityczną, która zagospodarowuje duży obszar, nawet nie tyle społecznego niezadowolenia, ile czegoś więcej, bo frustracji i poczucia krzywdy. Nieszczęście polega na tym, że Prawo i Sprawiedliwość nawiązało z tymi ludźmi więź intymną nie na zasadzie, że polepszy ich dolę, tylko że odegra się na tych, których ci ludzie nie znoszą. To znaczy, że PiS nie poprawi losów pokrzywdzonych, ale przynajmniej pogoni tych sukinsynów, którym się powiodło. Tu jest pies pogrzebany”.

I jeszcze fragment na temat ewolucji Unii Europejskiej w kierunku jej większej integracji. Prof. Karol Modzelewski patrzy na ten proces z iskierką nadziei. „Bo Unia, ponieważ jest dostatecznie duża, mogłaby się stać odpowiedzią na globalizację. Jeśli więc już mamy bronić suwerenności, a ja jestem do suwerenności przywiązany jako człowiek starej daty, to realną szansę mamy, broniąc jej wspólnie, a nie w pojedynkę, każde państwo z osobna. Nic nie poradzimy w pojedynkę przeciw doraźnym kalkulacjom i kaprysom macherów od wielkich spekulacji finansowych. Przeciw jakimś agencjom ratingowym, które nagle powiedzą, że rozważają, żeby złotówkę potraktować jak śmieci. I jesteśmy ugotowani! Żaden polski rząd, żaden polski parlament, a nawet polski naród nic na to wtedy nie poradzą”.

Wymowną ilustracją słów rozmówcy tego samego numeru PRZEGLĄDU są teksty na temat OFE, czyli Otwartych Funduszy Emerytalnych zatytułowane „Kiedy Polska uwolni się od OFE. OFE rujną 15 milionów Polaków i budżet państwa.” „Szkodliwość OFE dla Polski – czytamy znakomicie udokumentowany tekst prof. Leokadii OREŻIAK, ekonomistki z warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej – wynika z tego, że nasz kraj nie miał i nadal nie ma nadwyżek budżetowych, by tworzyć rezerwę w postaci OFE. Ma natomiast od dawna dług publiczny, który pod koniec 2011 r. osiągnął poziom znacznie przekraczający 800 mld zł, a roczne odsetki od tego długu to co najmniej 40 mld zł... Potrzeby pożyczkowe kraju w 2012 r. są szacowane na około 170 mld zł. Oddłużeniu kraju powinny też służyć środki z realizowanych i planowanych podwyżek obciążeń podat-

kowych oraz cięć wydatków budżetowych. Tymczasem duża część tych dodatkowych ciężarów pójdzie na utrzymanie OFE, które nie są warte tych wyrzeczeń. Nie tylko nie zapewniają propagowanego przez ich zwolenników większego bezpieczeństwa przyszłych emerytur, ale wręcz drastycznie je zmniejszają”.

Oto krąg ważnych problemów do których zaliczyć też trzeba rozmowę z Januszem PALIKOTEM przeprowadzoną przez Agnieszkę Kublik w „Gazecie Wyborczej (numer z 7–8 stycznia 2012). Pomijając skądinąd interesujące opinie tego polityka, a zarazem absolwenta filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, na temat Boga, duszy czy ludzkiej samoświadomości, skupiamy się na jego stosunku wobec Kościoła i jego miejsca we współczesnym polskim życiu. „Nie wyobrażam sobie nowoczesnego państwa – czytamy Janusza Palikota – bez wyprowadzenia religii ze szkół. Odpowiedni projekt zaproponujemy wraz z ustawą określającą szczegółowo relacje pomiędzy Kościołem a państwem ... W instytucjach publicznych takich jak Sejm czy szkoła nie powinno być symboli religijnych. Lekcje religii powinny odbywać się poza szkołą i nie powinny być elementem programu nauczania i oceny. Osoby duchowne nie powinny brać udziału w uroczystościach państwowych w strojach religijnych. Wszelkie finansowanie z budżetu jakiegokolwiek Kościoła powinno być wstrzymane. Kościół powinni finansować wierni, nie państwo...”. W sprawie aborcji, in vitro oraz eutanazji rozmówca „GW” opowiada się za ich ustawowym uregulowaniem w duchu standardów europejskich („Ustawa powinna pozostawiać sprawę stosowania aborcji lub nie wolności sumienia poszczególnych osób”). A wreszcie na pytanie „Czy może istnieć wiara bez Kościoła?” pada odpowiedź: „Wiara jest tylko poza Kościołem. Kościół jest już martwy w sensie duchowym” I jeszcze jedno: „Człowiek stanowi dla mnie absolutny punkt odniesienia. Jednak to nie to samo co wierzyć w Boga”.

Z pewnością nachodzi ciekawy czas trudnej próby: czy może tym razem uda się coś zrobić na rzecz świeckości życia społecznego i naszego państwa?

Wybrał
Ksawery. S. PIWOCKI

Wacław SADKOWSKI

Genealogia terażniejszości

Dokończenie na s. 40

trzeba nastawić wskazówki na żadaną godzinę, potem podłączyć budzik do baterii, baterię do detonatora, detonator do ładunku i nakręcić budzik.(...) Później idzie się do domu, do teatru, do restauracji. Bomba wszystko zrobi sama.”

Rzecz w tym, że przygotowanego taką właśnie, chałupniczą metodą (tyle, że zapewne operującą nowocześniejszym sprzętem kuchennym) zamachu dokonano w tymże Paryżu przed kilkunastu laty (wzięto na cel pociąg szybkiej kolei podmiejskiej RER). A przedtem dywersyjny zamach na metro planowali wypierani z miasta latem roku 1944 hitlerowcy wraz ze swymi lokalnymi akolitami. Eco ukazuje w swej powieści ich protoplastów ideowych i mentalnych, którzy nie tylko w Paryżu znajdują sukcesorów.

Jeśli więc nie mam pewności, czy Cmentarz w Pradze należy do najdoskonalszych pod względem artystycznym utworów autora Imienia róży, jestem głęboko przeświadczony, że uznać ją trzeba za niepospolite osiągnięcie w zakresie tego, co można by nazwać detektywistyką historyczną, po mistrzowsku metaforyzującą materię historyczną Jest też utworem w najlepszym rozumieniu tego określenia paląco aktualnym, podejmuje bowiem problematykę z zakresu tego, co Aleksander Świętochowski nazwał był kiedyś „genealogią terażniejszości”. Nie tylko w sferze przedstawionych w niej działań, lecz także – a może przede wszystkim – w sferze przedstawionych w niej działań, lecz także – a może przede wszystkim – w sferze ich ideologicznych i psychologicznych motywacji.

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Z głębokim żalem pożegnaliśmy zmarłego 12 listopada 2011 r.

Profesora Zbigniewa JAWOROWSKIEGO

lekarza, wybitnego radiologa, badacza zmian klimatycznych na świecie, uczestnika wielu ekspedycji naukowych do różnych regionów świata; tego, który znalazł czas, aby stać się stałym autorem naszego czasopisma, co było dla nas i pozostanie zaszczytem; i tego, którego humanistyczne i racjonalistyczne przekonania połączyły nas więzami szczególnie bliskimi.

Był Człowiekiem wielu pasji, wielkiej żywotności i ujmującej kultury, był tym, o którym nigdy nie zapomnimy.

Małżonce Zmarłego, Profesor Zofii KIELAN-JAWOROWSKIEJ składamy szczególne wyrazy naszego smutku i żalu.

Zespół Redakcji RES HUMANA

Zmarł prawdziwy chrześcijanin

W dniu 29 listopada 2011 roku zmarła Antonina Wyrzykowska z Jedwabnego, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata. Polska prasa i telewizja, poza krótkim artykułem Pani Anny Bikont w „Gazecie Wyborczej”, przemilczały śmierć Pani Antoniny.

Wyrzykowska wraz z mężem Aleksandrem uratowała 10 lipca 1941 roku siedmioro Żydów, mieszkańców miasteczka, którym współmieszkańcy, sąsiedzi, urządzili krwawy pogrom, zakończony spaleniem schwytych Żydów w stodole. Jedwabne jest dziś symbolem polskiej hańby i współodpowiedzialności za Holokost. Oczywiście jest nieporównywalny do hańby, jaka stała się udziałem Niemców – głównych sprawców Zagłady, ale ochoła, z jakim wielu, zbyt wielu Polaków uczestniczyło w wyłapywaniu i mordowaniu ukrywających się Żydów, stanowi trwałą plamę na polskim powszechnym, narodowym sumieniu.

Rok 1941 to apogeum sukcesów hitlerowskich Niemiec. Ideologia antysemityzmu, od wieków obecna w europejskiej kulturze, nabrała w tych latach haniebny charakter i uległo jej, poza Niemcami i Austriakami, także dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy przedstawicieli innych narodów, także Polski. Wielu próbuje zamknąć te czasy szmalcowników w cenzurze czasowej lat wojny i bezpośrednio po niej dwóch – trzech lat zamętu i bandytyzmu.

Losy powojenne Pani Wyrzykowskiej, prześladowania jakich doznała od mieszkańców Jedwabnego za to, że uratowała Żydów, oraz milczenie polskich mediów, polityków i duchowieństwa, świadczy, że przynajmniej w Polsce, antysemityzm nie odszedł w przeszłość, mimo że nie ma już wśród nas polskich Żydów, z ich kulturą, językiem jidysz, a nawet swoistą, polską odmianą judaizmu pełnego chasydzkiego mistycyzmu. Deklaratywnie, zarówno politycy z pierwszych stron gazet i biskupi wyrażają pełne współczucie wobec męczeństwa milionów polskich Żydów, ale co do ich szczerości, przynajmniej większości, szczególnie po prawej stronie sceny politycznej i duchowieństwa radio-maryjnego, mam uzasadnione wątpliwości – wystarczy posłuchać radia księdza Rydzyka, hasel republikańskich czy wrednych okrzyków kiboli. Ale wystarczy prześledzić losy Antoniny Wyrzykowskiej po wojnie – zmuszono ją do opuszczenia Jedwabnego, wszelkie kontakty z nią uznano za naganne, w najlepszym razie twierdzono, że jeszcze za wcześniej, aby Polacy mogli stanąć twarzą w twarz z kobietą, która okazała tak głęboka humanistyczną postawę wobec ludzi stojących w obliczu śmierci.

Antonina Wyrzykowska „swoich” Żydów ukrywała przede wszystkim przed swoimi rodakami, mieszkańcami Jedwabnego. Po wojnie, mimo że nastąpiła nowa władza, Pani Antonina została przez mieszkańców zmuszona do wyjazdu z miasteczka. Nie mogli jej wybaczyć tego, że uratowała tych obrzydłych parchów – przecież nie ludzi, parchów.

Nawet w III Rzeczypospolitej nie zapomniano w Jedwabnym tej jej winy. Nikt nie uznał za stosowne, aby ją zaprosić, poznać osobę, którą świat uznaje za najwybitniejszą obywatelkę nie tylko Jedwabnego, ale Polski – kobiety, głęboko religijnej, która zgodnie z przekazami Chrystusa, w które głęboko wierzyła, ratowała ludzi, śmiertelnie zagrożonych przez krwiożercze bestie. Traktowała swoją wiarę, tak, jak jest ona zdefiniowana w Ewangeliach – nie deklaratywnie, jako obrządek bez znaczenia, który zwalnia sumienia od odpowiedzialności za najbardziej potworne czyny.

Antonina Wyrzykowska stoi a czele listy ludzi prawych, których głęboki humanizm wynikał z szacunku dla innego człowieka.

Pani Antonino, będziemy o Pani pamiętać i nieść Pani przesłanie głębokiego humanizmu dla następnych pokoleń.

Daniel S. ZBYTEK

Doroczne zebranie Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

W Warszawie, 3 grudnia 2011 r., po zakończeniu debaty panelowej na temat stosunków pomiędzy państwem a Kościołem w Polsce (dokumentację tego spotkania zawiera specjalny suplement do obecnego numeru naszego czasopisma), odbyło się doroczne spotkanie plenarne Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej, które otworzył i prowadził prezes Rady Krajowej prof. Jerzy J. WIATR.

Rada wysłuchiwała informacji o działalności Towarzystwa w mijającym roku, które przedstawił wiceprezes Rady Krajowej i redaktor naczelny „RES HUMANA” dr Zdzisław SŁOWIK. Mówca podkreślił, że ruch starał się na miarę posiadanych sił i środków podejmować różnorodne inicjatywy programowe i organizacyjne zmierzające do realizacji zadań statutowych i wynikających z uchwał XI Zjazdu Krajowego Towarzystwa. W polu tych działań znalazły się dwa sympozja – jedno poświęcone kwestii nierówności społecznych w naszym kraju i stanowi polskiej demokracji, a drugie, wspólnie z krakowską „Kuźnicą”, poświęcone problemom moralnym Polski współczesnej i kontrowersjom wynikających na temat tych problemów pomiędzy myślą świecką a religijną i kościelną; była aktywna obecność Towarzystwa w inicjatywach innych stowarzyszeń humanistycznych (Łódź, Wrocław); było zapewnienie ciągłości wydawniczej „RES HUMANA”, czasopisma, które właśnie kończy dwadzieścia lat swojego nieprzerwanego istnienia; było rozwijanie współpracy z polskim oddziałem Europejskiego Stowarzyszenia Kultury oraz Polskim Stowarzyszeniem Racjonalistów (np. przy renowacji tablicy pamiątkowej na gmachu przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie); był udział w uroczystych obchodach w Krakowie 70. rocznicy śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego; była pomoc i wsparcie dla reaktywowanego oddziału wojewódzkiego Towarzystwa w Poznaniu. Na dorobek minionego roku składają się w mniejszym stopniu cenne inicjatywy zwłaszcza rad Towarzystwa w Katowicach, Koszalinie, Krakowie, Puławach i Radomiu, za co działaczom i wszystkim członkom stowarzyszenia wyrażono słowa uznania i podziękowania za wspólny trud.

Rada Krajowa po dyskusji przyjęła do aprobowanej wiadomości przedstawioną informację Prezydium Rady, a następnie na wniosek prezesa Rady rozpatrzyła sprawy organizacyjne: jednomyślnie odwołała mgr Jolantę Marcinkowską, wskutek rażącego nie wywiązania się z przyjętych obowiązków, z funkcji skarbnika i członka Prezydium Rady Krajowej oraz wybrała do pełnienia tej funkcji dotychczasowego sekretarza Rady Krajowej dr Ryszarda BROŻYNIAKA, a członka Prezydium mgr Wacławę MIELEWCZYK wybrała na funkcję sekretarza Rady Krajowej.

Rada w kolejnej części obrad wysłuchiwała z wielką uwagą wystąpienia przybyłego gościa – przewodniczącego sekcji polskiej Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), wybitnego pisarza pana Eugeniusza KABATCA, który zapoznał zebranych z założeniami stowarzyszenia oraz wyraził przekonanie, że współpraca z Towarzystwem będzie dobrze służyć obu stowarzyszeniom oraz polskiej kulturze.

W końcowej części obrad prezes Rady Krajowej, w związku z dwudziestolecie istnienia „RES HUMANA” wyraził serdeczne podziękowanie redakcji czasopisma i jej naczelnemu redaktorowi za szczególnie cenny wysiłek na rzecz rozwoju wartości świeckich wzbogacających życie społeczne i polską kulturę, a zarazem wybitnie wspierający działalność naszego stowarzyszenia. W związku z nadchodzącym Nowym Rokiem złożył wszystkim zebrany najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności.

W.M.

Czy Kościół katolicki w Polsce zdolny jest do dialogu i współdziałania z demokratycznym państwem czy jedynie do jego kontestacji i mnożenia roszczeń?

na tak sformułowane pytanie szukali odpowiedzi

- poseł Leszek MILLER
- Jan HARTMAN • Stanisław OBIREK
- Joanna SENYSZYN • Andrzej WALICKI
- Danuta WANIEK • Jerzy J. WIATR

uczestnicy debaty panelowej, która z inicjatywy Towarzystwa Kultury Świeckiej i redakcji RES HUMANA przy współudziale Klubu Parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz Fundacji im. Róży Luksemburg odbyła się 3 grudnia 2011 r. w Warszawie.

W debacie uczestniczył oraz zabrał głos na jej początku przewodniczący SLD oraz Klubu Parlamentarnego SLD poseł Leszek MILLER.

W niniejszym SUPLEMENCIE, mającym charakter zbiorowej ekspertyzy, drukujemy tekst wystąpienia posła Leszka MILLERA, autoryzowane wystąpienia uczestników panelu oraz omówienie treści pytań skierowanych do uczestników panelu, a także jedna wypowiedź związana z tematyką panelu.

Debata ukazała złożony charakter podjętej problematyki w społecznych realiach Polski współczesnej, w związku z czym ujawniły się, co zrozumiale, zróżnicowane odpowiedzi uczestników panelu na sformułowane pytanie, które uczyniliśmy tematem tej debaty. Ale debata wskazała niemniej na wiele ważnych diagnoz, analiz czy kwestii wymagających dalszych badań tej problematyki. Wynika z niej potrzeba dalszych badań i refleksji oraz zachęta do podjęcia dialogu intelektualistów świeckich i katolickich prowadzącego do konstruktywnego współdziałania demokratycznego państwa prawa z Kościołem katolickim, wspólnej pracy dla dobra państwa i wszystkich jego obywateli.

Łamy naszego czasopisma były zawsze i pozostają stale otwarte na kontynuację tej problematyki w postaci kolejnych debat, dialogu i dyskusji.

Redakcja RES HUMANA

Poseł Leszek MILLER

Cieszę się, że możemy się spotkać w tym gronie. Dziękuję Towarzystwu Kultury Świeckiej, redakcji „Res Humana” i Fundacji im. Róży Luksemburg za inicjatywę tej konferencji.

Polska rzeczywistość polityczna i niepolityczna, a tym także nasza historia, przede wszystkim ta najświeższa, jest bardzo chętnie mistyfikowana i zakłamywana. Wystarczy czytać eseje profesora Bronisława Łagowskiego, by mieć w tej sprawie pełny obraz. Nie wdaję się w powody tej mistyfikacji, tego chętnego tworzenia mitów. Nie ma na to miejsca dzisiaj, to zresztą temat sam w sobie, odrębny i ciekawy. Wiele wyjaśnień znajdują Państwo u wspomnianego Bronisława Łagowskiego.

Polityczna historia Sojuszu Lewicy Demokratycznej także podlega takiej mistyfikacji. Czyż bowiem nie jest mitem zdanie, jakże łatwo wypowiedziane przez naszych przyjaciół i recenzentów na lewicy, nie całkiem nam życzliwych, a które brzmi: *nikt nie był tak łaskawy dla Kościoła katolickiego jak lewica, kiedy sprawowała rządy. W ustach Katona prawicy, a takich tam wielu, a także niektórych hierarchów, ta kwestia ma inne brzmienie: SLD walczy z Kościołem, chce Kościół zniszczyć. Ten z uporem powielany mit jest elementem „czarnej legendy SLD”, jest częścią dorobionej nam „gęby”. I w żadnym stopniu nie opisuje rzeczywistości.*

Przypomnijmy zatem, jak rzecz się miała naprawdę w przeciągu ostatniego 20-lecia.

- **PO PIERWSZE** – to nie SLD wprowadził lekcje religii do szkół. Zrobił to minister edukacji w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, prof. Henryk Samsonowicz. Przy pomocy rozporządzenia, chyłkiem i całkiem po cichutku. W taki sam sposób, nocą, chyłkiem i całkiem po cichutku, powieszono w Sejmie krzyż. Ówczesny Sojusz Lewicy Demokratycznej, jeszcze jako federacja organizacji lewicowych, obywatelskich, protestował i to bardzo głośno. Ale kto to już dzisiaj pamięta? I kto chce pamiętać?

- **PO DRUGIE**, to nie SLD powołał Komisję Majątkową, a nawet Komisję Wspólną Rządu i Episkopatu. Być może niektórzy z Państwa się zdziwią, ale obie te komisje istniały jeszcze od czasu Polski Ludowej. Nie żądaliśmy wówczas, co prawda, natychmiastowego rozwiązania obu tych ciał, ale czy rzeczywiście mogliśmy wówczas tego żądać bez ryzyka popełnienia politycznego samobójstwa? I w dodatku ze świadomością, że będzie to zupełnie bezskuteczne?

- **PO TRZECIE** – to także nie Sojusz Lewicy Demokratycznej przygotował i wynegocjował Konkordat. Tak naprawdę SLD bardzo protestował przeciw jego zapisom, szczególnie tym dotyczącym opłacania z budżetu państwa powiększającej się liczby kościelnych funkcjonariuszy i katechetów. Tego też się już nie pamięta i nie chce pamiętać.

Poza tym – co powtarzam do znudzenia i o co wielu ma do mnie pretensje – w Sejmie nie wystarczy mieć rację. Trzeba jeszcze mieć większość. Myśmy jej nigdy nie mieli. Nie reprezentuję postawy romantycznej. Reprezentuję postawę realistyczną, pozytywistyczną. A z tą większością nie było tak dobrze, jak to się dzisiaj może wydawać tym wszystkim, którzy dostosowują się do wszechobecnego ahistorycznego myślenia. Polskie Stronnictwo Ludowe niekoniecznie chciało popierać nasze projekty. Co jest łagodnie powiedziane.

Na marginesie chcę zauważyć, co dla wielu tu obecnych nie będzie odkryciem, że w polityce bardzo rzadko, jeśli w ogóle, ma się komfort wyboru między większym czy mniejszym dobrem. Osobiście nie znam takiej sytuacji. Zdecydowanie częściej ma się do czynienia z sytuacją wyboru mniejszego zła. Wybraliśmy wariant mniejszego zła, aby osiągnąć większe dobro – tym dobrem była akcesja do Unii Europejskiej. Teraz nam się to wypomina. Nie mam pretensji. Zbyt dobrze wiem, że w polityce płaci się nie tylko za błędy. Bywa, że płaci się także za sukcesy.

Wyobraźcie sobie Państwo, w jakim miejscu bylibyśmy dzisiaj, gdyby stało się inaczej? Gdybym podtrzymał to, co robił rząd Jerzego Buzka, dzisiaj przewodniczącego

Parlamentu Europejskiego – opóźniał akcesję? A opóźnienia były wtedy olbrzymie. Więc dokonaliśmy wyboru: poszliśmy po wsparcie do Kościoła dla referendum. Być może zrobiliśmy błąd. Ale kto dzisiaj powie na pewno, że zrobiliśmy źle? Koszt ryzyka mógł się okazać horrendalny. Uznałem wtedy, że nie wolno takiego ryzyka podjąć. Miałem taką prerogatywę jako premier i skorzystałem z niej. Wiedziałem, że Kościół, mając do dyspozycji tysiące ambon, mógł zatrzymać ludzi w domu. Że papież był za Unią Europejską? Jan Paweł II był w Rzymie. I był już bardzo chory, a polski Kościół słuchał go wtedy, kiedy chciał.

To tyle wspomnień. A teraz kilka uwag na tematy aktualne. Dziś mamy sytuację inną. Przed Polską nie stoją żadne wielkie wyzwania, poza kryzysem, który wymaga wszakże innych działań. Jest zatem czas na podjęcie próby regulacji kwestii, o których mówimy. Byłoby dobrze, żeby problem właściwych relacji państwo – Kościół uznać za ważny dla jakości polskiej demokracji i tak te relacje kształtować, by odpowiadały współczesnym demokratycznym standardom. Obecnie od tych standardów dzieli nas lata świetlne.

Państwo jest „prześląknięte” Kościołem, a konstytucyjna zasada przyjaznego rozdziału pozostaje w sferze postulatów. Nie ma publicznej uroczystości, wszystko jedno jakiej, od rozpoczęcia roku szkolnego po otwarcie drogi, by burmistrzowi, staroście albo innemu przedstawicielowi władz publicznych nie towarzyszył duchowny rzymskokatolicki. O innych wyznaniach nie mówię, bo one w zasadzie w sferze publicznej nie występują. Ale Kościół rzymskokatolicki jest wszędzie. To, w kontekście państwa, dominujące wyznanie. O problemie równości wyznań nie mówi nikt. To zapomniana kwestia. Tymczasem ta właśnie kwestia wymaga regulacji. Czy obie strony są gotowe na rozmowę o tym – nie wiem. Przypuszczam, że albo wcale, albo w niewielkim zakresie.

Po ponad dwudziestu latach budowania i praktykowania demokracji parlamentarnej warto wreszcie nauczyć się rozumienia i respektować elementarną normę – „każdy inny – wszyscy równi”. I nie chodzi o przepisy prawa – te są naprawdę niezłe – ale o realizację ich każdego dnia i odwagę – z rządem i premierem na czele – w ich realizacji. Mówię wyłącznie o kontekście państwa, bowiem kontekst religijnych potrzeb ludzi jest inną sprawą. Tu nie ma żadnych wątpliwości, że powinny być w pełni zaspokajane.

Już bardzo dawna temu wymyślono uniwersalną zasadę zawierającą się w sformułowaniu: „Co boskie – Bogu, co cesarskie – cesarzowi”. Warto by ją wdrożyć w życie i respektować autonomię państwa, bo autonomia Kościoła nie wydaje się zagrożona.

Jest problem konkordatu. Nie wydaje mi się, by możliwe albo celowe było jego wypowiedzenie. Ale renegecja jest już pożądana i konieczna. Choćby w kwestii wyprowadzenia religii ze szkół publicznych. Zaś absolutnym priorytetem dla władz powinna być dbałość o niewykraczanie poza ramy tej umowy. O niedopuszczanie do poszerzania wpływu Kościoła w państwie, czego najnowszym przejawem jest nowy dzień wolny od pracy w święto Trzech Króli. Jako realista żądam – ograniczmy się do tego, co w konkordacie zapisane i renegecujmy go tam, gdzie to konieczne.

Poszerza się chyba przyzwolenie społeczne na dokonywanie zmian w tym obszarze życia publicznego. Przypomnę liczny i widoczny protest przeciw próbie sakralizacji dziedzińca pałacu prezydenckiego, czy oburzenie towarzyszące zmienionemu w święto religijne pochówkowi Lecha Kaczyńskiego na Wawelu. Zwłaszcza ludzie młodzi wydają się tęsknić do państwa neutralnego światopoglądowo, gdzie każda rzecz ma swój porządek i jest na swoim miejscu. Potwierdził to przekonanie także rezultat wyborczy Ruchu Palikota.

W programie SLD już dawno temu zapisaliśmy postulat likwidacji Funduszu Kościelnego. Utrzymywanie tej instytucji jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i obecnie już na granicy prawa (jeśli nie poza nią). Ten fundusz miał stanowić rekompensatę za mienie utracone onegdaj przez Kościół. Obecnie mienie jest zwrócone, a z publicznych pieniędzy utrzymujemy księży, zakonników, płacimy ich emerytury i renty, także tych, którzy jako misjonarze w ogóle nie pracują w Polsce. Jeżeli mówi się „o konieczności rezygnacji z nadmiernych przywilejów”, to tolerowanie tego stanu uważam za nadużycie.

Nie wolno też dopuścić do „zamiecienia pod dywan” afer, które wygenerowała tzw. Komisja Majątkowa i odzyskać dobra przekazane Kościołowi w drodze przestępstwa. Kłopot z tym będzie ogromny, ale trzeba to zrobić.

Istnieje wreszcie cały katalog spraw wymagających spokojnego rozważenia, dialogu i rozwiązania. To kwestia m.in. pojawiających się nowych koncepcji finansowania kościoła, w tym „podatek kościelny”; jawności finansów kościelnych; zasad i zasadności wspierania kościoła przez samorządy, jak się wydaje powszechnego; bezwzględnej jawności – jako normy – dotacji państwowych i samorządowych; opodatkowania na równych prawach dochodów kościelnych; szkolnej i przedszkolnej katechezy; kapelanów w instytucjach publicznych, może z wyjątkiem szpitali; finansowania działalności religijnej z budżetu państwa. Należy pomagać Kościołom i związkom wyznaniowym w zachowywaniu substancji będącej „dobrem narodowym”. Czyli remont Bazyliki Mariackiej i Ołtarza Wita Stwosza – jak najbardziej tak, renowacja wybitnych dzieł sztuki sakralnej – zdecydowanie tak. Pod kontrola państwa i kompetentną opieką stosownych instytucji. Ale już wspieranie inwestycji w rodzaju świątyni Opatrzności Bożej pod pretekstem, że będzie się tam uprawiać działania kulturalne i wychowawcze – już zdecydowanie nie; świeckiego charakteru świąt państwowych; święcenia i siedzib władz publicznych; charakteru mediów publicznych, a więc problem ustawy medialnej.

Żadna z tych spraw nie należy do łatwych. Przed nami bardzo długi proces, w którym nic nie powinno być rozwiązywane na siłę, a w wyniku porozumienia. Jeżeli dzisiejszy panel chociaż fragmentarycznie uporządkuje nasze myślenie w tych sprawach i udzieli, choćby niepełnej odpowiedzi na tytułowe pytanie – to będziemy mogli powiedzieć, że nie zmarnowaliśmy czasu.

Profesor Jan HARTMAN

Na wstępie chciałbym podziękować za zaproszenie. Czuję się zaszczycony mogąc przemawiać w tym gronie.

Zacznę od anegdoty. Otóż miałem kiedyś przyjemność spotykać się z ks. Tischnerem. Pewnego razu, gdy przyszedł do nas na kolację, podjęliśmy temat stosunków państwo – Kościół w czasach PRL-u. Ks. Tischner, wypiuwszy pół butelki wina, powiedział do mnie tak: „Wiesz, Jasiu, nie było tak źle. Jakoś dało się dogadać. W końcu jedni i drudzy lubili wypić.”

Myślę, że jest w tym jakieś ziarno prawdy i że jest to poniekąd optymistyczne spojrzenie na sprawę. Co to właściwie znaczy? Znaczy to, że kiedy trzeba dojść do jakiegoś konsensusu, to Kościół potrafi porozumieć się z każdym rządem. Kiedy Kościół katolicki instaluje się w danym kraju, starając się upodmiotowić wewnętrznie jako instytucja quasi-krajowa, dąży on do umocnienia swojej pozycji właśnie poprzez umiejętność porozumienia się z istniejącym w danym kraju rządem. To może być rząd autorytarny, może być pół-autorytarny, może być nawet demokratyczny – Kościół stara się jakoś z takim rządem dogadać. Dlatego właśnie Kościół trwa. A z drugiej strony władza liczy się z Kościołem. I nie ma chyba takiego kraju zamieszkałego przez wielu katolików, gdzie to by nie zadziało.

Pytanie o dialog jest trochę przewrotne, bo przez dialog rozumie się rozmowy polityczne i negocjowanie interesów. Taki dialog zawsze się toczy i zawsze się udaje. Każde państwo potrafi być równym partnerem w tym dialogu. Dyplomacja kwitnie nawet pomiędzy państwami ze sobą zwaśnionymi. A Kościół ma formę państwa właśnie.

Czy Kościół umiałby zgodzić się wewnętrznie na model demokracji państwa świeckiego, które zachowywałoby bezstronność w kwestiach światopoglądowych, które pozostawiałoby obywatelom swobodę dokonywania wyborów moralnych, swobodę decydowania, w jaki sposób chcą żyć, jakim światopoglądem chcą się kierować? Nie sądzę. Kościół na liberalną demokrację godzi się z musu, bo taki ustroj napotyka w różnych krajach i do niego musi się przystosować.

I robi to. Nie jest to ustrój marzeń dla Kościoła, bo w liberalnej demokracji ludzie mają swobodę dokonywania własnych wyborów i bynajmniej nie wszyscy wybierają Kościół, życie konfesyjne czy nawet intensywne wspieranie materialne Kościoła.

Kościół w krajach liberalno-demokratycznych, bez wsparcia instytucjonalnego państwa i na wolnym rynku idei jest tylko jedną z wielu instytucji do wyboru, jest tylko jednym z wielu systemów wierzeń, przekonań do wyboru. Nie jest to dla Kościoła komfortowa sytuacja. W takich krajach bez wątpienia jest uboższy i ma mniejsze wpływy niż w krajach rządzonych autorytarnie bądź pół-autorytarnie, gdzie ma już swoją określoną, ugruntowaną pozycję.

Kościół nigdy dobrowolnie liberalnej demokracji się nie podporządkuje. Ale liberalna demokracja też potrafi być silna swoją państwowością, potrafi być w stosunku do Kościoła równym partnerem. A Polska buduje liberalną demokrację.

Mimo to, żaden z rządów polskich po 1989 roku równym partnerem nie był. Wszystkie rządy po kolei obawiały się wszelkiego konfliktu z Kościołem, mogącego wynikać z nierealizowania rozszczeń lub oczekiwań Kościoła w odniesieniu do którejsz z trzech ważnych dla niego sfer, czyli materialnego zabezpieczenia Kościoła katolickiego, sfery edukacji i sfery prawa medycznego. Każdy kolejny rząd był dosyć oportunistyczny i uległy w stosunku do Kościoła.

Ale to się zmienia. Przyszłość stosunków państwo-Kościół zależeć będzie od dostrzeżenia Kościoła w całej jego strukturze. Otóż Kościół to instytucja międzynarodowa o podmiotowości państwowej, a z punktu widzenia poszczególnych krajów – instytucja zagraniczna. I dopóki będziemy poddawać się sugestii, że Kościół jest suwerenną instytucją wewnętrzną, dopóty będziemy skazani na jałowy quasi-dialog, którego wynik jest z góry przesadzony.

Jeśli państwo nadal będzie wierzyć, że Kościół jest instytucją wewnątrzpaństwową, a w dodatku reprezentująca katolicką większość społeczeństwa, w rozmowach z Kościołem pozostanie na przegranej pozycji. Jeżeli zaś przyjmimy międzynarodowy punkt widzenia, zgodny z realiami, to wtedy Episkopat będzie się jawił jako polityczna, ideologiczna reprezentacja struktury międzynarodowej o charakterze, jednak, obcego państwa. A to oznacza, że negocjacyjna moc państwa polskiego zostanie skierowana nie na poszczególnych biskupów czy Episkopat wewnętrzny, ale tam, gdzie jest źródło mocy Kościoła, czyli na Stolicę Apostolską – na Watykan. Wtedy szanse na rzetelny dialog będą znacznie większe.

Jeżeli zaczęlibyśmy rozmawiać o stosunkach państwo – Kościół, o normalizacji, o rozdzieleniu Kościoła od państwa, o realizacji porządku konstytucyjnego gwarantującego bezstronność światopoglądową i świeckość państwa polskiego; jeżeli zaczęlibyśmy rozmawiać o tym wszystkim nie z biskupami polskimi, tylko z Watykanem, to mogłoby to przynieść realny skutek. A rozmawiać moglibyśmy używając tych narzędzi, które mamy – przecież corocznie płacimy co najmniej dwa miliardy złotych na cele kościelne, jest więc z czego odcinać.

I to nie jest tak, że Kościół jest zupełnie niezdolny do jakichkolwiek ustępstw. Jest zdolny, tylko trzeba szukać właściwych, rzeczywiście dobrze umocowanych negocjatorów.

Gdybym miał coś radzić przykładowemu rządowi, to radziłbym rozmawianie z papieżem, a nie z takim czy innym biskupem w Polsce. Rozmawianie z Watykanem ponad głowami polskich biskupów na pewno doprowadziłoby do lepszych skutków niż nieustanne kłanianie się biskupom i proszenie ich, żeby nie przeszkadzali w budowie wspólnego państwa i poddawaniu w ich władztwo, na przykład, drażliwych kwestii prawa medycznego, kwestii programów szkolnych, aury ideowej panującej w szkołach. Oraz, rzecz jasna, oferowanie im ogromnych kwot i przywilejów natury materialnej.

Kościół będzie szanować państwo polskie dopiero wtedy, gdy państwo polskie będzie rozmawiać z Kościołem twardo i na równej stopie, czyli na stopie międzynarodowej. Kościół jest instytucją państwową; jako stolica apostolska posiada podmiotowość i suwerenność państwową; i w ten sposób należy tę sprawę stawiać – jako sprawę suwerenności, jako sprawę negocjacji międzynarodowych. To jest wybór Kościoła, że ma podmiotowość państwową, ale skoro tak już jest, to należy rozmawiać w tym trybie, który jest prawną konsekwencją ustroju Kościoła jako instytucji nie krajowej, lecz państwowej o charakterze międzynarodowym.

Profesor Stanisław OBIREK

Zacznę może od deklaracji czemu w ogóle zabieram głos. Otóż interesuje mnie problem postawiony w następującym pytaniu: „Czy Kościół katolicki w Polsce zdolny jest do dialogu i współdziałania z demokratycznym państwem, czy jedynie do jego kontestacji i mnożenia rozszczeń?” Odpowiem krótko – nie jest zdolny.

Choć odpowiadam tak zdecydowanie, to muszę jednak sprobematyzować to pytanie, dookreślić każde z użytych weń pojęć. Bo czymże jest Kościół katolicki? Mamy przecież masę Kościołów katolickich. Prof. Jan Hartman mówił o dopasowywaniu się Kościołów katolickich do lokalnych warunków, co możemy, poniekąd, zaobserwować w postaci katolicyzmu i tworzeniu się kościołów narodowych. I to jest jeden wariant.

Inny wariant jest taki, że Kościół katolicki znakomicie dopasowuje się do sytuacji mniejszościowej, na przykład w Japonii, we Francji, w Chinach. I tam pokazuje zupełnie odmienne oblicze, tzn. jest zdolny do negocjacji, do prowadzenia szkół uniwersyteckich, jak na przykład jezuita w Tokio, gdzie 98% studentów to niechrześcijanie. I to wszystko sprawdza się znakomicie.

Zależy więc o jakim Kościele mówimy. Jeśli mówimy o Stanach Zjednoczonych, tam istnieje kilkadziesiąt uniwersytetów prowadzonych przez jezuitów, czy przez Kościół katolicki ogólnie – profesor Andrzej Walicki spędził na jednym z takich uniwersytetów kilkanaście lat – one znakomicie wpisują się w pluralistyczny system wartości, recept na życie, itd. Można dodać, że ten konkretny katolicki uniwersytet – Notre Dame – zasłynął również z tego, że nie tylko nadał doktorat honorowy w maju 2009 roku prezydentowi Barackowi Obamie, ale jego studenci i wykładowcy z ogromnym zrozumieniem odnieśli się do jego krytycznych uwag pod adresem doktryny katolickiej w sprawie aborcji. Takie wystąpienie na katolickiej uczelni w Polsce jest mało prawdopodobne.

Tak więc Kościół katolicki bywa zdolny do dopasowania się, czyli do dialogu i współdziałania z demokratycznym państwem.

Z Polską mamy problem, bo Kościół katolicki w Polsce jest inny. Powiem więcej – Kościół w Polsce ma różne oblicza. Prof. Hartman wspominał o niezującym ks. Tischnerze. Uważam, że nawet dzisiaj, wśród żyjących księży, znajdują się osoby gotowe do negocjacji, jak choćby ks. Boniecki. Problem w tym, że oni nie dochodzą do głosu, że nie są partnerami, że nie są w ogóle zauważani jako partnerzy.

Problem dialogu jest szalenie ambiwalentny, trudny. Nie sądzę jednak, żeby to było tak, jak to stwierdził pan premier Miller – że wiele zależy od polityki, bowiem w polityce interes polityczny jest dość wyrazisty. Sądzę, że powinniśmy używać w dialogu innych pojęć, np. zamiast „interes polityczny” mówić „dobro ogółu”. W tym sensie to nie polityka i politycy są ważni, zwłaszcza jeśli chodzi o miejsce religii w przestrzeni publicznej. Paradoksalnie powiem, że im mniej polityki w tej sprawie tym lepiej i dla religii i dla samej polityki. To są dwie sfery, które powinny być zdecydowanie rozdzielone. Pani prof. Danuta Waniek mówiła o dość niedobrych skutkach wprowadzonej do szkół edukacji religijnej; ponadto, prof. Józef Baniak przeprowadził wiele badań, które udokumentował w licznych publikacjach, z których ewidentnie wynika, że galopująca sekularyzacja naszego społeczeństwa jest m.in. zasługą niefortunnego nauczania religii w szkole. Gdyby na tym gruncie namysłu nad przyszłym obrazem społeczeństwa prowadzić dialog, to być może Kościół zrezygnuje ze swoich pseudo-przywilejów, jak chociażby te dwie godziny lekcji religii tygodniowo, które są czasem nie tylko straconym, a wręcz kontrproduktywnym. Dodać przy tym trzeba, że decyzja wprowadzenia religii do szkół była decyzją polityczną. Owszem, w jakiś sposób pod wpływem nacisku Kościoła katolickiego, ale jednak była to decyzja konkretnych polityków.

Krótko mówiąc, uważam, że warto dookreślić, co chcemy osiągnąć na drodze tego dialogu. Wtedy nie będziemy walczyć o wymierne korzyści finansowe, czy o wymierne polityczne wpływy, tylko będziemy zastanawiać się nad tym, z jakim społeczeństwem mamy do czynienia.

Być może znowu, tak jak to bywało za czasów PRL-u, wspólny interes zbliży i polityków i ludzi Kościoła, rozumianych właśnie jako hierarchia czy urzędnicy Kościoła. Tak zresztą już się dzieje. **Różnica polega jednak na tym, że w czasach PRL-u Kościół miał wpływ łagodzący na autorytarną władzę, a w tej chwili głównie dba o swoje interesy, które niekoniecznie są zgodne z dobrem ogółu społeczeństwa.**

Pamiętam jak kiedyś rozmawiałem z kolegą, on też był księdzem, na temat mnożenia roszczeń i powiedział on, co następuje: „Wiesz, mi się wydaje, że Kościół tylko wtedy będzie zdolny do reformowania się, kiedy będzie odczuwał braki finansowe.” Ja ująłbym to trochę paradoksalnie: myślę, że wtedy będzie zdolny do reformowania się, kiedy zacznie dławić się swoim majątkiem i nie będzie w stanie go w sposób sensowny trawić. Bo Kościół w Polsce ma ten syndrom nuworzysza, czyli kogoś, kto nie bardzo radzi sobie z wydawaniem pieniędzy. Innymi słowy, osoby odpowiedzialne za środki finansowe w Kościele nie bardzo umieją je spożytkować. Zdaję sobie sprawę, że to co mówię nie bardzo jest potwierdzane przez otaczającą nas rzeczywistość, a możliwości „chłonięcia” ludzi Kościoła wydają się wprost nieograniczone. **Zgorszenie społeczne powodowane przez rosnące bogactwo Kościoła zaczyna budzić zwyczajny gniew społeczeństwa. W tym sensie pieniądze obrócą się przeciw Kościołowi. Tak się działo w przeszłości, więc nie widzę powodu by nie miało się tak stać również w przyszłości. Poza tym rzadko instytucje religijne dysponujące wielkimi środkami ekonomicznymi zdolne były do wielkich przełomów duchowych czy intelektualnych.** Zwykle działo się wprost przeciwnie – to sprzeciwi wobec bogactwa prowokował genialne intuicje duchowe, by wspomnieć tylko genialnego reformatora niemieckiego w XVI wieku Marcina Lutera, czy wcześniej Franciszka z Asyżu odrzucającego bogactwo feudalnych zakonów średniowiecznej Europy.

Podam przykład. Jeżeli w Warszawie od kilku lat istnieje bardzo prężne środowisko młodzieży lewicującej skupionej wokół czasopisma „Krytyka Polityczna”, to tylko dlatego tak jest, bo oni mają pomysł na obecność w tym mieście. Natomiast cały szereg pravicowych ośrodków, które mają, na przykład, różne studia nad myślą Jana Pawła II, jakoś nie zaznaczają swojej obecności, a to oznacza, że środki finansowe nie wszystko mogą zapewnić. Potrzebna jest uskrzydlająca idea, pomysł na zmianę otaczającej nas rzeczywistości. Takie idee posiadały środowiska katolickie w okresie PRL-u skupione w ośrodkach duszpasterstwa akademickiego czy w Katolickich Klubach Inteligencji. Dzisiaj zostały one wyciszone i zdominowane przez pewnych swych racji księży i biskupów. Poszukiwania i wątpliwości nie są mocną stroną dzisiejszych katolików.

Dlatego ja odczarowałbym troszkę ten polityczny problem Kościół a Państwo jako dwie wielkości i przesunął go w trochę inną przestrzeń. Powtórzę więc to, co powiedziałem na początku. **Kościół katolicki nie jest zdolny w dzisiejszej Polsce ani do dialogu, ani do współdziałania z demokratycznym państwem. A dzieje się to z prostej przyczyny – żąda dla siebie przywilejów, które stanowią zaprzeczenie porządku demokratycznego. Nic nie wskazuje na to, by miał ochotę z tych przywilejów zrezygnować i w kierunku polityków będzie ciągle te żądania wysuwał. Jak dotąd nie były to oczekiwania próżne.**

Moja konkluzja będzie optymistyczno-pesymistyczna. Optymizm łączę z tym, że coraz mniej zależy od księży, biskupów i polityków, a coraz więcej od samego społeczeństwa. Pytanie teraz brzmi, czy pojawią się ze strony Kościoła mądrzy księża i biskupi – co jest bardzo odległą perspektywą – którzy zaczną zdawać sobie sprawę, że jednak istnieje społeczeństwo i jego problemy. Podobnie można odnieść się do świata polityki, żeby rzeczywiście zaczęli zagospodarowywać to, co jest do zagospodarowania, a nie tylko myśleli nostalgicznie o tym, jak było. Mój optymizm jest więc związany ze zmieniającą się rzeczywistością, zaś pesymizm łączę zarówno z hierarchią katolicką, jak i z politykami. I jedni i drudzy nie bardzo wykazują chęć nadążania za gwałtownymi zmianami społecznymi. Jako historyk mogę tylko dodać, teraz już optymistycznie, że takie rozminięcie z rzeczywistością kończyło się srogą karą zarówno dla instytucji religijnych, jak i struktur politycznych. Nie widzę powodu by i tym razem nie miałyby się tak skończyć.

Prof. Stanisław OBIREK, jest profesorem filozofii i historii, wykłada na Uniwersytetach Łódzkim i Warszawskim; wcześniej duchowny Zakonu Jezuitów i profesor Ingatianum w Krakowie; inicjator i współautor ważnych książek na temat dialogu Kościoła z niewierzącymi.

Profesor Joanna SENYSZYN

Czuję się zaszczycona, że mogę brać udział w tej dyskusji. Postaram się spojrzeć na ten problem nieco inaczej niż przedmówcy.

Czy państwo jest zdolne do dialogu? Zgadzam się z panem prof. Obirkim, że nasz Kościół, taki, jaki został stworzony przez nasze państwo, nie jest zdolny do tego dialogu.

Bo coż się stało od 1989 roku? Kolejne rządy uważały, że coś tam jest warte mszy i w związku z tym zaczęło się od ustaw Rakowskiego z 1989 roku, ustaw, które były takim rzutem na taśmę i ostatnim prezydentem PRL-u dla Kościoła. W nich zawarta została Komisja Majątkowa, zawarte są także różne inne nadzwyczajne uprawnienia dla Kościoła katolickiego. Później tymi kuchennymi drzwiami wprowadzono bezprawnie religię do szkół, następnie uchwalono ustawę antyaborcyjną, podpisano i ratyfikowano konkordat.

W polskiej konstytucji nigdzie wyraźnie nie napisano, że jesteśmy państwem świeckim. Tam pojawiają się synonimiczne sformułowania, takie jak „autonomia” i „wzajemna niezależność”, nawet „neutralność światopoglądowa” – to właśnie jest bezstronność.

W miarę jak Kościół dostawał kolejne prezenty od państwa, doszedł do wniosku, że nie musi prowadzić z tym państwem żadnego dialogu, bo po co? Można wręcz powiedzieć, że Kościół jako instytucja dostawał często więcej niż mógł sobie wymarzyć, niż mógł pragnąć, niż zdążył wyartykułować. W ten sposób nasze państwo i kolejne rządy stworzyły taki Kościół, o którym powiedziałam i powtórzę, że jest pięć razy „B”: Bogaty, Bezczelny, Bezduszny, Bezideowy i Bezkarny. W dodatku kolejne rządy, uważając, że coś tam jest warte mszy, dokonywały nadinterpretacji wszystkich ustaw i dawały Kościołowi więcej niż z tych ustaw wynika.

Powtarzam od bardzo dawna, że jeśli chcemy ograniczyć panoszenie się Kościoła, to wystarczy ściśle stosować się do konkordatu – nie trzeba nic więcej. W konkordacie naprawdę nie ma aż tak wiele zapisów i nie są one aż tak tragiczne, jak wynikałoby z ich realizacji. Przykładowo zapis o religii w szkołach. W konkordacie jest zapisane, że religia ma być w szkołach, ale nie jest powiedziane, że to mają być dwie godziny lekcyjne tygodniowo, a więc więcej niż jest godzin chemii, biologii, fizyki, historii i wielu innych przedmiotów. A zatem coż stało na przeszrodzie, żeby chociażby nasz lewicowy rząd, do tego niepotrzebna większość sejmowa, zmienił liczbę godzin lekcyjnych religii? Skoro można było zwiększyć z godziny do dwóch, to można było też zmniejszyć z godziny tygodniowo do godziny miesięcznie, a nawet do godziny w semestrze. Tak więc są pewne kroki, które można robić.

Nie można było zliberalizować ustawy antyaborcyjnej, bo nawet kiedy ta pierwsza liberalizacja została w 1996 roku dokonana – i tutaj trzeba docenić ogromną pracę Sojuszu Lewicy Demokratycznej – to w 1997 roku Trybunał Konstytucyjny uznał, że jest ona niezgodna z Konstytucją. Jak tę decyzję uzasadnił prof. Zoll? W każdym innym państwie byłby skończony jako prawnik, bo powiedział, że jest oczywiste, że kobieta w ciąży musi być pozbawiona części praw.

Dlaczego więc Kościół nie chce prowadzić dialogu? Dlatego, że po prostu nie ma takiej potrzeby. Kolejne rządy stworzyły z Polski państwo wyznaniowe. Jakie mamy atrybuty państwa wyznaniowego?

Po pierwsze, brak neutralności światopoglądowej w stanowieniu prawa – dlatego mamy ustawę o planowaniu rodziny, o ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży w takim kształcie, w jakim ją mamy; dlatego mamy brak finansowania zapłodnienia in vitro ze środków publicznych.

Po drugie, bezpośrednie finansowanie instytucji kościelnych i duchowieństwa z budżetu państwa i budżetów samorządowych; to nie są wydatki rządu dwóch miliardów, ale osiem do dziesięciu miliardów złotych, jeżeli zsumujemy wydatki z budżetu państwowego, wydatki z budżetów samorządowych i wpływy ze środków unijnych.

Po trzecie, afirmacja religii przez organy władzy publicznej, religijny charakter ceremoniału państwowego, krzyże w instytucjach państwowych, przedszkolach, szkołach. Marszałek Sejmu

mógłby oczywiście bez żadnych dyskusji zdjąć krzyż na sali sejmowej; niestety, jak dotąd nie zrobił tego żaden marszałek bez względu na opcję polityczną.

Po czwarte, częściowy zanik odrębności organizacyjnej państwa i Kościoła. Na przykład istniejący w strukturach MON-u ordynariat polowy, który zgodnie z konkordatem istnieć musi, ale to, że on jest w strukturach MON-u to już jest nadinterpretacja konkordatu. Ordynariat polowy mógłby istnieć równie dobrze poza MON-em, poza strukturami państwowymi.

Co w związku z tym trzeba zrobić, aby ten dialog można było rozpocząć? W moim odczuciu musi zmienić się stosunek rządzących do Kościoła, gdyż Kościół traktowany jest na zupełnie wyjątkowych zasadach. Jeżeli ksiądz jest pedofilem, to usiłuje się to wszystko ukryć; prokuratora boi się prowadzić sprawę; sąd boi się wydać ostry wyrok. Jeżeli ksiądz spowoduje wypadek samochodowy, zabije dziecko – nawet jakby taki ksiądz był w stanie wskazującym na spożycie alkoholu lub w stanie wskazującym na niemożność prowadzenia samochodu, bo miał rękę w gipsie – to wtedy się mówi, że to dziecko spowodowało ten wypadek, bo wpakowało się na przejściu dla pieszych z rowerem pod samochód. Kiedy takie przypadki mają miejsce, to duchowni widzą, że nie muszą się liczyć z takim państwem, bo to państwo liczy się z nimi – i to państwo uważa, że to jest stan absolutnie konieczny.

Tak jak kiedyś Adam Michnik powiedział o lewicy, że lewicy wolno mniej, tak teraz trzeba wyraźnie powiedzieć, że Kościołowi wolno mniej. Wolno mniej właśnie dlatego, że Kościół powinien zajmować się kwestią zbawienia wiernych, a nie tylko gromadzeniem dóbr doczesnych i dojeniem państwa. Używam tego określenia, bo choć nie jest ono zbyt naukowe, to jest za to bardzo precyzyjne – bo Kościół doi polskie państwo, a państwo jest tą krową, która daje się doić i jeszcze z radości merda ogonem.

Tekst dokładnie odtworzony z zapisu internetowego, lecz nieautoryzowany.

Prof. Joanna SENYSZYN, profesor ekonomii, deputowana do Parlamentu Europejskiego, wiceprzewodnicząca Sojuszu Lewicy Demokratycznej, znana z wielu głośnych wypowiedzi i opinii na temat stosunków pomiędzy państwem a Kościołem w Polsce.

Profesor Andrzej WALICKI

Jako historyk idei zajmowałem się m.in. historią myśli religijnej, głównie rosyjskiej, a jako badacz dziejów myśli polskiej wciąż napotykałem problem ogromnej i nie zawsze jednoznacznie pozytywnej roli, którą odegrał w kształtowaniu umysłowości polskiej Kościół katolicki. Podchodziłem do tego problemu bardzo krytycznie, ale zawsze dystansowałem się od pozycji wojującego wolnomyślicielstwa. Interesowała mnie przede wszystkim walka o wewnętrzną przemianę Kościoła, o jego radykalną, humanistyczną odnowę. Zrozumiałe więc, że pokładałem wielkie nadzieje w II Soborze Watykańskim. Nie miałem więc oporów przed przyjęciem, w roku 1986, fundowanej katedry na Katolickim Uniwersytecie Notre Dame w Indianie. Wystarczyła mi pewność, że uniwersytet ten reprezentuje katolicyzm jednoznacznie posoborowy i opowiada się za dalszą, konsekwentną modernizacją katolickiej doktryny i katolickich postaw społeczno-politycznych. W rozmowie z rektorem uniwersytetu nie ukrywałem zresztą, że w konwencjonalnym sensie tego słowa nie jestem katolikiem wierzącym, a tym bardziej praktykującym.

Rektor, a raczej „Prezydent” uniwersytetu, o. Theodore Hesburgh, przyjął to z całkowitym zrozumieniem. Nie byłem zresztą żadnym wyjątkiem, uniwersytet bowiem, mimo swej programowej katolicyzacji, nie stosował przy zatrudnieniu profesorów żadnych kryteriów wyznaniowych. Przeciwnie: starał się udowodnić, że katolicyzm może być tolerancyjny, otwarty, życzliwy wobec ekumenizmu i religijności bezwyznaniowej. Łączyło się to – choć w Polsce brzmi to dziwnie – z sympatiami wyraźnie lewicowymi. W Notre Dame nie było w dobrym tonie solidaryzowanie się z watykańską krytyką latynoamerykańskiej „teologii wyzwolenia”. Uważano za oczywiste, że Kościół katolicki w USA powinien plasować się na lewo od centrum,

sympatyzować z katolicką Ameryką Łacińską i latyno-katolickim elektoratem w USA, czyli z ludźmi ubogimi, wyzyskiwanymi, zmuszonymi walczyć o obywatelskie dowartościowanie.

W Polsce, niestety, sytuacja jest inna, wciąż dominuje bowiem kontrreformacyjny, polityczny model katolicyzmu, spełniający rolę potężnego hamulca postępu. Mamy jednak również piękną tradycję walki o wewnętrzną przemianę religijności polskiej. Jako badaczka myśli polskiej epoki romantyzmu uderzyło mnie, że za mało wiemy o tej tradycji: słusznie kojarzymy romantyzm z wielkim wybuchem religijnych nadziei, ale za mało uświadamiamy sobie, że była to religijność heterodoksyjna, żądająca radykalnej przemiany polskiego katolicyzmu, jako niezbędnego warunku odrodzenia narodu. Religijni mesjaniści głosili ideę społecznego odrodzenia ludzkości przez nową religię, religię Ducha Świętego, mającą służyć zbawieniu ludzi na ziemi. Religijność ta miała zastąpić skostniały katolicyzm kościelny. Duch chrześcijański – głosił Mickiewicz z katedry w College de France (*Dzieła*, t. 11, s. 406) – „jest gotów do wyjścia z łona Kościoła katolickiego: tylko duchowieństwo urzędowe ma za mało ciepła i światła, aby pomóc mu się wykluć”. Analogiczną diagnozę stawiał August Cieszkowski: przekonany był, że „wywietrzała albo spróchniała wiara ojców naszych” (*Ojciec Nasz*, t. 3, s. 92) i wyprowadzał stąd wniosek o konieczności przekształcenia historycznego chrześcijaństwa w ekumeniczny Kościół ludzkości, jednoczący ludzi wszystkich wyznań i ras w służeniu wspólnej sprawie integralnego wyzwolenia. Jeszcze bardziej stanowczo stawiał sprawę Bronisław Trentowski, głoszący, że „nowa Polska musi we wszystkim się odrodzić” i stale podkreślający, że początkiem procesu odrodzenia musi być zerwanie ze „ślepowierczym” katolickim tradycjonalizmem.

Alternatywą myśli o radykalnej transformacji tradycji chrześcijańskiej była pokusa ostentacyjnego zerwania z tą tradycją. Była to opcja bardzo popularna na lewicy, jako reakcja na papieską encyklikę *Cum primum*, potępiającą powstanie listopadowe. Najbardziej rozpowszechnioną jej formą była Lelewelewska idea powrotu do przedchrześcijańskich wartości słowiańskiego gminowładztwa, podzielana przez największą i najbardziej reprezentatywną organizację emigracyjnej lewicy – Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Seweryn Goszczyński uzasadniał zerwanie z katolicyzmem polską racją stanu, a mianowicie niemożliwością pogodzenia interesów Kościoła z interesem narodowym: „Nie podobna być zarazem dobrym katolikiem i dobrym Polakiem” (*Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Dokumenty i pisma*, Warszawa 1954, s. 236). Inni demokraci uzupełniali to rozwinięciem myśli o zgubnej roli odegranej w dziejach wieloletniej Rzeczypospolitej przez utożsamianie polskości z katolicyścią.

Idee takie dominowały w życiu umysłowym polskich elit w okresie największej popularności w Europie sprawy polskiej i największych nadziei polskiego ruchu niepodległościowego. Zachwiały się natomiast pod wpływem kolejnych narodowych klęsk: w roku 1846, gdy powstanie krakowskie wywołało potworną „rzeź galicyjską”, w latach klęski ogólnoeuropejskiej Wiosny Ludów, i wreszcie w wyniku katastrofy powstania styczniowego. Trentowski, bynajmniej nie rezygnując ze swej bezlitosnej krytyki tradycyjnego katolicyzmu, doszedł wówczas do wniosku, że w sytuacjach klęskowych należy wyzbyć się wielkich nadziei i dbać jedynie o przetrwanie. Katolicyzm – dowodził – zabił wprawdzie Polskę, ale trzeba jednak trzymać się go, ponieważ tylko on broni jej obecnie przed totalnym wynarodowieniem i zniknięciem.

Przypominam tę bolesną diagnozę, ponieważ zawiera myśl niewątpliwie trafną. Kurczowe trzymanie się katolickiego tradycjonalizmu było w Polsce wyrazem narodowego pesymizmu, utraty wiary we własne siły, okopanie się na pozycji obronnej. A skoro tak, to warto zastanowić się dlaczego postawa ta utrzymuje się w okresie, gdy Polsce realnie nic nie zagraża. Co trzeba zrobić, aby przezwykły ten szkodliwy syndrom poczucia niepewności i narodowego zagrożenia?

Osobiście sądzę, że nie można odpowiedzieć na te pytania bez pogłębionego, szczerzego dialogu z ludźmi Kościoła. Niekoniecznie i nie tylko z Episkopatem, i nie tylko w sprawach konkretnego modus vivendi między hierarchią kościelną a państwem. Potrzebny jest przede wszystkim dialog z intelektualistami katolickimi (w tym, oczywiście, hierarchami Kościoła, jeśli zechcą brać w nim udział na równych prawach), z katolickimi mediami, a także, rzecz jasna, z przedstawicielami innych wyznań. Dialogiem takim powinna być szczególnie zainteresowana lewica, a powinien on dotyczyć nie tylko spraw obyczajowych, lecz również społeczno-gospodarczych, takich jak prawa pracownicze „pierwszeństwo pracy przed kapitałem” (mocno podkreślane przez Jana Pawła II), a także spraw ogólnoustrojowych, bardzo ciekawie interpretowa-

nych przez Benedykta XVI w encyklice *Caritas in veritate*. Czy dużo wiemy np. o rozwiniętej tam koncepcji właściwych relacji między ekonomią a moralnością? No właśnie!

Proszę nie interpretować tych słów jako wyrazu braku zainteresowania sprawami prawnobyczajowymi, będącymi często przedmiotem sporu między przedstawicielami Kościoła a władzą ustawodawczą. W pełni doceniam ogromne znaczenie tych spraw i dlatego właśnie zmartwiłem się przeczytawszy pewien fragment europejskiego exposé min. Radosława Sikorskiego, wygłoszonego w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej w Berlinie. Mam na myśli deklarację, że mimo postulowanego zacieśnienia więzów unijnych Polska zachowa „na zawsze” prerogatywy całkowitej suwerenności w zakresie religii, tożsamości narodowej i moralności publicznej, a także w sprawach podatkowych. Dlaczego „na zawsze”? Zrozumiałem to jako zastrzeżenie ostrożnościowe – uspokojenie Kościoła i przedsiębiorców, że nie nastąpią niekorzystne dla nich zmiany ustawodawcze. Rozumiem, choć to smutne, że mogło to być potrzebne, ale słowa „na zawsze” wydają mi się przesadą. Zgodziłbym się, że priorytetem jest dziś europeizacja zewnętrzna, ale musi ona przecież pociągnąć za sobą europeizację wewnętrzną. Można było tego nie podkreślać, można było nie obiecywać szybkiego przyjęcia Karty Praw Podstawowych, ale należało chyba wspomnieć, że propozycje ministra oznaczają jednak jednoznaczny wybór perspektywy rozwoju, a mianowicie drogi ku integralnej europejskości.

W ramach tej drogi nie ma alternatywy dla państwa jednoznacznie świeckiego, neutralnego światopoglądowo, wyraźnie oddzielnego od Kościoła. Przykład USA wskazuje jednak, że oddzielenie Kościoła od państwa nie musi być tym samym, co dogłębna laicyzacja społeczeństwa na wzór francuski. Można powiedzieć nawet, że społeczeństwo amerykańskie pozostało religijne dlatego właśnie, że Kościoły od samego początku oddzielone były od instytucji państwowych w sposób przyjazny wprawdzie, lecz rygorystyczny. Nie było więc pola do konfliktów, nie tylko dlatego, że żadne z wielu wyznań amerykańskich nie miało szans na zdobycie w państwie pozycji dominującej, ale także – i przede wszystkim – dlatego, że podważanie świeckiego porządku konstytucyjnego było czymś nie do pomyślenia.

Tak będzie kiedyś również w Polsce. Kościół polski powinien zrozumieć, że dla własnego dobra powinien zrezygnować z walki o zachowanie i umocnienie półwyznaniowego charakteru polskiego państwa.

Prof. Andrzej WALICKI jest wybitnym historykiem idei, cenionym znawcą historii i filozofii rosyjskiej; wykładał na wielu uczelniach w kraju i zagranicą, autor głośnej książki na temat marksizmu; jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk.

Profesor Danuta WANIEK

Proszę Państwa, już sam fakt, że dyskusja na ten temat na lewicy w ogóle się dzisiaj zaczyna na nowo jest dla mnie bardzo dobrym sygnałem. Od wielu lat nie uczestniczyłam w tego typu dyskusjach, prowadzonych w środowiskach lewicowych i muszę stwierdzić, że bardzo mi tych debat brakowało. Spotykałam na swoim szlaku, i politycznym i zawodowym ludzi, którzy niejednokrotnie pytali mnie o to, jaki mamy pogląd w tej sprawie. My, czyli lewica, niekoniecznie zorganizowana w SLD – lewica pojmowana znacznie szerzej, wykraczająca poza ramy partyjne. I muszę Państwu powiedzieć, że w minionych latach zawsze byłam w niezręcznej sytuacji – nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Wiedziałam, jak ja to oceniam, ale nie wiedziałam, jaka jest aktualna doktryna partii.

Moje doświadczenia z promowaniem pewnych tez politycznych, odnoszących się do stosunków państwo-Kościół, miało w przeszłości swój różny wymiar, również i taki nasycony goryczą. I nie będę ukrywać, że nawet wówczas, gdy byłam członkiem Sojuszu Lewicy Demokratycznej i upominałam się o to, żebyśmy nie spuszczaali z oczu ważnych dla naszych zwolenników kwestii światopoglądowych, nie zawsze spotykało się to z entuzjazmem. Mam nadzieję, że teraz to się zmienia.

Szkoda tylko, że nie zmienia się z inicjatywy samej partii, samego Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Powiedziałabym, że te impulsy przychodzą do nas wyraźnie z zewnątrz. To społeczeństwo chce tych stosunków kształtowanych inaczej. To ono burzy się przeciwko temu, na co środowiska lewicowe godziły się przez te lata, w czym tkwiliśmy, w czym również, niestety, uczestniczyliśmy.

Przed rokiem obserwowałam zgromadzenie pod pałacem prezydenckim, spontanicznie zwołane przez nikomu nieznanego człowieka, który skrzyknął równie nieznaną sobie ludzi. I tych ludzi przyszło wtedy niespodziewanie tak wiele, chcieli na oczach wszystkich zademonstrować swój sprzeciw. Wtedy po raz pierwszy w Polsce zobaczyliśmy ludzi, których nie można zaliczyć do „katolickiego państwa narodu polskiego” – bo taka zbitka pojęciowa obowiązywała do tej pory w naszej praktyce politycznej.

Prof. Jerzy Wiatr pytał o możliwość dialogu z Kościołem, w związku z czym muszę zadać nieco inne pytanie. Mianowicie, na jaki temat? O czym byśmy mieli dzisiaj z Kościołem rozmawiać? **Czy o tym, aby nasza konstytucja, uchwalona w 1997 roku, w odniesieniu do przepisów odnoszących się do stosunków państwo-Kościół, była w końcu w naszym demokratycznym kraju przestrzegana? Te przepisy są przecież martwe. Od początku ich wejścia w życie nie są respektowane. Nasi prawnicy zastanawiają się nawet nad tym, czy niestosowanie ich przez kilkanaście lat nie sprawiło, że w istocie rzeczy straciły swoją moc prawną.** Bo jest taka instytucja w prawie (reguła derogacyjna) mówiąca, że przepisy nie stosowane tracą moc prawną. Odsyłam do niezwykle cennych opracowań dr. Pawła Boreckiego na ten temat, gdyż prawnicy zauważają tę stronę lekceważenia litery naszej konstytucji.

A może porozmawiamy z Kościołem o zeświecczeniu polskiego szkolnictwa państwowego? Ciągłe słyszę informacje o tym, że kilkaset szkół w Polsce nosi imię Jana Pawła II, w związku z czym dyrekcje tych szkół czują się zobligowane do wychowywania młodzieży nie w duchu miłości do Ojczyzny, nie w duchu patriotyzmu konstytucyjnego, nie w duchu wskazywania korzyści z demokracji, wolności i tolerancji, ale upowszechniają konserwatywną myśl polityczną polskiego kościoła rzymskokatolickiego.

Na tym gruncie mamy, niestety, niezwykle trudną tradycję. Gdy mówimy o tym, co się dzisiaj dzieje na poziomie polskich szkół podstawowych i gimnazjów, to przypomina mi się profesor K. Bartel z międzywojnia (a był masonem) i jego „okólnik”, kojarzący się jako żywo ze sławetną „Instrukcją”, przy pomocy której rząd T. Mazowieckiego wprowadził religię do szkół (profesor Bartel był wówczas ministrem wyznań religijnych i oświecenia, w czasie wojny został we Lwowie rozstrzelany przez Niemców w grupie innych uczonych polskich).

Nasza demokracja, mająca swoje źródło w protestach „Solidarności”, miała mieć przecież inny kształt i charakter. Przecież ci ludzie, którzy buntowali się wówczas w naszym kraju, mieli nadzieję na odzyskanie wolności pojmowanej w sposób pluralistyczny. Proszę więc teraz zapytać książy kościoła, czy oni np. zdecydują się na opuszczenie polskich szkół państwowych w takim wymiarze, jak ma to miejsce dzisiaj, a przecież pieniądze przeznaczone na katechezę można było wykorzystać na zwiększenie liczby lekcji historii, czy języka polskiego? Gdybyśmy naciskali chociaż na to jedno, uwierzyłabym, że coś się zaczyna dziać od nowa.

Pan premier Leszek Miller ma rację mówiąc, że wszystko zależy od układu sił w parlamencie. Jednak wydaje mi się, że teraz właśnie jest szansa na to, aby powiększać szereg zwolenników lewicy światopoglądowej, funkcjonującej dziś poza parlamentem. Tych podobnie myślących ludzi wcale nie jest tak mało. Ja mam wnuka w liceum, który mi mówi, iż młodzież na poziomie szkół licealnych w Warszawie dobrowolnie rezygnuje z korzystania z lekcji religii. To jest pokolenie, które ma swoje własne doświadczenia z obecnością księży, katechetów i sióstr w polskich szkołach! Oni wiedzą na ten temat więcej niż my i sądzę, że od ich postawy i zachowania w najbliższym czasie może wiele w Polsce zależeć. Nie zapominajmy o nich i o ich własnym doświadczeniu, bo mogą stanowić dla nas realne wsparcie.

Prof. Danuta WANIEK jest politologiem, wykłada w Akademii Humanistycznej im. Frycza Modrzewskiego w Krakowie; znana z aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym; była i pozostaje bliskim współpracownikiem Aleksandra Kwaśniewskiego.

Profesor J. Jerzy WIATR

Wszyscy paneliści mocno podkreślają, że zasadniczym warunkiem właściwych relacji między Rzeczpospolitą a największym Kościołem, Kościołem rzymskokatolickim, jest postawa władz państwowych. Zgadzam się z tym.

Paneliści podkreślają również, że Sojusz Lewicy Demokratycznej, który w końcu współrządził przez osiem lat w ciągu trwania III RP, ma na swoim koncie dorobek, którego część zasługuje na krytyczną ocenę. Z tym także się zgadzam.

Pragnę jednak równocześnie powiedzieć, że te najgorsze zmiany, które spowodowały to, co pani prof. Senyszyn nazwała przekształcaniem naszego państwa w państwo wyznaniowe, nastąpiły zanim Sojusz Lewicy Demokratycznej stał się siłą współrządzającą. Cały ten ciąg wydarzeń, począwszy od nielegalnego z punktu widzenia ówczesnego prawa wprowadzenia religii do szkół, a kończąc na ustawie antyaborcyjnej i konkordacie – to są wszystko wydarzenia sprzed wygranych przez lewicę wyborów 1993 roku.

Konstytucja nieprzypadkowo została tak ostro zaatakowana przez Episkopat. Przypominam, że to przecież Episkopat wzywał do głosowania na „nie” w referendum konstytucyjnym – i przegrał. Dlaczego wzywał do głosowania na „nie”? Bo nie wprowadziliśmy do preambuły *Invocatio Dei*; bo nie wprowadziliśmy w art. 30. i 38., w których mowa była o ochronie życia, wymaganej przez Kościół formuły „od poczęcia”; i wreszcie, bo stanęliśmy na stanowisku neutralności, równouprawnienia wszystkich wyznań.

Obroniliśmy Konstytucję III Rzeczypospolitej – ważny dokument tolerancji i neutralności. Preambuła głosi, że III Rzeczpospolita jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli, zarówno wierzących, jak i niewierzących – to właśnie wprowadziliśmy i to, w świetle całego rozwoju polskiego konstytucjonalizmu, jest najbardziej wyrazistym, najbardziej jednoznacznym określeniem neutralności światopoglądowej i równouprawnienia wszystkich obywateli bez względu na przekonania religijne. Porównując naszą obecną konstytucję do pierwszej polskiej konstytucji, Konstytucji 3 maja 1791 roku, jest to dokument, którego nie mamy powodu się wstydić.

Uważam również, że to był taki okres, kiedy Sojusz Lewicy Demokratycznej miał odważyć przeciwstawić się naporowi klerykalizmu i fanatyzmu. Część z obecnych tutaj panelistów brała udział w uchwalaniu ustawy antyaborcyjnej. Jako jedyni – a SLD było wtedy małym klubem, nie tym wielkim z lat późniejszych – staliśmy w obronie prawa kobiety do decydowania o macierzyństwie. Byliśmy w tej kwestii całkowicie osamotnieni, ale nie baliśmy się wtedy być w mniejszości, bo nie ma żadnego wstydu w byciu w mniejszości, jeśli jest ku temu słuszny powód.

Gdy potem słyszałem, jak padało niekiedy z ust działaczy lewicy, że ustawa antyaborcyjna to był kompromis, to zaczynałem podejrzewać, że mój wiek powoduje jakiś gwałtowny zanik pamięci. Zawsze myślałem, że to nie był kompromis, że myśmy zostali po prostu przegłosowani – a jeśli był jakiś kompromis, to myśmy w nim nie uczestniczyli. Ponieważ jednak sądzę, że to ja dobrze pamiętam tamten okres, a nie młodszy koledzy, którym zdarza się mówić o kompromisie, to trzymajmy się tego.

To nie był kompromis. Powiem więcej, my tę bitwę przegraliśmy! I koniec. A dlatego traktuje się to jako kompromis, że to sformułowanie stanowi swoiste alibi, żeby tego teraz nie zmieniać.

Kiedy byłem członkiem rządu, dostałem zaszczytu bycia najbardziej znieawidzonym przez skrajnie fanatyczną prawicę katolicką ministrem – czyli ministrem edukacji narodowej. To ja, jako pierwszy z działaczy lewicy, dostałem jajkiem w Krakowie i traktowałem to jako wyróżnienie równie zaszczytne, co otrzymany mniej więcej w tym samym czasie order od pana prezydenta. Mówię o tym dlatego, że w przeszłości mieliśmy takie sytuacje, w których politycy lewicy, nie bojąc się Kościoła czy fanatyków tego skrajnego skrzydła prawicy, bronili pewnych kwestii. W mojej sprawie chodziło o rzecz dosyć prostą – o wprowadzenie do programów szkol-

nych wiedzy o życiu seksualnym człowieka. Niestety, potem rząd AWS-u, i była to jedna z ich pierwszych decyzji, natychmiast to wycofał.

O przeszłości warto mówić z jednego tylko powodu. Bo czasy, kiedy lewica jest w opozycji i jest słaba mają swój początek, ale będą miały również i swój koniec. I wtedy, kiedy lewica znowu będzie odpowiadała za państwo, nie jako partia opozycyjna, tylko jako partia rządząca, to wtedy trzeba będzie wyciągnąć wnioski z tych doświadczeń.

Tylko dlatego warto o tym mówić. Nie po to, żeby przerzucać się wspomnieniami jak to było dobrze lub źle, ale po to, żebyśmy mogli, gdy już znowu ta formacja będzie u władzy, rządzić jeszcze bardziej konsekwentnie i zdecydowanie także i w tych sprawach. Bo zgadzam się, że od tego zależy, jakie będą stosunki między państwem a Kościołem.

Prof. Jerzy J. WIATR jest socjologiem, piastuje godność rektora niepublicznej Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Warszawie; w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza był ministrem Edukacji Narodowej; jest autorem kilkudziesięciu książek, w tym pionierskiej „Socjologii polityki”; jest przewodniczącym Kapituły Medalu Zasłużony dla Tolerancji oraz prezesem Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Myśl Socjaldemokratyczna”.

Pytania do uczestników panelu

Do uczestników panelu zebrani słuchacze debaty, zgromadzeni w sali audytorijnej na Uniwersytecie Warszawskim, jak i śledzący ją w przekazie internetowym „na żywo” w TV SLD, sformułowali kilkanaście pytań, które ująć można w trzy bardziej zagregowane grupy problemowe.

Po pierwsze, konstatowano różnorodność rozumienia miejsca i roli Kościoła w systemie państwa demokratycznego: jest ona w najogólniejszych kategoriach ujęta w tekście Konstytucji RP z 1997 r., nieco inaczej w konkordacie i istotnie odmiennie w ustawach kościelnych z 1989 r. To stwarza, mówiono, szerokie pole do wielu odmiennych interpretacji, najogólniej mówiąc, niekorzystnych dla świeckiego charakteru państwa demokratycznego. Postulowano podjęcie stosownych działań legislacyjnych na rzecz uzyskania klarownej wykładni miejsca i roli Kościoła w realiach współczesnej Polski.

Po drugie, możliwość odmiennych interpretacji miejsca i roli Kościoła w państwie na poziomie ich rozumienia ustrojowego stwarza warunki dla praktyki rażących nadużyć godzących w istotę ustrojową państwa, czyniąc go, w odniesieniu do współczesnej Polski, państwem, jak zauważył prof. A. Walicki, „półwyznaniowym”. Podawano liczne przykłady z praktyki codziennego życia ilustrujące tę diagnozę, i pytano, czy nie nadszedł już czas na bardziej rygorystyczne przestrzeżenie przez władze publiczne ich publicznego właśnie a nie wyznaniowego charakteru, co może i powinno być uregulowane w drodze rozporządzeń stosownych władz państwowych i samorządowych.

Po trzecie, wśród wielu kwestii szczegółowych, wiele miejsca w pytaniach zajęła sprawa nauki religii w szkole. Jeżeli nie nastąpi wyprowadzenie religii ze szkół, co wydaje się decyzją najbardziej właściwą, to należy wprowadzić do programów szkolnych – na równych prawach w jego statusie z religią – przedmiot religioznawstwa, a co najmniej etyki ujmowanej z naukowego punktu widzenia. Jest rzeczą niemniej konieczną i pilną ograniczenie nauki religii w szkole do jednej godziny w tygodniu i nie zaliczania oceny z religii do średniej oceny na świadectwie, nie mówiąc już o uznaniu religii za przedmiot maturalny.

W wielu pytaniach zawarte było zarazem poparcie dla idei dialogu z Kościołem i współdziałania w nim demokratycznych instytucji państwa w rozwiązywaniu spraw doniosłych dla życia codziennego obywateli naszego kraju.

Do pytań uczestników debaty odnieśli się w krótkich wystąpieniach poszczególni uczestnicy panelu oraz przewodniczący Klubu Parlamentarnego SLD poseł Leszek MILLER.

Opr. A.B.

REFLEKSJE PO SPOTKANIU PANELOWYM

Uczestnicy konferencji spóbowali rozstrzygnąć dylemat czy dialog między polskim, demokratycznym, suwerennym i liberalnym państwem, a Kościołem katolickim jest możliwy i potrzebny. Na pewno jest potrzebny, a tym bardziej możliwy – do tej konkluzji doszło całe grono szacownych panelistów: prof. J. Hartman, D. Waniek, S. Obirek, J. Senyszyn i A. Walicki. Różne są tylko metody i formy prowadzenia – ich zdaniem – owego dyskursu, owego dialogu.

Podstawowym dylematem (na który jednak – chyba ze względów ograniczeń czasowych – nie padła ani odpowiedź ani nie został on nawet zarysowany w wystąpieniach panelistów) jest przy rozpatrywaniu zagadnienia: dialog nowoczesnego i demokratycznego państwa prawa z katolicyzmem (a w zasadzie z Kościołem rzymskim) określenie celów, płaszczyzny i formy owego dialogu. Także nie bez znaczenia jest definicja tego przedsięwzięcia, jakże istotnego w aktualnej sytuacji cywilizacyjnej dzisiejszego świata i Polski.

Zasadniczą kontrowersją jawi się pytanie czy miałyby ów dialog być częścią misji ewangelizacyjnej Kościoła czy dyskursem nad osiągnięciem konsensusu w najszerszym tego słowa znaczeniu, np. w imię *bonum commune* według definicji św. Tomasza z Akwinu?

Poza tym należy określić jak rozumiemy sam Kościół (jako instytucję i strukturę): czy jest to hierarchia i duchowieństwo (czyli jak określa to znakomity teolog i dysydent katolicki z Niemiec, Eugen Drewermann w tytule swego dzieła jako „Kler”) czy Kościół potraktować chcemy jako Lud Boży (w nomenklaturze *Vaticanum II* to Konstytucja dogmatyczna „*Lumen gentium*” oraz według kategoryzacji tego pojęcia przez papieża Jana XXIII w encyklikach „*Mater et magistra*” i „*Pacem in terris*”). W obu wspomnianych przypadkach dialog będzie zupełnie czymś innym, prowadzonym w zupełnie różnym kontekście i w imię diametralnie różnych celów (i metod). Zupełnie czymś innym jest dialog prowadzony właśnie przez najszerszej pojmowany „Lud Boży”, ze współczesną globalną cywilizacją (gdzie tradycyjnie zorganizowane i funkcjonujące chrześcijaństwo jawi się jako struktura wraz ze swoją doktryną absolutnie niekompatybilną z duchem dzisiejszych czasów; epoką rozproszenia, decentralizacji, wolności osobistych, indywidualizacją, komercjalizacją, technologicznymi wyzwaniem i etyczno-moralnymi, rynkowością i konkurencyjnością idei etc.), a czymś innym dialog struktur laikatu podporządkowanych i powolnych Stolicy Apostolskiej bądź lokalnym hierarchom. Chodzi tu o takie elitarne, ekskluzywne i quasi-religijne (przy tym okryte nimbem tajemności) struktury kościelne jak Opus Dei czy Legion Chrystusa, bądź bardziej otwartych, charyzmatyczno-ludycznych jak Odnowa w Duchu Świętym, Focolari czy Comunione e liberazione itd.

Zupełnie inaczej należy spojrzeć na rolę i wymiar dialogu ze strony Kościoła mając przed oczami wypowiedź kard. Józefa Ratzingera z 1996 r. (ówczesnego szefa watykańskiej Kongregacji Doktryny Wiary) mówiącą o przyszłości katolicyzmu i chrześcijaństwa w ogóle w wymiarze tzw. „esencjalizacji” (wywiad udzielony Peterowi Seewaldowi *Bóg i świat IW ZNAK* w 2001), a inaczej wyglądać on miał ze strony papieża Jana Pawła II, oczekującego Kościoła ludowego, masowego, zdyscyplinowanego i posłusznego Autorytetowi Następcy Św. Piotra. Kościoła na wpół-średniowiecznego, na wpół kontrreformacyjnego. Nieżyjący polski religioznawca prof. Mirosław Nowaczyk określał taki Kościół strukturą dążącą do „mediocentryzmu”.

W takim razie dialog ten można skategoryzować w następujących płaszczyznach:

- dialog wewnątrz-wspólnotowy (w Polsce mamy tu figury retoryczne w postaci „Kościoła toruńskiego” i „Kościoła łagiewnickiego” nic nie wnoszące do tej sprawy lecz to jest właśnie polska specyfika i charakter miejscowego katolicyzmu). Od niego zależy w polskich warunkach czy sama struktura Instytucji będzie zdolna do tego dialogu czy nie – chodzi o aspekt wypowiedzi prof. S. Obirka o kształcie formacji kapłańskiej;
- dialog ekumeniczny, międzywyznaniowy (wiemy o co chodzi, najważniejszym elementem tej debaty jest moim zdaniem dialog katolicyzmu i chrześcijaństwa z islamem). Nie sprzyjają jemu jednak takie dokumenty jak osławiony „*Dominus Iesus*”. Klimat tego dialogu w wymiarze globalnym, światowym na pewno będzie miał wpływ na Kościoły lokalne.

Passus taki jak np. „*Wierzmy, że owa jedyna prawdziwa religia przechowuje się w Kościele katolickim i apostołskim*” (a takich stwierdzeń w tym dokumencie z 6 sierpnia 2000 r. jest więcej) nie tylko neguje sens – w perspektywie równoprawności podmiotów go prowadzących – jakiegokolwiek dialogu, ale potwierdza również zamiary ewangelizacyjno-misyjne leżące u podstaw wszelkiej aktywności Kościoła katolickiego;

• dialog z niewierzącymi, agnostykami, sceptykami, wolnomyślicielami oraz ze współczesną nauką (bioetyka, nanotechnologie, przeszczepy, problem przerywania i zapobiegania ciąży, seksualność człowieka itd.);

• dialog ze współczesnym światem, jego kulturą i cywilizacją (jak mówią niektórzy – postnowoczesną, ale raczej należy ją określić jako ultranowoczesną).

Dystans do odmienianego na wszystkie sposoby dialogu, otwartego, bez przymiotnikowego, bez ukrytych celów jest poparty znajomością historii i dziejów zderzenia się katolicyzmu (a szerzej i całego chrześcijaństwa) z kulturą. Ponadto władza (sama w sobie) – to imperatyw, która zawsze kojarzył się z hierarchią Kościoła i Stolicą Apostolską. A panowanie wyklucza dialog na zasadzie równouprawnienia wszystkich podmiotów owego dyskursu.

Kościół jest bowiem instytucją przede wszystkim misyjną, nastawioną na ewangelizację. A ona wyklucza dialog pojmowany jako dyskurs dwóch równoprawnych podmiotów, mający na celu dobro wspólne, globalne, gatunkowe, gdyż taki dialog niesie w sobie konkretny, użyteczny, zamierzony cel.

Na zakończenie przytoczyć warto trzy wypowiedzi papieskie, z różnych epok, oddających istotą dyskutowanych tu problemów:

Grzegorz I Wielki (590–604): „Przybywając do tego narodu w żadnym razie nie należy burzyć świątyń ich bożków, a jedynie ich wizerunki, które się w nich znajdują. Potem należy przygotować wodę święconą, skropić nią świątynię, wznieść ołtarz i umieścić relikwie. Gdy naród widzi, że jego świątynie nie są burzone, może uwolnić serca od błędu, uznać i wielbić prawdziwego Boga”.

Aleksander VII (1655–1667): „Zły katolik jest zawsze lepszy od dobrego heretyka”.

Jan Paweł II (1978–2005): „Negacja Boga pozbawia osobę jej fundamentu, w konsekwencji prowadzi do takiego ukształtowania porządku społecznego, w którym ignorowana jest godność i odpowiedzialność osoby”.

Św. Grzegorz I Wielki miał to powiedzieć do misjonarzy wyprawianych na Wyspy Brytyjskie, Aleksander VII – podczas audiencji ambasadora Habsburgów w Watykanie, a bł. Jan Paweł II napisał cytowane słowa w encyklice *Centesimus annus* (1.05.1991). Dzieli te wypowiedzi 15 wieków dziejów Kościoła, ale sens i wymiar owych tez wydają się, przynajmniej na ile znamy ów problem, nader podobne.

Podstawowym dylematem są więc dwa pytania, na które musimy sobie zawsze odpowiedzieć przy okazji takiej właśnie dysputy:

- czy Kościół w ogóle chce i potrzebuje dialogu?
- do czego ten dialog byłby Kościołowi potrzebny?

Czy na oba pytania możemy odpowiedzieć twierdząco i jednoznacznie – mam wątpliwości. Właśnie owe cele ewangelizacyjno-misyjne (i historia) kłaseć muszą cienie na szczerość i bezinteresowność strony kościelnej w tym przedsięwzięciu.

Choć wcale – przy tych zastrzeżeniach i wątpliwościach – nie twierdzę, że dialogu prowadzić nie trzeba. Te opory są realne i racjonalne, dlatego należy je zdiagnozować i jasno opisać. I wcale to nie neguje sensu i potrzeby dialogu – trzeba to czynić, tak jak to określił w swoim wystąpieniu prof. A. Walicki, mając świadomość różnic, historii i pryncypiów.

Radosław S. CZARNECKI

SPIS TREŚCI

| | |
|--|------|
| Leszek MILLER | II |
| Jan HARTMAN | IV |
| Stanisław OBIREK | VI |
| Joanna SENYSZYN | VIII |
| Andrzej WALICKI | IX |
| Danuta WANIEK | XI |
| Jerzy J. WIATR | XIII |
| Pytania do uczestników panelu | XIV |
| Radosław S. CZARNECKI | |
| Refleksje po spotkaniu panelowym | XV |

Spotkanie w krakowskiej „KUŹNICY”

Już po raz dwudziesty pierwsza krakowska „Kuźnica” gościła 12 grudnia 2011 r. działaczy Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, aby wspólnie zastanowić się tym razem nad kwestią tolerancji światopoglądowej w życiu społecznym Polski współczesnej oraz krajów Unii Europejskiej.

Udział w debacie, jako referenci, wzięli: prof. Jan HARTMAN, znany filozof, bioetyk z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego; prof. Aleksander KRAWCZUK, wybitny znawca dziejów starożytności grecko-rzymskiej; prof. Hieronim KUBIAK, socjolog, profesor w krakowskiej Wyższej Szkole im. Frycza Modrzewskiego oraz prof. Zbigniew STACHOWSKI, filozof i religioznawca z Uniwersytetu Rzeszowskiego. Referenci zastanawiali się nad sensem i wagą idei tolerancji w świecie współczesnym, jej nieocenionymi walorami, lecz zarazem nad jej wielorakimi ograniczeniami; nad recepcją idei tolerancji w życiu jednostek i zbiorowości społecznych; nad jej dziejami zobrazowanymi sugestywnie na przykładzie życia starożytnych Greków i Rzymian; nad jej rozumieniem w doktrynie i praktyce działania Kościoła katolickiego, zwłaszcza w Polsce; nad częstym przyzwoleniem na praktykowanie nietolerancji w imię rzekomej wolności i wreszcie nad potrzebą podjęcia niezbędnych działań, zwłaszcza w ramach systemu szkolnego, na rzecz kształcenia i wychowywania młodych generacji w duchu szacunku dla tolerancji, uczenia praktykowania tolerancji w życiu codziennym.

W dyskusji, która się następnie wywiązała, i w której uczestniczyli m.in. dr Marian Dziwiz i dr Jan Kozłowski zwrócono uwagę na niedostatki w działalności szkół w kształtowaniu idei tolerancji oraz z goryczą mówiono o stosunku do osób sędziwych, którzy często doświadczają zachowań wobec nich dalekich od należącego im szacunku, zrozumienia i tolerancji.

W słowie kończącym debatę wiceprezes Rady Krajowej TKŚ i redaktor naczelny „RES HUMANA” dr Zdzisław SŁOWIK wskazał na źródła, które rodzą zjawisko nietolerancji, na przekonanie wielu doktryn, osób czy instytucji, że oto ich racje są jedynie prawdziwymi i słusznymi, że w konsekwencji myślący odmiennie nie zasługują wyrozumiałości czy tolerancję. Polska rzeczywistość ukazuje długość drogi, która trzeba będzie przebyć, aby klimat i praktykowanie tolerancji stały się bliskie standardom istniejącym w rozwiniętych demokracjach zachodnioeuropejskich. Ale symptomy nadziei widać coraz wyraźniej i to one – przyspieszone przemiany cywilizacyjno-kulturowe – będą istotnie sprzyjać idei i praktyce tolerancji.

Spotkanie w krakowskiej „Kuźnicy” było okazją do uhonorowania Statuetkami Boya-Żeleńskiego i Medalem tegoż imienia zasłużonych dla tolerancji działaczy Ziemi Krakowskiej, które wręczyli Laureatom prezes Rady Krakowskiej Towarzystwa Kultury Świeckiej, zasłużony działacz społeczny i oświatowy mgr Jan NOWAK oraz jej wiceprezes, znany i ceniony poeta i prozaik – Stanisław FRAN CZAK.

A.B.

W krakowskiej „KUŹNICY”

KUŹNICA”, zasłużona dla polskiej nauki i kultury, wspólnota znanych ludzi nauki, kultury i mediów, osób, które od ponad trzydziestu lat łączy troska o aktywną obecność wartości humanistycznych i lewicowych w życiu społecznym Polski współczesnej, przyjęła na swym Walnym Zgromadzeniu w listopadzie 2011 r. sprawozdanie z działalności w statutowym okresie sprawozdawczym oraz zastanawiali się nad najważniejszymi inicjatywami, które podejmie w nadchodzącym czasie. Zebrani przyjęli w tych sprawach stosowne uchwały i rekomendacje.

W kolejnej części obrad zgromadzenie przyjęło rezygnację, ze względu na stan zdrowia, dotychczasowego prezesa „KUŹNICY” prof. Hieronima KUBIAKA, wyrażając Mu najserdeczniejsze podziękowanie za budzący szacunek wysiłek na pełnionym stanowisku, a zarazem postanowiło powierzyć Mu godność prezesa honorowego „KUŹNICY”. Na zwolnione stanowisko prezesa zebrani wybrali jednomyślnie doc. dr Andrzeja KURZA, dotychczasowego wiceprezesa stowarzyszenia, jego wybitnego i wieloletniego działacza, a funkcje wiceprezów powierzając Filipowi RATKOWSKIEMU i Antoniemu RĄCZCE.

Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz Redakcja „RES HUMANA” przylączają się do słów szacunku dla prof. Hieronima KUBIAKA i przekazują najszczerze gratulacje doc. dr Andrzejowi KURZOWI, z którymi nasze środowisko pozostaje od wielu lat w bliskiej przyjaźni i wspólnocie działania.

| Adam Kędzierawski

Myśli i sentencje

Sukces niewielki a wielka pycha tak wielu rozpycha

~

Walka wielu o wszelkie wartości jednych prowadzi do przestępstwa, innych do śmieszności

~

Przyzwoitość postępowania jest zależna od norm moralnych, a tak zwyczajnie od poczucia wstydu i winy

~

Gwałt na prawdzie na ogół nie pozostaje bezkarny

~

Inteligencja i wiedza nie są panaceum na moralne niegodziwości

~

Polityka to wielka wojna na słowa, a także głupota wielowiekowa

Autor jest psychologiem, długoletnim nauczycielem, związanym od wielu lata z Lubelszczyzną; pisze z potrzeby aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym.

| Ryszard Chojecki

Gdzie jest Bóg?

Przecież wszystko dzieje się tak,
jakby Go wcale nie było.

Bo gdzie był,
gdy trzęsła się ziemia
(ostatnio na Haiti i w Japonii)?

Gdzie był, gdzie miliony
umierały na AIDS
lub na raka?

Gdzie był gdy dzieci
umierały z głodu?

Dlaczego pozwolił,
by matka
wyrzucała dziecko na śmietnik?

Nie zamierzam nikogo nawracać
na ateizm.

Tylko pytam.

Autor mieszka w jednym z miast na Mazowszu.

